

BOLESŁAW PRUS
KRONIKI TYGODNIOWE

SPIS TREŚCI:

- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 17
- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 23
- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 28
- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 34
- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 40
- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 46
- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 51
- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 56
- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 62
- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 67
- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 73
- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 79
- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 90
- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 96
- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 102
- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 113
- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 140
- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 145
- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 151
- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 157
- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 163
- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 232
- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 238
- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 244
- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 249
- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 255
- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 272
- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 277
- Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 283

Kurier Warszawski, rok 1881

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 17

Hodowla pauperyzmu przez miejscowe towarzystwo dobroczynności. — Warszawa, która bawi się - podziwiając. — Paroksyzmy dobrego humoru na prowincji. — Czy Żydzi stanowią "narodowość". — Cuda na wsi.

Nowy rok zaczął się na dobre, ale zamiast pomyślnych nowin, przyniósł dalszy ciąg starych kłopotów.

W budzecie zgryzot Warszawy poważną rubrykę zajmuje ów legion nędzarzy, który żebrze, kradnie i podrzuca dzieci. A chociaż miłosierdzie, więzienia, szpitale, nawet śmierć pracują nad zmniejszeniem liczby nieszczęśników, legion — wzrasta. Zdawać by się mogło, że z każdym dniem na miejscu ubywającego wojownika tej armii przybywa dwu nowych kandydatów.

Wygląda to, jak gdyby w łonie miasta tworzył się wrzód pauperyzmu.

Przed rokiem był on dokuczliwy, dziś jest groźny, za rok może stać się niebezpieczny. To, co obecnie ma formę guza, którego nie rozpędzą kataplazmy jałmużny, to samo jutro — może pęknąć i zakazić miejski organizm.

Nie będę zajmował się wyliczaniem przyczyn warszawskiego pauperyzmu. Nieurodzaje, spadek pieniędzy, stagnacja w przemyśle i handlu, łatwość osiadania w Warszawie, a głębiej sięgając: powszechna ciemnota i brak szkół fachowych — takie to strumyki utworzyły i tworzą dzisiejsze bagno nędzy.

Zwrócę przecież uwagę na jeden punkt, a mianowicie: na kierunek działalności społeczeństwa.

Wszystkie instytucje „dobroczyne” i usiłowania ogółu skierowane są do tego, ażeby: wspierać gotowych żebraków. O tym zaś, ażeby zapobiegać nędzy, dostarczać pracy, a najbardziej o tym, ażeby nie zachęcać do żebraniny, nikt nie myśli.

Człowiek poszukujący zajęcia prawie nie znajduje uszu, które by go wysłuchały, ani rozumu, który by mu wskazał sposób zarobku. Ale ten, kto szuka jałmużny, oprócz tuzina prezesów, wiceprezesów, sekretarzy i kasjerów znajduje wszystkie drzwi otwarte. Każdy mu coś da, bo nad bramą i na blankietach Towarzystwa Dobroczyńności stoi wyraźnie, że: „nędza jest rzecz święta”. Nikomu nie przychodzi do głowy, że nędza może być rzeczą demoralizującą i niebezpieczną.

Przy obecnym stanie publicznej rozwagi nie to jest dziwne, że pauperyzm istnieje, ale raczej, że nie ogarnął większej liczby jednostek. Dla człowieka zmęczonego pracą, walczącego z kłopotami nie ma większej pokusy do żebractwa jak pewność, że nie umrze z głodu, byle wyrzekł się odrobiny wstydu i zgodził się spacerować po mieście w lichej odzieży. A nawet może utyć, bo komu dają jałmużnę, ten pracować nie potrzebuje. Owszem: dziadowski honor i zasady opieki publicznej wymagają przede wszystkim tego, ażeby oddawał się próżniactwu!

Kiedy na Szląsku ukazał się głód, Prusacy dawali biednym wsparcie, ale: za pracę. A gdy zabrakło pracy użytecznej, kazali im śnieg naprzód zgarniać, potem rozrzucić.

U nas śnieg zgarniają i rozrzucają stróże, obowiązani do zamykania dziedzińców, otwierania bram lokatorom i wartowania w nocy. „Ubodzy” zaś, na których miasto wydaje setki tysięcy rubli, spacerują po zamiecionych chodnikach, bo: zamykanie ulic to rzecz wstrętne, a „nędza rzecz święta”!

Chwała za rozibisurmanienie dziadostwa i obalamucenie opinii spada przynajmniej w pewnym stopniu na — Warszawskie Towarzystwo Dobroczyńności. Wszystkie jego działania skierowane są do tego celu, ażeby „zbierać” i „wydawać” fundusze. Nie myślano o tym, aby podzielić żebrzących na kategorie: prawdziwie nieszczęśliwych — i

— próżniaków. Nie dbano o to, ażeby w zamian za jałmużnę żądać pracy.

Nie troszczono się o otwarcie warsztatów, w których by ludzie silni, zdrowi, a nie znający żadnego fachu i dlatego biedni, nauczyli się rzemiosła. Toteż w chwili, kiedy nawet zacofany Kraków zajął się utworzeniem „sal zarobkowych” dla żebractwa, nas po dawnemu rozczulają widowiska amatorskie i koncerty na cel — jeszcze większej demoralizacji społeczeństwa.

Dla Towarzystwa Dobroczynności nie istnieje nawet argument „siły wyższej”, tak szczęśliwie użyty niegdyś przez Drogę Żelazną Warszawsko-Wiedeńską. Bo przypuściwszy, że władza nie zatwierdziła reform, to — gdzież są projekta?... Wszakże kanalizacja miasta także nie jest zatwierdzona, ale że w przedmiocie tym odbywały się narady i były ogłaszane, więc ogół dowiedział się przynajmniej o naturze kwestii.

Gdzież jednak są narady Towarzystwa Dobroczynności i w czym one oświeciły publiczność, wśród której stało się modą rozrzucanie jałmużny na prawo i na lewo, nie pytając: jaki z tego pożytek?

Nie wątpimy, że Towarzystwo Dobroczynności składa się z ludzi zacnych, którzy boleją nad podobnym stanem rzeczy. Przypuszczamy, że potrafiłoby zdobyć się na projekt oparty na idei: nic darmo! Złe przecie trwa i polega na tym, że Towarzystwo „wobec trudnych warunków” schowało się jak żółw w skorupę ustaw i — zamknęło oczy na to, co się dzieje gdzie indziej.

Nieszczęściem, Towarzystwo, ukrywszy swoje zarządzające głowy, nie mogło ukryć dziadowskiego ogona, za który w miarę możliwości prasa nie omieszka go pociągać aż do skutku.

Zgodnie z zasadą: „choć bieda, to hoc! hoc!...”, elegancka Warszawa bawi się. Znajdujemy się obecnie w stadium przejściowym, na granicy uciech: siedzących i tańczących. Przed kilkoma tygodniami tonęliśmy jeszcze w muzyce tak dokładnie, że gdyby nie las uszów, można by zwątpić o istnieniu społeczeństwa.

To pogrążenie w muzyce miało dwie epoki. Królową pierwszej była artystka, która w myśl frazesu: „Miło śpiewać obcym, a swoim najmilej”, wozi z sobą trzy garnitury nazwisk, dla łatwiejszego przyswojenia się w każdym klimacie. Królem drugiej był artysta, który posiada „miękkie dotknięcie” i z rękami w kieszeniach upewnia omdlewających z zachwytu, że mu w Warszawie „najprzyjemniej”.

Natura ludzka musi zawsze coś podziwiać; różnice są tylko w odcieniach. Jedni podziwiają majestat przyrody górskiej albo gwiaździstego nieba; drudzy geniusz, który wytłumaczył ruchy gwiazd albo zbudował lokomotywę. Trzeci rozmarzają się na wspomnienie legii spartańskiej ginącej w Termopilach, a innym wystarcza „miękkie dotknięcie”. Zabawnie jednak pomyśleć, że największy zachwyty, jaki pamiętamy w ostatnich czasach w Warszawie, wywołany został dźwiękami baranich kiszek.

Całkiem inaczej bawią się na prowincji. Aby mieć wyobrażenie o tym przedmiocie, przyjrzyjmy się korespondencjom.

Powiat A. Rok bieżący zapowiada się źle... Wszystko zboże porosło w czasie żniw, a co zdążyliśmy zebrać, gnije w stertach. Na przednówek obawiamy się głodu.

Powiat B. Nic wesołego!... Po wsiach grasuje dyfteria i księgossusz. Na jednym folwarku zabito 50 sztuk bydła. Na wiosnę gnie będzie czym ziemi uprawiać.

Powiat C. Straszne czasy!... Banda ludzi zamaskowanych napadła na proboszcza i zabrała mu dwadzieścia pak „Gazety Warszawskiej” myśląc, że to są listy zastawne.

Powiat D. Pewnemu obywatelowi wyprowadzono ze stajni wszystkie konie. Ale ponieważ obudził się w porę i złodziei przestraszył, więc w kilka dni spalano mu budowlę. Boże! Boże! co z tego wyniknie?...

Powiat E. Urodzaje w roku zeszłym były gorzej niż średnie. Wygrzebalibyśmy się jednak w roku pomyślniejszym, gdyby nie

lichwa, która zjada wszystkie dochody, a nawet kapitały. Czarna przyszłość!...

Powiat F. Onegdaj w domu państwa... słynnym ze staropolskiej gościnności odbyła się niewielka zabawa. Przyjmowało w niej udział sto osób, a tańczono przez dziewiętnaście godzin...

Z doniesień podobnych wywnioskować by można, że na wsiach, na tle chronicznego narzekania na biedę, od czasu do czasu wybucha wesołość w formie gwałtownych paroksyzmów.

Co kraj, to obyczaj. W chwili gdy Niemcy radzi by wygnać Żydów, a zatrzymać tylko — ich kapitały i Żydówki, u nas między „Gazetą Polską” i „Tygodnikiem Ilustrowanym” toczy się akademicki spór o to: czy Żydzi są... narodowością?

Jakiś pan czy jacyś panowie H.D.B. utrzymują w „Gazecie Polskiej”, że wyraz: Żyd, oznacza tylko wyznanie, podobnie jak: kalwin, mahometanin itp. Kronikarz zaś „Tygodnika Ilustrowanego” twierdzi, że Żyd oznacza: narodowość, i ten, nieco dogmatyczny, pogląd swój kończy westchnieniem:

„Dopóki u nas wyznawcy religii mojżeszowej będą się nazywali Żydami, dopóty istnieć nie przestanie naród w narodzie i dopóty o tyle pożądanym zlanie się ich z ogółem ludności marzyć nie podobna.”

Zdaje mi się, że szanowny kronikarz „Tygodnika Ilustrowanego” w małym powiedzeniu popełnił kilka dużych błędów.

1. Zarówno kronikarz, jak i pan czy panowie H.B.D. stawiają twierdzenie bez dowodów. Jeden mówi: „Żyd — to wyznanie”, drugi: „Żyd — to narodowość”.

Ktoś trzeci naśladowując ich mógłby powiedzieć: „Żyd — to specjalność”.

I każdy przyznawałby sobie rację.

2. Samo istnienie nazwy ogólnej nie dowodzi jeszcze istnienia „narodu w narodzie”, że przypomnę nazwę chłop, szlachcic, Mazur, Krakowiak i tym podobne.

3. Zobaczymy teraz: Czy Żydzi są narodowością? Kwestia ta bowiem w ostatnich czasach stawia się dosyć często, a co zabawniejsze: bałamuci samych Żydów, którzy np. w Poznańskim, dla dokuczenia Niemcom, mówią: „Nie jesteśmy ani Polakami, ani Niemcami, ale — Żydami.”

Narodowość jest to zbiór ludzi tworzących jeden organizm. Organizm ten posiada sam w sobie warunki istnienia i rozwoju, a dalej: istnieje i rozwija się na pewnym terytorium, mającym pewne własności geologiczne, geograficzne i klimatyczne.

Weźmy np. naród czeski, przenieśmy go choćby na wyspę, byle podobną do ziemi czeskiej, dajmy mu miasta, wsie, drogi, maszyny, książki, a naród ten nie uczuje prawie żadnego wstrząśnienia. Owszem, rozwijać się będzie, pod warunkiem, że utrzyma umysłowy i moralny związek z cywilizacją ogólną.

Weźmy teraz „naród żydowski”.

Żydów jest na świecie podobno siedm milionów. Proszę mi jednak wskazać terytorium i klimat, który by pasował do nich najlepiej i w którym by czuli się najszcześliwsi: Żydzi z Syberii, Żydzi z Algeru, Żydzi z Azji Mniejszej, Żydzi z Chin, ze Stanów Zjednoczonych, Anglii, Francji itd.

Gdzie jest taki kraj?...

Wyobraźmy sobie jednak, że istnieje podobna wyspa i że Żydzi przenieśli się na nią. Co z tego wyniknie?

Oto w ciągu roku liczba ich zmniejszy się do dziesiątej części. Żydzi bowiem są w całym znaczeniu klasą mieszczańską i ani z rolnictwa, ani z hodowli bydła, ani z rybołówstwa i myślistwa wyżyć by nie

mogli. Co gorsza, znalazłszy się na własnym chlebie, Żydzi nie tylko by go nie ugryźli, ale w dodatku: straciliby swój geniusz handlarski.

Dalej — jakim językiem porozumiewaliby się Żydzi zebrani z całego świata? Niemieckim, hiszpańskim, francuskim, arabskim czy tutejszym żargonem? Bo na ich hebrajszczyznę trudno liczyć, gdyż zapewne każdy wymawia ją na swój sposób, jak Europejczycy łacinę.

Przypuśćmy jednak, że Żydzi na owej wyspie pożyliby rok i rozmówiliby się ze sobą. Wówczas dopiero byłoby widowisko! Okazałyby się nie tylko zasadnicze różnice w obyczajach, ale nawet w religii, bo wyznanie mojżeszowe ma mnóstwo odcieni. I kto wie, czy przy znanej nietolerancji nie zaczęłaby się ogólna walka, w której Żydzi polscy, jako najliczniejsi, wytępiliby innych po to, ażeby z kolei zacząć tępić się między sobą.

Moim zdaniem, którego nikomu nie narzucam, Żydzi nie posiadają warunków istnienia jako naród. Zobaczymy teraz, czy mają warunki rozwoju.

Historia zna dwa gatunki narodów. Jedne pod wpływem cywilizacji doskonalą się i męźnieją, inne — giną. Żydzi, jako naród, należeliby do tych drugich. Ich odrębności: mowy, stroju, poglądu na świat, trwają o tyle, o ile nie oddziała na nie cywilizacja. Konserwatyści żydowscy czują to najlepiej i dlatego oświaty europejskiej nienawidzą. Kto zaś z nich raz przejdzie chiński mur separatyzmu, ten jest już stracony. Nie dlatego, ażeby między chrześcijanami znajdował zawsze szczerych przyjaciół, ale dlatego, że posiada popędy i zdolności, których ani Talmud, ani długi surdut, ani żargon zaspokoić nie mogą.

Czymże więc jest to plemię, którego nie podobna wytępić, a które nie posiada żadnych warunków do samodzielnego bytu i rozwoju?

Oto Żydzi są dziś kastą; w przyszłości zaś, o ile kastą być przestaną, będą ważnym czynnikiem nowej cywilizacji.

Po Nowym Roku trafił się dziwny wypadek.

Korespondent jednego z pism pod datą (jeżeli nie mylę się) 14 stycznia doniósł, że w Podzamczu i Maciejowicach dwór — utrzymuje nauczycielkę dla służby, założył szkołę parobczą, kupuje elementarze dla dzieci wiejskich, wypożycza im książki i spełnia inne obowiązki obywatelskie.

„W Maciejowicach i Podzamczu — kończy korespondent — nie trudno zobaczyć pastucha, który zamiast niszczyć gniazda w polu... czyta książkę...”

W kilka dni później znalazłem w „Kurierze Porannym” jakby dopełniającą wiadomość tej treści:

„Dnia 14 stycznia mieszkańcy Podzamcza widzieli piękne zjawisko. Oto o godzinie 2.30 po południu ukazały się na niebie, nad Maciejowicami... trzy słupy ogniste.”

Zestawiwszy oba fakty dochodzę do wniosku, że w naszym kraju dwór dbający o oświatę służby jest taką rzadkością, że aż natura zapala nad okolicą słupy ogniste. Obywatele ziemscy, którzy gustują w blasku, powinni by skorzystać z tej wiadomości i wyjednać sobie u Boga choć po jednym słupie nad każdym dworem. Da im to przecie realne prawo do tytułu: jaśnie oświeconych.

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 23

Kronika tygodniowa - Kurier Warszawski, rok 1881, nr 23, dnia 29 stycznia

Bal w Resursie Obywatelskiej, opisany przez uczestnika, który widział dziwne rzeczy. - Co grozi karnawałowym uciechom? - "Zebranie" w szynku na Nowej Pradze i uwagi z tego powodu. - Jacy specjaliści biorą u nas największe honoraria. - Optymizm broszury: wieczór u hrabiego X. - Co - na mocy tej broszury - powiedzą o nas w roku 101 881...

Urzędowe wrota świątyni tańców otworzyła Resursa Obywatelska balem, o którym pewien „uczestnik” zdał sprawę w „Kurierze Porannym” - „pragnąc podzielić się wrażeniami, jakie taż zabawa na nim uczyniła”.

„Bawiono się - mówi uczestnik - ochoczo... a damy nasze stanowiły uroczy wianek, tak wdzięcznie się przedstawiały, że oko i serce prawdziwie się radowały, ubrania ich nie przekraczały warunków obecnie przyjętej zasady skromności, ale za to ileż gustu, co pomysłów szczęśliwych w udrapowaniu i ułożeniu każdej części ubrania tak, że się zapominało” itd.

Nie dziwimy się, że na sprawozdawcy „taż zabawa uczyniła wrażenie”. I zwykłym śmiertelnikom „wdzięcznie się przedstawia” - „uroczy wianek dam”.

O ileż więc potężniej „radowało się oko i serce” jasnowidzącego „uczestnika”, który miał możliwość obserwować „udrapowanie i ułożenie każdej części ubrania tak... że się zapomniał”.

„Pomimo - konkluduje autor - że w ubraniach całych nie było wielkiego bogactwa, dawniej do przesady używanego, zabawa

zakończyła się o piątej rano, z życzeniem ogólnym, ażeby jak najprędzej drugą podobną komitet Resursy urządzić raczył."

Jakkolwiek trudno dopatrzeć się związku między bogactwami „w ubraniach całych” a „godziną piątą z rana” - „pomimo” to solidaryzujemy się z życzeniem, ażeby: komitet Resursy „jak najprędzej drugą podobną zabawę urządzić raczył” - dodając od siebie, ażeby po raz drugi mianował tego samego sprawozdawcę. Jeżeli bowiem „uczestnik” posiada styl niezbyt szczęśliwy, to jednak ma „oko i serce”, które pozwalają mu widzieć i radować się nawet - „udrapowaniem i ułożeniem każdej części ubrania”. Dalej zaś - co dla nas, nieuczestników, stanowi największą zaletę - ze swych spostrzeżeń nie robi tajemnicy.

Bez względu na świetny początek obawiam się, czy Warszawa w tym karnawale zaspokoi taneczne popędy. Nie tyle z braku chęci albo „dzielnych tancerzy” i „uroczych tancerek”, albo „salonów odznaczających się staropolską gościnnością”, ile z powodu - przepisów policyjnych.

Pomiędzy miastem i p. oberpolicmajstrem istnieją zbyt dobre stosunki, ażebyśmy w podobnym ogłoszeniu upatrywali szykanę.

Ale głowom rodzin już i tak przed każdym balem przybywa kilka siwych włosów na myśl: o muzyce, kolacji, sukniach, służbie... Kto wie zatem, czy warunek meldowania zabawy nie będzie w wielu wypadkach gwichtem, który szalę rozważli mężowskiej i ojcowskiej przechyli w stronę: dajcie mi tam spokój z tańcami!

Skutki łatwo przewidzieć.

Sfery stosunków między młodzieżą płci obojej uszczuplą się bardziej niż dotychczas, związki małżeńskie staną się rzadsze, a wraz z nimi — osłabnie wzrost ludności, stanowiącej, jak wiadomo, bogactwo narodów i państw, osobliwie w epoce obdłużenia.

Nie wątpimy, że szanowny naczelnik warszawskiej policji podpisując jedną ręką artykuł, drugą nie zaniedba przedstawić władzy

uciążliwości stąd płynących. Tym bardziej, że kłopot jest obustronny: zarówno dla ogółu, jak i dla policji.

Ponieważ każda rzecz ma dwie strony, więc wyliczywszy niedogodności meldowania zebrań, zobaczymy: co się trafia w zebraniach niemeldowanych.

Oto - w szynku na Nowej Pradze schodzi się na „kolację i naradę” towarzystwo „Niemców”, do których należą: Darier, Bernard, Van-Bevener i niejaki Zygmuntczyk. Obok nich zbiera się „na kolację” towarzystwo Polaków, a między innymi: August Hahn i Nikifor Czernyszew. Obie grupy zaczynają „naradzać się” w sposób bardzo ożywiony, po czym następuje „bal”. Polacy chwytają za butelki, nogi od stołów i krzesel, „Niemcy” za rewolwery; zaczyna się bój ręczny, wspiera go rotowy ogień; Polak August Hahn dostaje kulą w piersi, Polak Nikifor Czernyszew w jakąś inną część ciała, a „Niemcom” giną - portmonety i zegarki.

Na drugi dzień pisma płaczą nad „butą niemiecką” i nad tym, że cudzoziemcy uciekli się do „broni palnej”, do „strzelania z rewolwerów”, gdy tymczasem „żaden z robotników polskich nie tylko nie strzelał, ale żadnego narzędzia ostrego, jak: noża(!), siekiery (!!)

itp., nie użył”.

Jak trudno pisać historię, nawet wypadków wczorajszych, dowodzą fakta:

1° „Butni Niemcy”, którzy „uciekli się do broni palnej”, już po upływie dwudziestu czterech godzin zostali przemianowani na Belgijczyków, których chyba nikt nie posądza o „nienawiść mienną”.

2° Nazwiska osób przyjmujących pośredni lub bezpośredni udział w skandalu są do dziś dnia nie zdecydowane. Właścicielkę szynku - jeden ze współczesnych historyków nazywa Biflową, drugi - Rifflową, a trzeci - Pifelową.

Belgijczyk, chwilowo pełniący obowiązki Niemca, wedle jednych badaczy zwie się Darier, wedle drugich - Davir. Istnieje też

wątpliwość co do Polaków: Świderskiego czy Świdrowskiego, i Nienałtowskiego czy Nienałkowskiego o, że pominę Czernyszewa, którego niektórzy zwą: Czerwyszewem.

3° Prawdziwy chaos panuje w objaśnieniu przyczyn awantury... Jedni mówią, że walczyli „robotnicy Polacy” z „robotnikami belgijskimi” z powodu wydalenia z fabryki niejakiego Szewczykowskiego, który - „wśród nich siedział smutny, chwilami tylko wybuchający jakąś nienaturalną wesołością”. Drudzy twierdzą że: „zaczepekka nie miała innego celu, jak sprowadzenie zamieszania, które jest najlepszą sposobnością do kradzieży i rabunku”.

Naszym zdaniem, nie godzi się bez dowodów awansować ludzi ani na „męczenników”, ~ ani na „złodziei i rabusiów”. Była to szynkowniana bitwa, i nic więcej.

„Rozjuszeni” - jak mówi jedno z pism - „Belgijczycy” musieli naprawdę być w diabelnym strachu, skoro strzelali bez ładu i pamięci, raniąc przy tym - ludzi całkiem niewinnych.

Gorzka nauka, ażeby w tumultcie nie używać broni palnej!

W nieszczęśliwych zaś Polakach, widocznie pod wpływem woni prochu, zagrała krew - bo zamiast uciekać jak spokojni obywatele, oni szli na strzały jak do kufła. Już nasi „rodacy” chyba na wiek wieków pozostaną, czym byli. Do abecadła nie napędzisz, do awantury - jedyni.

Nastreczają się tu inne uwagi.

Jeżeli bójka była wywołana w celach „rabunku”, to czym się dzieje, że w Warszawie uczciwymi i spokojnymi robotnikami są: Bernard, Darier i Van-Bevener, a napastnikami i rabusiami: Szewczykowski, Nienałtowski i Świderski?...

Jeżeli zaś była to bójka między robotnikami tej samej fabryki, tylko różnej narodowości, to - skąd i dlaczego powstała nienawiść? Dlaczego Van-Bevener jest tym, który wydała z fabryki, a

Szewczykowski tym - którego wydalają? Dlaczego Van-Bevener i Darier mają możliwość złożyć po 500 rs kaucji, a Szewczykowski, Nienałtowski i inni - idą do kozy, jako posądzeni o napaść i chęć rabunku?

Dlaczego fabryka warszawska musi o setki mil sprowadzać Van-Bevenera, Dariera i Bernarda do kraju, w którym znajduje się przecież Szewczykowski, Świderski i Nienałtowski, ludzie zdrowi i silni?...

Czy to nie pochodzi z tego powodu, że Van-Bevener ukończył szkołę elementarną, potem rzemieślniczą, potem pracował jako majster w znakomitych fabrykach, a biedak Szewczykowski - niczego nie kończył i nic nie widział poza obrębem szynczku pani Biflowej, Riffłowej czy Pifelowej?...

A co będzie za kilkadziesiąt lat w kraju, w którym milionowi cudzoziemcy myślą o zakładaniu nowych fabryk, ale milionowi patrioci nie myślą o szkołach dla ludności pracującej?...

Ha! będzie dobra rasa... koni. Niedawno czytałem ogłoszenie, że: każda klacz pragnąca wejść w związki małżeńskie z niejakim panem „Le Sarrazin” musi wnieść w posagu rs 200.

Panowie: „Grand Daniel” i „Darck-Blue”, zadawalniają się 100 rublami, pan „Batory” bierze 80 rs, a pan „Mameluk”, parweniusz, poprzestaje na 6 rublach posagu i - 50 kopiejkach na stajnię.

Takie rzeczy u nas popłacają. Gdyby przyszło komu wydać 200 rs na założenie szkoły, głęboko by się zastanowił. Ale usługi p. „Le Sarrazin” są pożądane nawet - za 200 rs...

Praprawnuk pana „Le Sarrazin”, jeżeli się nie wyrodzi i nie zostanie dorożkarską hetką, będzie brał nagrody na wyścigach. A wnukom Szewczykowskich, Świderskich będą palić we łby wnukowie Van-Bevenerów jako napastnikom i rabusiom reprezentującym polską narodowość w szynkach na Nowej Pradze!...

Płochliwy czytelnik gotów mnie posądzić o zamiar sięgania do kieszeni ludzi zamożnych na benefis szkół fachowych.

Boże uchronij!

Nie mówię w tej chwili o pieniądzach. Gdyby między ludźmi zamożnymi istniał popęd do zakładania szkół i szerzenia oświaty, wówczas czytalibyśmy w pismach reklamy tej treści:

„200 rs otrzyma specjalista, który napisze najlepszy podręcznik do wykładu mechaniki.”

Ale że wśród nas przeważa popęd do wyścigów, więc 200 rs otrzymuje specjalista „Le Sarrazin”, a 100 rs specjalista „GrandDaniel”.

Taki stan rzeczy nie dziwi mnie ani gorszy. Nie mam zamiaru być apostołem, który nawraca - ani prorokiem, który wyklina. Notuję fakt i dla wiadomości rodziców ogłaszam, ażeby wychowywali dzieci nie na uczonych, nie na artystów, nie na techników, lecz - na „Le Sarrazinów”, a przynajmniej - na „GrandDanielów”.

Ten fach procentuje; do innych trzeba dokładać.

Ale pan B. R., autor Wieczoru u hrabiego X, mówi, że czasy zmieniają się i niebawem ludzie „dobrze” urodzeni i majątni, zamiast nad hodowlą wyścigowych koni, będą naradzać się nad sposobami produkowania uzdolnionych techników.

Wieczór u hrabiego X jest to broszura przypominająca powieści fantastyczne Hoffmanna. Wprawdzie nie mówi się w niej o duchach, bo dziś nikt w duchy nie wierzy, ale - o hrabiach i o bankierach, którzy pragną nie żartem popierać oświatę i przemysł. Za kilkadziesiąt lat i w te strachy ludzie wierzyć przestaną, a wówczas Wieczór u hrabiego X będzie miłą pamiątką nadziei, jakie tutejszokrajowa demokracja buduje na arystokracji.

Przypuśćmy jednak, że Wieczór u hrabiego X, zamknięty w metalowej puszcze i zakopany w ziemi, odnajdzie jakiś archeolog za 100 000 lat. Rozumie się, że broszura będzie cennym materiałem do charakterystyki naszego pokolenia i że na jej podstawie ówcześni ludzie zechcą rozstrzygnąć pytania następujące:

1. Czym zajmowali się hrabiowie i bankierzy z r. 1881?
2. Jak wyglądali, jak mieszkali itp.?

Oto co odpowiedzą archeologowie i w co (za lat 100 000) uwierzą ludzie.

„Zajęcia hrabiów i bankierów z końca XIX wieku były nader poważne. Schodzili się oni w «pałacu hrabiego X przy ulicy do godziny dziewiętej wieczór. Potem hrabia X zabierał głos i mówił, mówił, mówił aż...

Mówił, że trzeba nabywać kopalnie, ażeby nie wykupili ich Niemcy, potem, że ludzie majątni powinni na swój koszt kształcić młodych techników, a potem, że trzeba zachęcać ludzi do robienia praktycznych wynalazków.

Po hrabim X zabrał głos bankier Y, który chciał regulować koryto Wisły, zakładać wielkie towarzystwo do handlu z Cesarstwem, zaprowadzić instytucję nauczycieli wędrownych i wydawać tanie książki dla ludu.

Potem zebrani dostali «kieliszek szampana i krzyczeli: «Kochajmy się!»

Widzimy z tego - mówi archeolog za 100 000 lat - jacy pomysłowi i dobrzy obywatele żyli w wieku XIX. Gdyby nie broszura jakiegoś B.R., nie wiedzielibyśmy nawet o ich istnieniu, a co gorsze, nie moglibyśmy tych starożytnych mężów stawiać za wzór obecnie (tj. za 100 000 lat) żyjącym pokoleniom.

Zobaczmy teraz - mówi dalej archeolog - jak wyglądali i jak żyli wielcy patrioci XIX stulecia. Broszura B.R. i pod tym względem dostarcza szacownych wskazówek.

Przede wszystkim - nazwiska ich były jednozłóskowe. Hrabia zwał się X, bankier Y, a sam autor - B.R...

Dalej - hrabia X mieszkał «w pałacu z oknami, z organów anatomicznych miał «wargi» i «rękę», a na jego «bilecie wizytowym znajdowała się «korona». Czy jednak posiadał - głowę on albo który z gości? o tym autor nie wspomina.

Z broszury można także poznać stan nauk i logikę XIX wieku. Hrabia X mówi «o całkowaniu różniczek, co dowodzi, że już o nich słyszano. Gdy jednak wypadło pomnożyć 25 przez 26 - «niektórym aż pot wystąpił na czoło.

Tak w owej epoce stała matematyka: rozprawiano o całkowaniu różniczek, a nie znano tabliczki mnożenia. Z logiką było jeszcze gorzej. Hrabia X przez trzy stronicie wyklada obecnym, co powinni zrobić dla kopalnictwa? - i - mowę swoją kończy zdaniem:

«Jakże ja mogę zabrać się do kopalnictwa, kiedy nie mam o nim najmniejszego pojęcia?». Wtedy obecni «przyklasnęli mu» (idem).

Przytoczone fakta dowodzą, że znakomici mężowie XIX stulecia, którzy zaprowadzali w kraju tak skuteczne reformy, pod względem naukowym stali na stopniu nazywającym się w naszych czasach - blagierią. A pomimo to jakimież byli oni obywatelami, jakimi przedstawicielami narodu!... Widać, że gruntowna nauka nie była nigdy potrzebna tym, którzy losom społeczeństwa - chcą nadawać kierunek.

Nie możemy pominąć jeszcze jednego szczegółu.

W owej epoce była taka drożyzna, że musiano czas kupować.

«My jeśli nie mamy czasu - mówi bankier Y - to możemy go mieć, bo możemy sobie czas kupić».

Wzmianka ta jest niesłychanie ważna. Wiadomo, że ludzie w XIX wieku mieli duże kapitały; nawet broszura wspomina o milionach rubli. Jeżeli więc mieli pieniądze i dobre chęci, to dlaczego nie pozostał najmniejszy ślad ich działań?...

Sądzę - mówi archeolog - że z dwu powodów. Primo - dlatego, że wiedza, ich była (w znaczeniu dzisiejszym) oparta na blagierii, a secundo, że wielcy patrioci i statyści musieli ogromne kapitały przeznaczyć na - «kupowanie czasu».

Takim był wiek XIX. Panowały w nim nieuctwo i drożyzna, a jedynymi światłami na tle powszechnej ciemnoty byli - ówcześni hrabiowie i bankierzy.

Wprawdzie nic po nich nie zostało. Ale pomimo to nazwiska ich będą na wieki symbolem dbałości o dobro kraju.

Szkoda tylko, że dzisiejsi ich następcy tak odrodzili się od «znakomitych pierwowzorów»!"

W ten sposób archeolog z roku 101 881 sądziłby, na podstawie: Wieczoru u hrabiego X, dzisiejsze stosunki, za pomocą metod, jakich my używamy do badania ludów i języków umarłych.

A ponieważ, jak wiadomo, dzisiejsze metody są całkiem pewne i dają rezultaty prawdziwe, więc i zacytowany przez nas pogląd archeologów z roku 101 881 również będzie prawdziwym.

Niech więc radość napęlni serca, że żyjemy w wieku, o którym tyle dobrego powiedzą dalecy nasi następcy.

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 28

Wspomnienia o p. Tissocie – i – jego listy z Paryża. - Co „zmalował” kronikarz „Niwy” jako romansopisarz. - Listy p. Goldfedera, jego przyjaciół i wrogów. - Niezdecydowanie się prasy wobec nadużyć miejskich i wiejskich. - Projekt „Wystawy... starożytności” w Lublinie.

W końcu roku zeszłego czy na początku bieżącego spotkał! nas honor. Popularny turysta, p. Tissot, raczył odwiedzić Warszawę.

Witaliśmy go jak Mesjasza. Jedni - jako największego podróżnika, drudzy - jako najślawniejszego literata, inni jako przedstawiciela Francji, który miał zbadać rzeczy na miejscu i - zdać o tym szczegółowy raport...

Jeszcze inne - nie znające się ani na podróżach, ani na literatach - witały w p. Tissocie przystojnego mężczyznę. Byli zaś i tacy, którzy myśleli, że pan Tissot specjalnie zajmuje się robieniem - ludzi wielkich, ogłaszając po Europie czyny zwykłych miernostek.

Przeżyliśmy chwile uroczyste. Każdego wieczora celebrowano jakiś raut z wystawieniem pana Tissota, a damy i panowie, we frakach, białych krawatach, dekolowanych sukniach, słowem: wszyscy - składali hołdy p. Tissotowi na nutę:

Przed tak wielkim korespondentem
Upadajmy na twarze!...

Potem p. Tissot - raczył nas osierocić, lecz schwytyany za serce uprzejmością, jaka go nigdzie nie spotkała, postanowił - uszczęśliwić nas na dwa różne sposoby.

Naprzód - opisem swego pobytu w Warszawie.

Po wtóre - swymi korespondencjami z Paryża, przeznaczonymi wyłącznie dla Polaków.

Obie te wiadomości zachwyciły naród.

Od tej pory nie będziemy już negowani jak Lapończycy! Paryż i Europa dowiedzą się, że na ziemi istnieje jakaś Warszawa, w której p. Tissot był i w której robił - spostrzeżenia. A Rzeczpospolita Francuska...

Ale... o tym cicho!... nie zdradzajmy tajemnic stanu...

Takie miały być płodne skutki pobytu pana T. w Warszawie. Co się tyczy jego korespondencji z Paryża, na tych opieraliśmy jeszcze śmielsze nadzieje. Byliśmy pewni, że teraz już - poznamy do dna życie rodzinne, towarzyskie, ekonomiczne, moralne, umysłowe i polityczne - wszystkich klas stolicy świata. Wszystkich!... Zaczawszy od sławnej pamięci gałganiarzy i uliczników paryskich, a skończywszy na prezydencie Rzeczypospolitej i różnej barwy kandydatach na jego posadę.

Jakoż pani Tissot wziął się do rzeczy z energią.

Długi pobyt w Niemczech i studia nad tamtejszą filozofią zrodziły w p. Tissocie smak do metody historycznej. Więc w pierwszych listach dał nam ten podróżnik obraz dziejów Paryża w jego największych geniuszach, jakimi byli: Blanqui, Heine, Musset i pewna dama, która przed wojną sewastopolską prowadziła dom otwarty.

Po tej przegrywce miał p. Tissot dać nam obraz dzisiejszego Paryża. Ale, o bogi!... właśnie w chwili, kiedy podobna idea zbudziła się w duszy p. Tissota - spadł śnieg, ścisnął mróz i... Paryż zamarzł!

Cały Paryż, całe te dwa miliony mieszkańców, wszystkie akademie, fabryki, szkoły, instytucje przemysłowe i dobroczynne, krótko mówiąc - wszystko zamarzło!...

Został tylko p. Tissot, który nie mogąc już pisać o nieistniejącym Paryżu, a jednak chcąc oświecić polskie nieuctwo, napisał - zgadnijcie o czym?...

Oto - o Kaukazie!... Z Paryża o Kaukazie!... Na podstawie książki świeżo wydanej, co tak wzruszyło odnośnego redaktora, że aż udzielił znakomitemu współpracownikowi - wnuszenie.

W listach następnych zechce zapewne p. Tissot zapoznać nas z Syberią, Chinami, Egiptem i tym podobnymi krajami, o których nie mamy pojęcia. Otóż proponuję (dla oszczędzenia p. Tissotowi wzroku przy czytaniu „najnowszych podróży” po krajach nieznanach), ażeby: wielbiciele i wielbicielki pana T. wysłały mu tych naszych rodaków, którzy nie tylko „nieznane kraje” widzieli na własne oczy, ale robili tam studia naukowe.

Spodziewamy się, że przy ich pomocy nie zbraknie p. T. materiału do dalszych korespondencji „z Paryża”. A ponieważ utalentowany autor ma także zamiar opisać i Warszawę, radzimy więc, aby przetłumaczono mu etnograficzne dziełko śp. Szobera pod tytułem: Podróż po Warszawie, i takowe wysłano do literackiego użytku.

Tym sposobem p. Tissot zapozna się bliżej ze społeczeństwem polskim, o którym musi mieć opinię bardzo łada jaką, jeżeli siedząc w Paryżu, zaszczyca nas listami o... Kaukazie.

W chwili gdy Paryż zamarzył, a ludzkość z obawą i (nadzieją) pyta: czy będzie jaka inna stolica świata - i - które z miast dostąpi tego honoru? w tej chwili Warszawa - poczynna dawać znaki życia.

Owe znaki nie dzieją się bynajmniej wedle zakonu „Prawdy”, która dowodzi, że te narody, a więc i te miasta, „żyją”, które - „myślą”. „Myśl, a będziesz” - mówi „Prawda”.

Na to zaś odpowiada Warszawa

- Ja na myślenie nie mam czasu i bardziej smakuje mi zasada: „Rób skandale, a będziesz!...”

Ściśle biorąc, to ani Warszawa, ani nikt nie robi? skandalów. Zrobiły się one same, przypadkiem, z winy pewnego ambitnego dziennikarza.

Kronikarz „Niwy” - który chce zdawać egzamin na nowelistę a la Gaboriau et Comp., Walery Przyborowski i inni - napisał powiastkę kryminalną.

Był sobie - mówi kronikarz - niejaki pan X-er, finansista, który od wielu lat robił interesa pieniężne z panami Ypsylonierami, przemysłowcami. Trzeba nieszczęścia, że ten p. X-er pokłócił się ze swoim buchalterem, który dla dokuczenia pryneypałowi przeszedł do innego finansisty, pana Zetaua, i - zdradził przed nim tajemnicę niektórych finansowych operacji p. X-era.

Między innymi powiedział ów buchalter, że p. X-er, finansista, w stosunkach z pp. Ypsylonierami, przemysłowcami, popełnia „omyłki” w rachunkach, skutkiem czego pp. Ypsylonierzy, nie wiedząc o tym, stracili kilkadziesiąt tysięcy rubli, które p. X-er zyskał.

Tyle napisał kronikarz „Niwy” i był ogromnie kontent, że udało mu się stworzyć tak kryminalną historię.

- A co - mówił chodząc po mieście - zły pomysł?... Gaboriau umarł ze zgryzoty, a Przyborowski - już mi się nie kłania!...

I był pewny, że jego powieść jest genialną fantazją.

Już obstalowaliśmy honorowy obiad dla świeżo upieczonego autora - już „Echo” zobowiązało się raz na tydzień robić sprawozdania z jego kryminalnych romansów - już „jedno z pism” miało otworzyć gościnne szpalty na zbesztanie nowego talentu - już Przyborowski zaczął obchodzić lasy, bagna i trupiarnie w celu napisania jeszcze kryminalniejszej powieści, gdy wtem... P. Goldfeder, współczesny finansista warszawski, wystąpił z artykułem, w którym dowodził, że aczkolwiek on jest X-erem, opisanym w „Niwie”, wszelako tak brzydkich interesów, o jakich mówiła „Niwa”, on nie popełniał. To wymyśl jego współzawodnika, p. Zetaua!

Po liście p. Goldfedera wystąpili dwaj przemysłowcy z Pabianic, pp. Krusche i Ender, którzy twierdzą, że oni są opisanymi w „Niwie” Ypsylonierami, że - między nimi a p. Goldfederem istniały stosunki pieniężne i niejaki różnice w rachunkach, ale że różnice te są „drobne i wszędzie trafić się mogą”. Dodali w końcu, że kwasu tego narobił pewien młody człowiek, który wystąpił „z interesu” p. A. Goldfedera i zaangażowany został do p. Wilhelma Landau, współzawodnika i nieprzyjaciela p. G.

W trzecim akcie ukazuje się - niejaki p. M. Lubawski, który twierdzi, że on jest buchalterem opisanym w „Niwie”, ale że „drobne różnice” między firmą A. Goldfeder i firmą Krusche i Ender dosięgają cyfry 20 000 rs.

Takim to dziwnym trafem ambicja kronikarza „Niwy” narobiła ciężkiego zmartwienia finansistom, przemysłowcom i buchalterom!

Nie koniec na tym. Los bowiem - jak gdyby chcąc przekonać, że on jest najlepszym powieściopisarzem, wmieszał do gry i p. Wilhelma Landau. Finansista ten został okradziony na setkę tysięcy rubli, a jego inkasent otrzymał tak silny cios toporem w głowę, że aż krew z sieni bryzgnęła do kantoru, podobno już zamkniętego.

Same cuda!...

Kronikarz „Niwy” sinieje z żalu, a Przyborowski pisze romans taki kryminalny, że jego dom, jak rzeźnia, ma być poddany dezynfekcji, zaopatrzone w kanały, wodociągi itd.

Zaś „jedno z pism” chce kronikarzowi „Niwy” wystylizować pochwałę, jako talentowi, z którego już - nic nie będzie.

Dziś sprawa między pp. Goldfeder et Comp. jest całkiem zagmatwana i tylko śledztwo mogłoby ją wyjaśnić. Panowie ci robią wrażenie znakomitych gimnastyków, którzy jak złączą wspólnie wywracać kozły, tak w wirze tym ginie wszystko: ręce, nogi, głowy, barwy odzienia i - tworzy się jedna, szara kula.

Swoją drogą każdy z interesantów upewnia, że on ma słuszość i że działa w dobrej wierze. Zatem - wszyscy ci panowie mają słuszość, ich zaś drastyczne artykuły oparte są na nieszczęsnym nieporozumieniu, które trwoży publiczność, a giełdę - strasznie gorszy.

Sprawę tę skończyć należy tak czy owak. Albo przed sądem kryminalnym, który ukarze winowajców, albo przed sądem - honorowym, który pogodzi zwaśnionych.

Waśń, osobliwie między ludźmi fachowymi i zdolnymi, jest rzeczą szkodliwą. Niech więc strony pojedną się, a dla ukarania swojej literackiej popędliwości, niech - wygłoszą trzy publiczne odczyty na cele dobroczynne.

Jeden z panów mógłby nauczać - buchalterii.

Drugi - przedstawiłby ogólną teorię operacji finansowych: korzystnych i mniej korzystnych.

Trzeci - mówiłby o arbitrażu, czyli: o sposobach najkorzystniejszego operowania kapitałami.

Pomimo naszą argumentacją niektórzy sądzą i sądzić będą, że kronikarz „Niwy” nie pisał fantastycznego romansu, ale ogłosił fakt, czyli jak się u nas niekiedy mówi: „ujawnił nadużycie”.

Prasa nie czekała na listy p. G. et Comp., ale powtórzyła artykuł „Niwy”, wzbogacając go tu i ówdzie własnymi uwagami.

Prasa jest w porządku.

Podobne nadużycia to klęska kraju, to choroba, która toczy narodowy organizm, i powiedzmy prawdę: gnoi się w ostatnich czasach. Należy więc ostrzegać opinię publiczną, budzić ją i tłumaczyć, że: ludzie, którzy w jakikolwiek sposób wyzyskują bliźnich, są ludźmi złymi i że pobłażać im nie wolno, pod karą upadku moralnego i materialnego.

Ale prasa przy ogłaszaniu takich faktów powinna być idealnie bezstronną, tj. wytykać nadużycia wszędzie - gdziekolwiek one zachodzą. Niech wobec występku nie istnieje klasyfikacja ludzi na starozakonnych i chrześcijan, ...erów i ...s k i c h, finansistów i obywateli ziemskich.

Tymczasem tak nie jest. Awantura warszawskich finansistów grzmi jak głos dzwonu po wszystkich pismach. Ale awantury „ziemiańskie” pokrywają się dyskretnym milczeniem albo ogłaszają się w formach złągodzonych.

Niedawno „Gazeta Kielecka” napisała, podobno bajkę, o właścicielu majątku, który pragnąc, aby dobra jego wystawiono na licytację i w ten sposób zepchnięto część długów -nie płaci rat Towarzystwu Kredytowemu Ziemskiemu.

Natomiast raty te płaci wbrew kontraktowi dzierżawca, ponieważ boi się požądanej przez właściciela licytacji. Ów dzierżawca jest zarazem wierzycielem i przy wystawieniu majątku na sprzedaż może stracić swój kapitał.

To opowiadanie „Gazety Kieleckiej” ma być fałszywe, ponieważ między wierzycielem i właścicielem są jakieś poboczne rachunki. Fakt przecie należało rozgłosić, w nadziei, że miejscowa opinia dojdzie ładu - niewinnego zrehabilituje, a nadużyciom kres położy.

Pisma jednak milczały, a jedno z nich, donosząc o fakcie, zaczęło od słów: „To pewnie wyjątek!...”

Co za wyjątek? To nie wyjątek, ale skarga na wyzyskiwanie, to nieszczęście dla dzierżawcy, a wstyd dla właściciela. Sprawa p. Goldfedera et Comp. jest także „wyjątek” - a raczej: zbiór wyjątków. A jednak pisano a niej gęsto, wyciągnięto sens moralny i zmuszono interesowanych do wyjaśnień. Publiczność już wie, gdzie się pali, i ręki tam nie włoży.

A może pisma trzymały „wyjątek” kielecki w tajemnicy dlatego, aby nie kłać gniazda?... Lecz któż kłał gniazdo: czy ten, kto krzywdzi dzierżawców i chce skrzywdzić wierzycieli, czy ci - którzy domagają się sprawiedliwości?...

Występek jest zawsze występkiem, czy chowa się za szyld handlarza, czy za herbowną tarczę. Ale staje się groźnym niebezpieczeństwem wówczas, gdy opinia zmuszona jest do milczenia, czy to przez obawę, czy przez niewczesny sentyment.

Złe to gospodarstwo społeczne, gdzie jedno pochodzenie albo zajęcie jest jak pręgierz, na którym wszystkich uważa się za zbrodniarzy, a inne pochodzenie i stanowisko jest jak forteca, w której ukrywać się może nawet występek. Lepiej będzie, jeżeli każdy obywatel kraju bez względu na wygnanie, fach i rasę przekona się, że opinia publiczna mierzy jego cnoty i grzechy, ale nie długość brody albo surduta.

Surdut można obciąć; krzywdę trudno naprawić.

Lublin chce mieć wystawę, ale swoją własną, lubelską. Nie będzie to wystawa przedmiotów do nauczania służących ani wystawa lubelskiego przemysłu, ani wystawa lubelskiej sztuki, ale - wystawa „starożytności”.

W tej kwestii Lublin, pamiętający czasy Leszków, podobny jest do człowieka, który nosi czapkę na głowie, a szuka jej po całym domu.

„Starożytności” tych dostarczy okoliczne obywatelstwo. „Tam - mówi organ miejscowy - znajdują się odwieczne gobeliny (i makaty - owdzie starożytny zegar - gdzie indziej misternie wyrobione modele naczyń (?...), w innym miejscu zbiór pucharów (!...) pamiętających czasy Augusta III, a nawet - w pewnym miejscu... trzewiczek królowej Bony (!...)”.

Ciekawy jestem, jaką korzyść obiecują sobie lublinianie z obejrzenia „makat”, „gobelinów” - a choćby nawet owych misternie wyrobionych naczyń"?... Wiadomo mi, że ludzie tamtejsi zawsze pasjami lubili bony, ale na co przyda się im - „trzewiczek królowej Bony”?!...

W każdym razie wystawa byłaby charakterystyczną. Dowiodłaby ona prawdy starej jak świat, że:

Gdzie przeszłość zostawia tylko „zbiór pucharów” i „trzewiczki” jako jedyną spuściznę, tam terażniejszość ma do pokazania bardzo niewiele.

Chciałbym Lublinowi wyświadczyć usługę i dlatego powiem:

Dajcie spokój „naczyniom”, „pucharom”, „trzewiczkom”, bo one ani was zbawią, ani zabawią. Gdybyście poza obrębem „naczyń” nie mieli nic więcej do pokazania, byłoby źle. Na szczęście, jest lepiej.

Macie pewniejsze tytuły do sławy i „misterniejsze modele” do naśladowania. Posiadacie obywateli, którzy w epoce powszechnego letargu troszczyli się o rozwój rolnictwa i utrzymanie solidarności.

Macie takich, którzy zakładali ochronki miejskie i wiejskie - wyrabiali kredyt sąsiadom - przeprowadzali projekta czytelní ludowych - pisali ustawę emerytalną dla oficjalistów - urządzali zabawy dla służby - leczyli chorych włościan - uczyli ich dzieci...

Oto wasza „wystawa”.

Nie zasłaniajcie jej „pucharami z czasów Augusta III” - „trzewiczkami Bony” i - „misternymi naczyniami”, które niech odpoczywają w kącie...

Lada milioner zasypie waszą „wystawę” jeszcze „starożytniejszymi” okazami, które dziś sprzedają na wszystkich jarmarkach. Ale cnót obywatelskich nie zdoła zakryć owym „misternym naczyniem”, które...; chcecie pokazywać Lublinowi jako specjał.

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 34

Starcie między „ubogimi” i „bogaczami” o sen i taniec. - Z czego wypływa niezbędność otworzenia resursy rzemieślniczej. - Znaczenie prasy wobec „ubogich” i „biednych”. - Obława na p. Grabowskiego. - Czy słuszna... - Różne zawody, o których milczymy. - Rada, ażeby dać pokój „bogaczom”. - Słówko o lichwie.

Ludzie miewają rozmaite potrzeby, nie zawsze zgodne. Sprzeczność interesów prowadzi do starć, które jakkolwiek są małe, pozostawiają w sercu strony słabszej uczucie krzywdy. Właśnie otrzymałem opis podobnego starcia. W pewnym domu na facjacie mieszka rodzina: „matka emerytka, wraz z córkami, biednymi pracownicami, i bratem rzemieślnikiem”. Mieszkanie to zajmują - „lat parę, a nawet kilka, i płacą regularnie 90 rs na rok”.

Po takim wstępie autor listu zadaje nieoczekiwane pytania:

„Czy ludziom tym - mówi - wolno raz w rok zabawić się, wyprawiając wieczorek ze skrzyпка?...”

I pyta dalej:

„Czy lokator (widać sąsiad owej rodziny) ma prawo przysyłać służącą (z nakazem), żeby nie było takiej hecy?...” (to jest „zabawy ze skrzyпка”...) I na koniec:

„Nie dosyć na tym, ale jeszcze sam pan gospodarz odzywa się w tym guście...”

Krótko mówiąc, uboga rodzina urządziła wieczorek tańczący, sąsiad zaś jej wspólnie z gospodarzem domu zepsuli zabawę, a co gorsze, nazwali ją: „taką hecą!...” Pomimo to że dobrzy ludzie „płacą regularnie 90 rs co roku” za swój lokal.

Musi to być niewygodne miejsce do tańca... Swoją drogą bawiono się w nim nienajgorzej, jeżeli - „była skrzypka”, a niecierpliwy sąsiad nazwał ową zabawę aż: „taką hecą!”

„Mój Boże! - woła autor listu - za nasze mordęgi w takim mieszkaniu nie wolno nam swobodnie oddychać. To przechodzi wszelkie pojęcie!..”

Krzywdą boli ich tak mocno, że aż wołają o ratunek.

„O, mój zacny panie, jeżeli wy, ludzie ukształceni, nie będziecie nas bronić swym piórem przeciw bogaczom, to musimy coraz iść do upadku; jeżeli prasa nie stanie w obronie, to będzie coraz więcej ucisku!...”

Jużci prawda, że to „ucisk”, gdy ludzie pracowici nie mogą zabawić się raz na rok. Swoją drogą autor listu nie robi z tego powodu awantur. On czuje, że mu jest źle z podobnym stanem rzeczy, ale nawet nie skarży się, tylko - pyta o zdanie i radę:

„Raz jeszcze, panie, proszę w imieniu biednych moich współbraci, odezwij się. Nie jest to skarga z naszej strony. Ale napisz sam, jak ci twoje serce i uczucie podyktuje.”

Cóż ja ci na to powiem, mój panie rzemieślniku?... Chyba tyle, że i wy macie racją, i... wasz sąsiad także ma racją.

Dla człowieka zabawa jest potrzebna jak pokarm, ale potrzebna jest - i - spokojność. Miło - tańczyć, ani słowa; ale - miło także spać. Przykro być musi, jeżeli kto podczas zabawy przysyła służącą z nakazem: „ażeby nie było takiej hecy!”. Tańczącym - robi się wtedy, jakby ich kto zimną wodą oblał. Ale z drugiej strony przykro jest słuchać muzyki i tańca wówczas, gdy człowiek rad by wypocząć w łóżku.

Wasza więc przygoda nie jest „uciskiem bogaczy”, ale zwykłym starciem się interesów. Wy chcieliście się bawić, a sąsiad chciał mieć spokój. Prawa były równe, choć skutki wykonywania ich niejednakowe. Sen sąsiada nie przeszkadzał wam tańczyć, ale wasz

taniec przeszkadzał sąsiadowi spać. Dla utrzymania równowagi on przysłał do was służącą z upomnieniem.

Na podobne zatargi jest tylko jedno lekarstwo: ażeby zabawy tańczące odbywały się zbiorowo, w salach umyślnie na ten cel przeznaczonych.

Gdyby istniała resursa rzemieślnicza, o której od kilku lat piszemy (a której nikt nie zakłada), ludzie mniej zamożni mieliby doskonałe miejsce rozrywek.

Byłaby sala duża, muzyka, liczne towarzystwo, a wszystko - za mały grosz. Instytucja podobna oszczędziłaby rzemieślnikom nudów, kłopotów i wydatków.

Dopóki resursy nie ma, rzemieślnicy radzą sobie tak, że wyprawiają wieczory zbiorowe w salach najętych. Do tej pory bawili się w taki sposób drukarze i ślusarze; o innych fachach nie słyszałem, widać, że między nimi nie ma solidarności. A szkoda, bo gromadzie zawsze weselej niż ludziom rozsypanym.

W każdym razie fakt ten charakteryzuje klasę naszych oświeconych rzemieślników. Są oni niebogaci, mieszkają całą rodziną w ciasnocie, ale gotowi bawić się i tu, choćby „raz na rok”.

Gdy im kto przerwie, nie robią skandalu, nie składają w pismach ofiar „na Szpital Jana Bożego” albo „na instytut moralnej poprawy”, ale - radzą się i żalą. Zresztą chodzi im nie tylko o nich samych, ale i „o biednych współbraci”, którym także trudno urządzić zabawę.

„Bogacze”, którym słusznie miły jest wypoczynek, mogliby w zamian postarać się dla tych ucziwych ludzi o koncesję na resursę rzemieślniczą.

Jest to rzecz pocieszająca, że rzemieślnicy i w ogóle stan średni poczyna coraz częściej zwracać się do prasy jak do swego doradcy i przyjaciela.

Tym sposobem klasa bardzo liczna, ale dotychczas nie mająca głosu ani znaczenia w społeczeństwie, wytworzy sobie duchowe ognisko i wystąpi na scenę interesów publicznych. My zaś, dziennikarze, pozyskamy siłę moralną, za pomocą której, choć do pewnego stopnia, będzie można równoważyć wszechmocną potęgę kapitału i urodzenia.

Pora przypomnieć tym czynnikom, że one nie są jedynymi w kraju i że w swoich czynach muszą brać w rachubę nie tylko interesa, pojęcia i upodobania własne, ale i interesa mas, na których opiera się ich znaczenie.

Wśród wszystkich klęsk, jakie na kraj spadły, jest fakt pomyślny, że na widownię publiczną, którą dotychczas zapełniała tylko klasa „dobrze urodzonych” - występują warstwy nowe. Przez kilkanaście lat prasa trudniła się legitymowaniem bogatego mieszczaństwa: wykazywała jego obywatelskie zasługi, jego równość wobec uprzywilejowanych i domagała się dla niego o prawo głosu.

Dziś plutokracja, bez względu na tytuł i wyznanie, zajęła należne jej stanowisko.

Przychodzi kolej na tych, którzy nie błyszczą ani majątkiem, ani tytułami, ani stosunkami; przychodzi kolej na małych właścicieli, małych kupców, małych rzemieślników. Niech i o nich świat dowie się, że istnieją i że mogą wywrzeć wpływ, choćby - na wybory do rady miejskiej.

Dobijając się jednak o prawo ubogich i maluczkich, nie trzeba występować z fałszywymi pretensjami do „bogaczy”. System taki, stosowany energiczniej, mógłby zasiać niezgodę między klasami, a w każdym razie doprowadzić do skutków potwornych.

Oto przykład.

Podczas jubileuszu Kraszewskiego umyślono założyć instytucję szerzenia oświaty - pod nazwą „Macierz”. Instytucja ta, rzecz prosta, przeznaczona była do szerzenia oświaty między ubogimi, ale -

przynajmniej w początkach - oprzeć się musiała na pieniądzach dostarczonych przez „bogaczy”.

Rozumie się, że fundusz musiał powstać z ofiar dobrowolnych; zdobywanie pieniędzy maczugą albo nożem nie wchodzi do programu, nawet - towarzystwa oświaty.

Tymczasem prawie zdarzyło się inaczej.

P. Ludwik Grabowski, były urzędnik w jednym z miast prowincjonalnych, odziedziczył znaczny majątek i w zapale, podobno przy kolacji, obiecał ofiarować na rzecz „Macierzy” - 20 000 rs.

Pisma doniosły o tym, zawczasu mianując p. G. „naszym znanym dobroczyńcą”. Ale zanim wieść obiegła wszystkie dzienniki, pojawiły się ogłoszenia zaprzeczające:

„Pan L. G. nie dał jeszcze na «Macierz» obiecanych 20 000.”

„Pan L. G. miał zamiar dać 20 000 rs, ale - rozmyślił się.”

„Pan L. G. wcale nie miał zamiaru dawać 20 000 rs na «Macierz».”

„Pan L. G. jeszcze nie dał 20 000 rs, ale zapewne da...”

Słowem - na nieszczęsnego pana L. G. urządzono obławę. Kto w Boga wierzył, chwycił za duchowy oręż i gromił nim pana L. G. wprost lub przez elewację, przypominając mu, że złamał słowo, że nieuczciwie jest łamać słowo, a nawet - że człowiek, który odziedziczył majątek i nie ma rodziny, powinien dać na „Macierz” - 20 000 rs.

Nie ulega wątpliwości, że „Macierz” jest potrzebna - że prasa działa w dobrej wierze i z uczciwymi zamiarami i - że p. L. G. uрониł nieostrożne słówko.

Pytanie jednak, czy opinia publiczna ma prawo używać tak silnego nacisku w celu zmuszenia jednostki do... cnoty?...

Przecie ofiara na rzecz publiczną jest nie tylko ofiarą, ale i - honorem dla dającego. Kto składa podobny datek, tego otacza wyjątkowa cześć, ten kupuje sobie pamięć u potomnych, przynajmniej na tak długo, dopóki istnieć będzie obdarowana instytucja.

Z tego powodu zdaje mi się rzeczą niesłychaną zmuszać kogoś, ażeby stał się sławnym i był otoczony wyjątkową czcią. Co więcej - podobny nacisk jest gwałtem zadany ludzkiej i obywatelskiej swobodzie.

Ofiary z majątku, czasu, wiedzy, zdrowia i życia są pięknymi czynami. Ci, którzy ratowali ginących w studni - ów majster murarski i policjant, którzy przed kilkoma dniami wydobyli matkę i dzieci z płonącego domu, to bohaterowie! Wyobraźmy sobie jednak, jakby świat wyglądał, gdyby każdego z nas pchano gwałtem do walącej się studni, do - płonącego domu albo do innych widowni „pięknych czynów”?...

Śmieszne jest zapowiadać wielkie dzieło - i - nie wykonać go. Ale zmuszać do wielkich dzieł jest niebezpiecznie. Ów p. L. G., rozmyśliwszy się, może by dał na „Macierz” zamiast 20 000 rs tylko - 200 rs. Dziś nie da zapewne ani grosza, bo prześladowanie, któremu uległ, onieśmieli go, jeżeli nie zniechęci do wszelkich ofiar.

Powie kto, że z p. L. G. postąpiono z wyjątkową srogością, ponieważ - zrobił zawód społeczeństwu?..

Miły Boże, ile nas podobnych zawodów spotyka!...

Ilu młodzieńców, którzy byli „nadzieją” społeczną, wyrosło na próżniaków i rozpustników! Ilu mężów „cieszących się ogólnym szacunkiem” nie ma czasu usprawiedliwić tego szacunku choćby najdrobniejszym faktem! Ile „obietujących talentów” stało się zwykłymi zarozumialcami!...

Przecież i to są zawody warte 20 000 rs p. L. G.

A czy nie obiecywano nam błogich skutków z rozmaitych muzeów, o których dziś coraz mniej słyszeć? A czy nie cieszyliśmy się nadziejami różnych szkół fachowych, do których kandydaci już zaczynają porastać w siwiznę i łysinę?

Te zawody warte są przynajmniej 200 000 rs.

A czy nie posiadamy całych klas, które miały pretensję do tytułu: „chluby” - „świecznika” - „przewodnika” - „naturalnego opiekuna” - „przedstawiciela godności” społeczeństwa, a tymczasem - chluby mamy niewiele, ciemności w bród, przewodnictwo - kiepskie i opiekę diabła wartą.

Znowu zawody, dające się ocenić na 20 000 000 rs. A przecie nie uskarżamy się na nie!...

Żyjemy w epoce, kiedy uwaga klas oświeconych zwróciła się ku licznym nieoświeconym warstwom, które stanowią fundament społeczny. Widzimy, że wychowanie tych klas jest zaniedbane, położenie materialne - złe, potrzeby duchowe - nie zaspokojone. Widzimy to i szukamy ratunku uprzedzając bieg czasu i naturalnego rozwoju.

Wedle przyjętych opinij kamień węgielny pod budowę oświaty i pomyślności mas winni by położyć ci, którym wychowanie dało wiedzę o obowiązkach, a majątek - siłę. Widocznie jednak omyliliśmy się. Jest tam siła, ale wiedzy o obowiązkach nie ma i - podobno nie stworzą jej artykuły dziennikarskie.

Cóż zatem robić? Oto nie rachować na siły wielkie, lecz zwrócić się do małych: skupić je, oświecić i - niech same radzą o sobie.

Długie doświadczenie nauczyło ludzkość znakomitej prawdy, że jeżeli chleb własną pracą zdobyty idzie na pożytek, to nawet mięso z darowanych uczt - psy jedzą.

W ostatnich czasach rząd zwrócił uwagę na lichwiarzy. Polecił ich czujności policji i nakazał do 13 lipca rb. zwrócić fanty, wzięte na zastaw.

Rozporządzenie to jest wstępem do koncesji na zakładanie kas pożyczkowych i prywatnych lombardów, gdzie będzie można dostać kapitału na procent niższy od lichwiarskiego. W przeciwnym razie lichwa, jak kret spłoszony, zakopie się głębiej niż dziś i zacznie pobierać jeszcze większe procenta.

Niech specjaliści, jeżeli potrafią, nakreślą plan walki z lichwą. Ja zwrócę uwagę na parę wydatniejszych faktów.

Wyraz: lichwiarz, budzi w „doświadczonym” człowieku pasmo wrażeń przykrych. Lichwiarz to jest ten, który za pożyczonego rubla bierze od nas w ciągu roku dwa, trzy i więcej rubli procentu. Lichwiarz to - dzisiejszy pan rzymski, którego niewolnikami są wierzyciele, najczęściej biedni, a z których on wyciska stokroć większe usługi niż warta pomoc, jaką im wyświadczył. Lichwiarz to tyran, który zmusza ludzi do nadmiernej pracy i - albo ich rujnuje, albo zabija. Lichwiarz uczy fałszować podpisy i kraść; on jest kładką, po której przechodzi się do nędzy, hańby, kryminału, a nawet do grobu na rozstajnych drogach.

Ta popularna charakterystyka uczy, że armia lichwiarzy rekrutuje się między ludźmi, którzy nie znają ani litości, ani współczucia, ani wyrzutów sumienia, krótko mówiąc - spośród największych hultajów.

Dlaczego pieniędzmi handlują tylko najwięksi hultaje? Dlaczego rzemiosło to nie jest uprawiane przez ludzi choć odrobinę uczciwszych?

Chyba dlatego, że opinia potępiła procent wielki, bez względu na to, że tam, gdzie istnieje brak kapitałów albo gdzie zachodzi wątpliwość co do odebrania sumy wypożyczonej, procent nie może być zwykły.

Ta bezwzględność potępienia wywołała dziwne skutki.

Ludzie uczciwi cofnęli się od ryzykownego handlu pieniędzmi. Uczciwy może ryzykować choćby dużą stawkę na loterię - może nie ubezpieczać majątku i narażać się na stracenie go w ogniu - może wysyłać go okrętem i narażać na zatopienie. Ale nie może ryzykować pieniędzy w pożyczkach i brać od nich wyższych procentów, bo to według ogólnego zdania jest czynem hańbiącym.

Prosta rzecz, że wobec takich poglądów musiała wytworzyć się klasa indywidualów bez czci i wiary, które ryzykują, ale każą sobie płacić nie tylko za ryzyko, lecz i za piętno hańby.

Kat, czyszciciel, łapacz psów również każą sobie płacić nie tylko za pracę, ale i za pogardę ogólną.

Nie koniec na tym. Między ludźmi, zresztą niezłymi, są tacy, którzy ryzykują kapitał i biorą procenta wyższe od zwykłych. Ale ci chowają się za „pośredników”. I wynika szczególnie proceder.

Ów człowiek „niezły” daje „pośrednikowi” kapitał np. na 20%, a „pośrednik” wypożycza go interesantom po 60%. Społeczeństwo dokłada na czysto 40% dlatego tylko, że podobało mu się pluć w oczy handlarzom kapitałów.

Przypomina to burmistrza, który gdy w publicznej studni odkryto złą wodę, kazał - odjąć wiadra. Od tej pory mieszkańcy nie tylko pili złą wodę, ale jeszcze musieli ponieść wydatek na kupno własnych wiader.

Co w takim stanie rzeczy robić z lichwą?... Ja nie wiem. Trzeba zakładać jak najwięcej kas pożyczkowych i lombardów i pozwalać im na pobieranie procentów nieco większych niż bankom.

20% znaczy dużo, ale i on może być ulgą i ocaleniem dla człowieka, który dziś musi płacić lichwiarzowi pokątnemu 60%.

Zresztą i kasy nie zniosą lichwy całkowicie. Dla wytępienia jej trzeba głębokich reform w zwyczajach społeczeństwa. Trzeba: oszczędności, punktualności, rachunkowości i różnych innych ości, które dziś tak

nas dławia, że nie tylko przyswoić ich sobie, ale nawet przełknąć ich nie możemy.

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 40

Pracodawcy i pracownicy.

Najważniejszą sprawą ostatniego tygodnia jest: kwestia stosunku między pracodawcami a pracownikami w fabrykach i finansowych instytucjach.

Materiały do niej gromadzą się od lat kilku, w miarę wzrastającej drożyzny za mieszkania i żywność. Zajmował się nią jakiś „komitet” radzący nad ustawą „kasy emerytalnej dla rzemieślników”, która przed urodzeniem zmarniała. Zajmowali się nią i dziennikarze notując skargi pracowników.

Obecnie p. Jeleński szeroko otworzył okno do tej sprawy, dotykając zasadniczej kwestii - zarobków, co obudziło zajęcie nie tylko między osobami interesowanymi bezpośrednio, lecz i między ogółem.

P. Jeleński otworzył jedno okno, do jednej fabryki. Niebawem przecie ten sam autor czy inni otworzą drugie, trzecie i dziesiąte okno, a wówczas publiczność pozna w całej rozciągłości wewnętrzne stosunki fabryk i instytucyj finansowych, które dziś jeszcze okrywa tajemnica.

Są ludzie, którym wydaje się, że dopiero drukowane słowo tworzy fakta, poprzednio nie istniejące. Ci ludzie sądzą, że gdyby nie pisano o krzywdach, niesłusznych pretensjach i zatargach - nie byłoby ani krzywd, ani pretensyj, ani zatargów. Nareszcie są oni zdania, że gdyby pewne „niedokładności” stosunków między pracodawcami i pracownikami pokryć milczeniem, sprawa „utarłaby się”.

Mylą się ci ludzie. Nie zakryjesz fartuszkciem pola, na którym wschodzą młode rośliny, ani zdławisz milczeniem dojrzewających zjawisk społecznych!

Owszem, na tym polega cały takt, aby rzeczy od razu wyprowadzić na widok, wykazać strony złe, wykazać ich przyczyny, a jednocześnie środki zaradcze.

Stosunki w fabryce na Pradze to dopiero jeden ton koncertu, który prędzej lub później odegra cała orkiestra faktów.

Mamy przecie więcej fabryk, a obok nich instytucje finansowe. Widujemy rzemieślników, majstrów i urzędników prywatnych i słyszymy zdania.

Jedni mówią, że pomimo pracy i oszczędności zapłata nie wystarcza na zaspokojenie potrzeb. Drudzy czują upadek sił i lękają się o własny los i o rodzinę. Robotnicy skarżą się, że majstrowie nie płacą im cen oznaczonych przez fabrykę, ale „obcinają” zarobki. Toż samo mówią majstrowie o werkmajstrach, a werkmajstrzy o starszych w hierarchii. Podobne zażalenia rozlegają się w instytucjach finansowych.

Tam urzędnik pracować musi długie lata, nim dojdzie do tysiãcrublowej pensji. Tam więcej niż zasługa znaczy - protekcja. Tam awansujący na wyższą posadę nie dostaje tej pensji, jaką brał jego poprzednik, ale - niższą. Tam nikt nie jest pewny jutra, bo zwierzchnik może mu dać dymisję nie tłumacząc powodów. Tam trafiają się wypadki „wyrzucania za drzwi” dymisjonowanych urzędników!

Prawie każda fabryka i finansowa instytucja posiada jakieś enfant terrible w postaci zwierzchnika, który jeżeli nie „sobaczy” podwładnym, to przynajmniej traktuje ich z góry, jak włódarze i ekonomowie traktowali lud pańszczyźniany.

Czy jednak myślicie, że na tym kończy się litania skarg?... Bynajmniej, boć dla dopełnienia jej trzeba wysłuchać, co mówią pracodawcy.

Ci twierdzą, że robotnicy mieliby się lepiej, gdyby posiadali więcej ukształcenia (np. język niemiecki i francuski) - i - gdyby nie trwonili pieniędzy w knajpach. Kwestię małych zarobków objaśniają tym, że na każdą posadę jest: „mnóstwo kandydatów, którzy ofiarowują się pracować taniej od innych”. Dowodzą, że do udzielania dymisji w każdym czasie upoważnia ich zwyczaj przyjęty w całym świecie

przemysłowym i kupieckim. Mówią w końcu, że zarobkowych płac podnosić nie można bez narażenia instytucji na bankructwo.

Wymysły zaś i traktowanie pracowników z góry objaśniają potrzebą karności między - „swoimi ludźmi”.

Z tego widzimy, jak rażąca panuje sprzeczność między opiniami pracowników i pracodawców. Każda strona chce siebie przedstawić w najlepszym świetle, a winę zwać na kark strony drugiej.

Komu z nich opinia ma przyznać słuszość: czy pracownikom, czy pracodawcom? Bo na pozór między tymi ludźmi nie ma żadnej wspólności, a każdy nowy fakt uwydatnia, jeszcze w jaskrawszych barwach, istniejącą niezgodność poglądów.

Gdyby tak było w samej rzeczy, wówczas jedyną drogą, na której spotykałyby się pracownicy z pracodawcami, byłaby: nienawiść, a jedynym jej skutkiem: walka prowadząca do powszechnej ruiny.

Na szczęście, tak nie jest. Między pracodawcami i pracownikami istnieje most o tyle silny, że na nim obie strony spotkać się mogą, a o tyle niezbędny, że wejść na niego muszą. Mostem tym nie są żadne sentymenta, ale - interes.

Ostatnim wyrazem niechęci i walk toczących się w łonie jakiegokolwiek instytucji jest - jej upadek.

Gdyby upadł jakiś bank albo fabryka, powiedzcie wy - panowie: akcjonariusze, prezesi, dyrektorzy - co by się stało z waszymi dochodami, stanowiskiem, a nawet bytem? Kto z was jeździłby kareta, miał elegancki pałac, dobre jadło, a nareszcie tę wesołą czeredę pieczeniarzy, która tak uprzyjemnia czas wolny od fabrycznych i bankowych kłopotów?

Kto by wówczas szukał waszej protekcji, a nawet znajomości? Ile byście usłyszeli gorzkich prawd, zamiast dzisiejszych pochlebstw? I czy ówczesny los wasz nie byłby stokroć nędzniejszym od doli

pracownika, który prędzej lub później gdzieś by się pomieścił i dalej klepał biedę?

Z drugiej strony powiedzcie wy, robotnicy, majstrowie i urzędnicy - w jaki sposób w razie upadku instytucji przepędzilibyście czas: między stratą jednego zarobku a znalezieniem drugiego? Czas ten nie byłby krótki, a następne zarobki nielepsze od straconych: ponieważ byłoby wielu szukających pracy. Jeżeli dziś wyzyskują was, wtedy wyzyskiwano by jeszcze bardziej. Jeżeli dziś jest źle, wtedy byłoby gorzej.

Gdzie ten litościwy gospodarz, który by was, pozbawionych zarobku, przytulił pod swój dach? Gdzie kuchnia, która by głód zaspokoila? Gdzie ręka, która by otarła łzy opuszczonych żon i dzieci?

W końcu znaleźlibyście pracę, ale któż by wam wynagrodził przebyte cierpienia?

Tymczasem, korzystając z dobrej okazji, drugą taką fabrykę czy drugi bank założyliby Niemcy, którzy czyhają na to, aby znaleźć miejsce dla swoich kapitałów. A czy sądzicie, że przy tym drugim najeździe pomieściłby się choć jeden nasz w założonej przez nich instytucji?... Nie, oni wszystkie posady obsadziliby swoimi, lękając się, ażeby nowa katastrofa nie pozbawiła ich majątków. Płaciliby drożej, ale mieliby pewność.

Oto jest nie urojony, ale faktyczny przykład, który dowodzi, że pomimo wszelkich różnic istnieje między pracownikami i pracodawcami interes tak wielki, że wobec niego błędną wewnętrzną swary.

Prawda, że jest źle. Ale złego nie trzeba powiększać, tylko - poprawić zgodną i uczciwą pracą. Wszyscy są ludźmi, wszyscy mają wady i popełniają błędy. Lecz jest coś, co ludzi łączy, jest wspólne dobro, które potrzeba zdobyć zacną wolą i rozumnymi ustępstwami.

W tym pochodzie ku ulepszeniom nie ma podziału na pracowników i pracodawców, boć przecie każdy chce mieć pewny byt, chwile

odpoczynku, chwile rozrywki, każdy ma rodzinę, którą pragnie zabezpieczyć i wychować, i każdy - chce posiadać przyjaźń ludzi, osobliwie tych, co tworzą jego najbliższe otoczenie.

Nawet tacy, którzy nie dbają o przyjaźń, lękają się nienawiści.

Lecz wspólny interes między pracodawcami i pracownikami to dopiero głęboko ukryty fundament. Chodzi teraz o „poglądy”. Bo jeżeli między poglądami są różnice, których pogodzić nie można, w takim razie obie strony nie dokopią się fundamentu.

Otóż znowu pomimo wszelkich oskarżeń i narzekań, jakie rozlegają się w dwu obozach, istnieje wspólny pogląd, ten mianowicie, że „stosunki między pracodawcami i pracownikami nie są dobre”. W tej kwestii najuboższy pomocnik godzi się z najbogatszym przedsiębiorcą, a różnice zdań polegają na sposobach uregulowania stosunku. Pracownicy twierdzą, że oni mogą pozostać takimi, jak są, a tylko poprawić się muszą pracodawcy; ci zaś dowodzą, że pracodawcy mogą zostać takimi, jak są, ale poprawić się muszą pracownicy.

Sprawiedliwy sąd przyzna każdej stronie połowę racji, dodając, że poprawić się muszą nie tylko pracownicy, nie tylko pracodawcy, ale i ekonomiczne warunki kraju.

Bo powiedzmy wszyscy, którzy żyjemy z dziennej pracy, czy nawet przy obecnych zarobkach nie byłoby lepiej, gdyby:

Za sto rubli na rok można mieć wygodne mieszkanie?

Gdyby za parę butów płaciło się nie 5 rs, ale 3 rs, a za odzież nie 40 rs, ale 20 rs?

Dalej - gdyby było tańsze mięso, chleb, piwo, a nareszcie - teatr, muzyka i zamiejskie spacerunki?

Wówczas te same dochody, przy których dziś żyjemy nędznie, pozwoliłyby nam żyć w dostatku. Mielibyśmy nie tylko zaspokojone potrzeby, ale i rozrywki, a nadto: mogliśmy robić oszczędności.

Z tego pokazuje się, że gniotąca nas bieda wypływa w pewnej części z ogólnych ekonomicznych warunków, których poprawa nie zależy od tej lub owej jednostki, ale - od rozwoju cywilizacji.

Powiedzcie teraz wy, pracownicy, czy zarobki wasze nie byłyby większe, gdyby nie ta ogromna liczba kandydatów na każdą posadę, których współzawodnictwo wywołuje niżkę płac? Czy nie zarabialibyście więcej, gdyby wielu z was kończyło szkołę majstrów i pracowało w zagranicznych fabrykach, obznajmiając się z nowymi rodzajami produkcji? Czy w takim razie potrzebowałby kraj sprowadzać cudzoziemców?

Nareszcie - czy klasy pracujące nie miałyby lepszych dochodów, gdyby ludzie, zamiast tłoczyć się do fabryk i instytucyj finansowych, skupiali się w warsztatach i handlach mniejszych i gdyby w naszym kraju umiano wyrabiać te ładne, a niekosztowne przedmioty, jakie dziś, pod nazwą galanterii, sprowadzamy z Paryża i z Wiednia?

Widzimy nawet z zacytowanych przykładów, że do poprawienia materialnego bytu klas pracujących potrzeba większej między nimi oświaty, nowych fachów i nowych ekonomicznych zwyczajów.

A teraz wy, pracodawcy, którzy tak surowo sędzicie, grzechy robotników, powiedzcie: coście zrobili, ażeby podnieść między nimi oświatę, stworzyć im miejsca ucziwej i taniej zabawy, ubezpieczyć ich przyszłość? Czy myśleliście o budowaniu im tanich mieszkań, o dostarczaniu za niższą cenę odzieży i artykułów spożywczych, o wydobyciu ich z rąk lichwiarzy? Czy przypuszczacie ich do udziału w pewnej części zysków, który to środek umoralnia ludzi, zapewnia im byt, przywiązuje do patronów i wpływa na ulepszenie roboty?

Dalej - jakie jest wasze z nimi postępowanie? Czy traktujecie ich jak człowiek człowieka, czy też - jak ekonom parobka? Czy rozmawiacie z nimi, czy spotykacie się gdzie z ich rodzinami, czy choć raz na rok

zgromadzacie się na wspólnej zabawie, jak się to robi w instytucjach zagranicznych?

A zatem: czy wy, panowie pracodawcy, nie macie już nic do zrobienia i to w bardzo ważnych kierunkach? Czy używanie i gonitwa za groszem tak pochłaniają czas, siły i rozum, że dla poprawienia złych stosunków z pracownikami nie możecie już nic poświęcić?

W tym miejscu potykamy się o błędne kółko.

Dla naszych sfer produkcyjnych - „dobre czasy” nadejdą wtedy, gdy robotnicy będą zasobni, oświeceni, trzeźwi, oszczędni, rozważni itd. Robotnicy nie prędzej nabędą tych przymiotów, aż pracodawcy pozakładają im tanie targowiska, kasy pożyczkowe, szkoły dla starszych itd. Pracodawcy zaś nie prędzej zabiorą się do tych rzeczy, aż - nadejdą „dobre czasy” w ogóle...

Mądry będzie, kto wyprowadzi nas z podobnego labiryntu, z którego przecie wyjść trzeba!

Dodajmy, że z jednej i z drugiej strony znajdują się przynajmniej jakie takie siły do reform. Między pracownikami już dziś jest bardzo wielu oszczędnych, trzeźwych i zdolnych. Między pracodawcami znowu nie brak ani pojęcia o sytuacji, ani dobrych chęci, czego dowodzą choćby - istniejące kasy dla chorych, kasy wkładkowo-zaliczkowe, a nawet i ów nieszczęsny projekt towarzystwa emerytalnego. Nie dostaje tylko rozumnej inicjatywy, skupienia rozrzuconych czynników i tego umysłowego prądu, który nazywa się „modą” czy tchnieniem czasu.

Każdy widzi, że kwestie te muszą być załatwiane i - załatwione. Gdy później nastąpi regulacja, odbędzie się ona z większym pośpiechem, a mniejszym porządkiem. Należy więc już dziś mieć sprawy te na uwadze, wyrabiać o nich zdanie i - stawiać pierwsze kroki.

Niech one będą nawet drobne te kroki, zawsze jednak wywołają jakiś pomyślny skutek, a nade wszystko - zaświadczą o dobrej woli.

Tak w najogólniejszych zarysach przedstawia się bardzo ważna sprawa stosunków między pracownikami i pracodawcami.

W dziedzinie tej spotykamy wiele braków, mnóstwo niechęci, podejrzeń i pretensyj, które nie dowodzą bynajmniej „zepsucia pracowników” albo „złośliwości pracodawców”, lecz tego, że: obecne formy stosunków nie odpowiadają potrzebom epoki. Pracownik, niegdyś uważany za maszynę, dziś musi być traktowany jak człowiek i współpracownik; pracodawca musi porzucić rolę „pana” i „plantatora”, a stać się: przyjacielem, doradcą, nawet - wychowawcą pracownika, rozumie się o tyle, o ile da pieniędzy na szkołę.

Przekonaliśmy się w dalszym ciągu, że między pracownikiem i pracodawcą istnieje wspólny fundament - interesu tudzież poczucie tego, że obecny stan jest zły i że musi ulec reformie.

Nareszcie streściliśmy w kilku słowach naturę koniecznych reform, kładąc nacisk na to, że inicjatywa do nich powinna wyjść od pracodawców, jeżeli nie ma wyjść ze strony wcale nie pożądanej, w towarzystwie niebezpiecznego fermentu.

Dziennikarstwo sprawie tej może oddać duże usługi ogłaszając opinie pracowników i pracodawców lub własne uwagi.

Tu przecie musi być zachowany jeden warunek, niezbędny w każdej dyskusji, jeżeli ma ona doprowadzić do rezultatów.

Warunek ten jest, ażeby: w tak poważnej kwestii zawsze przemawiały fakta, zawsze prawda, zawsze sprawiedliwa myśl, nigdy pośpiech i namiętność.

Namiętność rani i burzy, a tylko mądrość leczy rany i wznosi trwałe budowle.

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 46

Wzruszenia demokratyczne z powodu karnawałowych zabaw i sukien obsypanych brylantami. - Najskrytsze tajemnice p. Apfelbauma. - Okazowe sprawozdania z „bezczyńności” Komitetu Giełdowego. - Felczerzy starozakonni wobec Zgromadzenia Felczerów chrześcijan.

Dzięki długiemu karnawałowi rozhulał się cały kraj pod dowództwem Warszawy. Bal w Szwajcarskiej Dolinie, bal kostiumowy, bal perkalikowy, bal uczonych, bal wiejskich oficjalistów, krakowskie wesele, bal na Przytulisko, i tak bez końca.

Wieczorami warszawskie domy dzielą się na dwa stronnictwa, W jednych jest cicho i ciemno, co znaczy, że państwo - wyszli, na bal; w drugich jest głośno i widno, co znaczy, że państwo - wydają bal. Gospodarze donoszą o podwyższeniu komornego na kartach inwitycyjnych - stróże wyrąbują chodniki na dwa pas - dziady proszą o jałmużnę wybijając hołubce. Nawet podrzucania, zabijania dzieci, kradzieże, bójki i dochodzenie ojcostwa przed sądem poczynają wyglądać tak niewinnie jak nowe figury kotyliona.

Nadmierna uciecha tu i owdzie wywołuje reakcją, również dochodzącą do przesady.

Pewnego dnia spotkałem na ulicy Pankracego, który jest zajadłym demokratą. Ma wypukłą pierś, zmarszczone brwi i maratowską duszę. Urwana tasiemka wyglądająca mu zza kołnierza i obszarpane dziurki do guzików zdradzają nieubłagany charakter. Kieszonka ma zawsze tak pełną, jak gdyby dźwigał gilotynę uspakaja mnie tylko jego katar, skutkiem którego zamiast gilotyny nosi dwie chustki.

Tak wygląda mój przyjaciel Pankracy, uosobienie ludowej sprawiedliwości. Spotkałem go między żebrzącym dziadem i - rusztowaniem... nowego domu. Znacząco ścisnął mnie za rękę i rzekł tylko te słowa:

- Tańczą w sukniach obsypanych brylantami, a lud jest głodny!...

Potem odszedł, a pod jego silnym stąpaniem skrzypiał śnieg jak nie smarowane koła wozów, tych - wiecie - co to nimi wywożono na plac Bastylii...

„Tańczą w sukniach obsypanych brylantami, a lud jest głodny!...”

Słowa te rozmarzyły mnie. I zdawało mi się, że przed zgromadzeniem najlepszych demokratów stoję - jako adwokat „sukien obsypanych brylantami”.

- Kto jesteś? - zapytuje mnie mój przyjaciel Pankracy, wykluwając sobie zęby końcem sztyletu.

- Jestem ten, który bronił was wówczas, gdy wszyscy wymyślali.

- A co tu robisz?...

- Przychodzę bronić tych, nad którymi chcecie się pastwić. Także rad bym ucieszyć się kosztem tych, których dziś boją się wszyscy.

- Broń oględnie i ciesz się w miarę - odpowiada mój przyjaciel.

Przyjmuję do Wiadomości zbawienną przestrozę i zaczynam:

- Świetne zgromadzenie!

- Dlaczego on nie nazywa nas „jaśnie wielmożnymi”? - zapytuje jeden z demokratów.

- Ublżyłyby nam podobnym tytułem - odpowiada prezes.

- W takim razie niech nie daje żadnego tytułu! - woła członek z lewego środka.

- Przeciwnie! - krzyczy odcień radykalny - niech nas nazywa „nicestwami”!...

(Prezes strzela z armaty, która zastępuje miejsce arystokratycznego dzwonka. Ja po raz drugi zabieram głos:)

- Jaśnie wielmożne nicestwa!

(Lewy środek protestuje. Umiarkowani biją mi brawo za tytuł „jaśnie wielmożni”, a radykaliści za tytuł „nicestwa”. W zgromadzeniu mam większość.)

- Przychodzę powiedzieć kilka słów z powodu zdania: „Tańczą w sukniach zasypanych brylantami, a lud jest głodny.” (Wielkie wrażenie.)

Mości panowie! pozwólcie, abym szczegółowo zastanowił się nad każdym wyrazem.

Naprzód - idea „tańca” nie wyklucza idei liberalizmu. W życiu nieraz widziałem, że oddawali się tańcom najlepsi demokraci, nawet arcydemokraci, którzy między jedną a drugą figurą używali palców zamiast - chustek od nosa. (Niepokój na ławie prezydialnej.)

Ci z demokratów, którzy nie tańcowali, bawili się piciem (Głos: Bez przymówek!...) albo gniewali się na tańczących. Nareszcie tacy, którzy ani tańczyli, ani pili, ani gniewali się, drwili z jednych, drugich i trzecich. Słowem: każdy robił sobie przyjemność; w tańcu zaś nie chodzi o nic więcej.

Na mocy wyliczonych faktów upraszam, ażeby: od tej pory dozwolono ludzkiemu rodzajowi oddawać się tańcom bez ściągania na siebie wymiaru sprawiedliwości.

(Wniosek odesłano do rozpatrzenia specjalnej komisji.)

Po wtóre - przechodzę do „sukien obsypanych brylantami”.

(Okrzyki: Śmierć im!...)

Mości panowie! Pomijam już kwestię, że brylant jest demokratycznym węglem, zwracam jednak uwagę, że brylant jest to kapitał, a kapitał jest jak nóż: można nim kaleczyć i można - krajać chleb. (Głos: Dla ludu!...)

Tak, panowie, dla ludu. Znałem mężczyzn, którzy swoje czy swoich żon brylanty oddawali kokotom, których większość, jak wiadomo, pochodzi z ludu. (Wrażenie.) Słyszałem i o takich, którzy w chwilach potrzeby sprzedawali brylanty i zebrane pieniądze przeznaczali na cele uczciwe i użyteczne. (Wielkie wrażenie.)

Proponuję więc, ażeby szanowne zgromadzenie przestało gniewać się na brylanty.

(Zgromadzenie jednomyślnie postanawia: nie gniewać się na brylanty, jako będące zwykłym węglem.)

Co zaś do okazywania w miejscach publicznych „sukien obsypanych brylantami”, myślę, panowie, że i to nie sprzeciwia się idei liberalizmu. Ładny brylant jest tyle przynajmniej wart co krzywe obcasy. (Głosy: Prawda! prawda!...) Jeżeli zaś wolno dobrym obywatelom publicznie okazywać buty z wykrzywionymi obcasami, to dlaczegoż obywatelki nie miałyby prawa okazywać „sukien obsypanych brylantami”? Cóż bo one okażą?...

Obywatel przez koszlawe i podarte buty zawiadamia nas, że może i jest gotów ofiarować na ogólne cele swoje demokratyczne tendencje. Obywatelka w brylantach donosi nam, że może, choć nie zawsze jest gotowa, ofiarować na cele ogólne znaczny majątek. I tu, i tam manifestują się, jeżeli nie dobre chęci, to przynajmniej możliwość. Upraszam więc, ażeby świetne zgromadzenie upoważniło choć niektóre osoby do okazywania się w „sukniach obsypanych brylantami”.

(Zgromadzenie uznaje ważność dowodów. Wydaje wszelako rozkaz, ażeby suknie obsypane brylantami, jako narodowy kapitał, trzymano w demokratycznych skarbcach i ażeby w szatach tych ukazywali się tylko - członkowie zgromadzenia.)

W końcu, mości panowie! powiem o „głodzie ludu”.

Dawnymi czasy uważano „lud” jako: ręce, nogi i żołądki społeczeństwa, którego głowami była - arystokracja. Dziś głowy stały się tylko żołądkami, w dodatku - lichymi, zatem „lud” nie ma się już na kogo oglądać, lecz musi myśleć sam o sobie. „Lud głodny” będzie co roku i w każdej porze roku, jeżeli nie nauczy się pracy i przezorności, których to cnót nie zastąpi nawet dekret wymierzony przeciw brylantom i tańcom.

W tym miejscu ośmielę się postawić wniosek, ażeby dobrzy demokraci, zamiast: uszczęśliwiania wszechświata, zajęli się: nauczaniem ludu - pracy i przezorności. Co zaś do arystokracji, to sądzę, że członkowie zgromadzenia lepiej uczynią, gdy zamiast wytępiać arystokrację - zapłodnią jej konserwatyzm liberalnymi ideami.

(Po tych słowach w demokratycznym zgromadzeniu wybucha radość. Konwencja, za pomocą jednomyślniej uchwały, powierza nauczanie ludu - amatorom, sama zaś bierze się do apostołowania między arystokracją - idei liberalnych.

A ponieważ arystokraci od dawna szczepią - swoje zasady w kołach demokratycznych, więc oba zwaśnione obozy wynajdują wspólny cel, wspierają się - i - nastaje powszechna zgoda.)

Nagle potknąłem się i obudziłem z marzeń. Zamiast demokratycznego zgromadzenia ujrzałem przed sobą jedną z tych kup lodu i śniegu, które z czterdziestu ulic, za 10 000 rubli, miał wywieźć p. Apfelbaum.

Nie mam honoru znać pana Apfelbauma. Nie wiem, czy jest arystokratą, czy demokratą - czy pieczętuje się zwykłą jabłonką, czy też ową rajską jabłonią, z której zakazano Adamowi rwać owoce?

Nie znam także technicznych wiadomości p. Apfelbauma i byłbym w niemałym kłopotcie, gdyby mnie spytano: gdzie pan A. chciał znaleźć wozy na usunięcie lodu z 40 ulic w ciągu tygodnia?

Słowem, nie wiem nic o p. Apfelbaumie, a pomimo to podejmuję się wróżyć mu.

I tak: Wróżę panu A., że w ciągu kilku upłynionych tygodni miał dwie przykre chwile: jedną wówczas, gdy policja kazała mu zapłacić 25 rs, a drugą - gdy sam zapłacił 50 rs kary za niewywiezienie lodu.

Dalej - wróżę panu A., że od niejakiego czasu miewał niespokojne sny. Niekiedy zrywał się w nocy, nasłuchując: czy nie pada deszcz? Z rana budził się wcześniej i albo pytał: jaka na dworze pogoda... albo, chcąc sprawdzić rzecz osobiście, pędził boso do okna.

I nareszcie - wróżę panu A., że ze wszystkich mieszkańców Warszawy on najbardziej nie znosi widoku lodu na ulicach, lecz że z drugiej strony: pasjami lubi mocne słońce i ciepłe deszczyki - w lutym. Jestem pewny, że gdyby spadł deszczyk we „właściwym czasie” i padał przez tydzień, wtedy mielibyśmy wywieziony lód ze wszystkich ulic, a pan A., odebrawszy z magistratu 10 000 rs, może by ofiarował jakąś setkę na dobroczynne cele.

Tymczasem pan A. wyznać musi, że zawiodły go nadzieje, a jak to wnet zobaczymy, nie jego jednego*

Według Smilesa, szkołą „praktycznego rozumu” jest handel, a jego mistrzami: kupcy, giełdziarze i wszelkiego rodzaju handlowi pośrednicy. Ludzie ci nigdy nie poświęcają treści dla pozorów i rzadko myślą się w przewidywaniach.

Podobne opinie wzrosły i wśród naszej publiczności, która instynktownie podejrzewa wszystkich handlarzy o skłonność do szachrajstwa, co jakoby znaczy po angielsku: o umiejętne posługiwanie się „praktycznym rozumem”. Same zresztą matadory naszego handlu z uwielbieniem mówią o swoim „praktycznym rozumie” i chętnie przeciwstawiają go „szlacheckiej lekkomyślności”.

- My zaszczepimy w narodzie sztukę rachowania, której dotąd nie posiadał! - mówi stan kupiecki.

Wierząc podobnym głosom i powadze filozofów angielskich, uważałem giełdę za uniwersytet „praktycznego rozumu”, a rozmaite jej sprawozdania czytywałem jak ewangelią.

Otóż tegoroczne sprawozdanie giełdowe, ogłoszone w dziennikach, dostarcza ciekawych nauk.

1. Nie dowiadujemy się z niego nic o ilości dokonanych tranzakcyj, co nasuwa domysł, że giełda - wybornie rozumiejąca europejską politykę, przyczyny upadku szlacheckich fortun i finansowych kłopotów kraju - nie wie nic o własnym gospodarstwie.

Czy i o innych rzeczach wie to samo?...

2. Dowodem równowagi, istniejącej między formą i treścią życia giełdy, jest fakt, że instytucja ta posiada około 6000 rs kapitału, z którego ledwie paręset rubli mieści się w jej gmachu - wartującym 100 000 rs.

Przypomina to pewną starą pannę, która w hebanowej, inkrustowanej szkatułce trzymała trochę nici i kilka starych sznurowadeł.

3. Nie ma członka giełdy, który by po cichu nie wierzył w to, że: mógłby być ministrem finansów i układać kuracyjne budżety dla państw bankrutujących. Jakby tam było z setkami milionów? nie wiem, to przecie jest pewne, że setki rubli wcale nie odpowiadają planom niedoszłych ministrów. Układając budżet na rok 1880 pomyłono się: w dochodzie z opłat stałych o 241 rs, w opłatach od spóźniających się o 76 rs, w opłatach za jednorazowe wejścia o 69 rs. W rezultacie nie przewidziano deficytu, co potrafi zrobić pierwszy lepszy minister, a nawet zwykły szlachcic.

4. Bieżący dług giełdy przewyższa jedynaście razy jej gotówkę. Balety kredytowe wypuszczone przez komitet byłyby warte: dziewięć kopiejek za rubla!...

Takie melancholiczne wnioski nasunęła nam doroczna misywa giełdowego komitetu. Widzimy z niej, że na giełdzie są kiepscy rachmistrze, ale za to wyborni szlachcice... W każdym ruchu tej instytucji spotykamy odwieczne i ulubione cechy: nieznajomość tego, co się dzieje w domu - życie nad stan - długi dziesięć razy większe od zasobów i - nieprzezorność.

Dla uzupełnienia podobieństw, widać tam jeszcze przed bramą - karety i liberią, a nad bramą - herb. Herbem jest bogini handlu, wygodnie rozpierająca się na fotelu, któremu sąsiedztwo wód mineralnych nadaje dość dwuznaczny charakter.

W chwili kiedy w Prusach sroży się antyżydowska heca - kiedy ludzie szcują się jak zwierzęta i łamią sobie kije na grzbietach dlatego, że jedni czytają Stary Testament, a drudzy Stary i Nowy; kiedy prowincjonalny niemiecki dziennik pisze, że spalenie bóżnicy byłoby czynem miłym Bogu!... kiedy inteligencja „narodu filozofów” zapomina nie tylko o kościelnym przykazaniu: „Kochaj bliźniego”, ale i o liberalnych „prawach człowieka” - w takiej chwili nasza „barbarzyńska” Warszawa jest świadkiem dziwnego widowiska.

Oto - felczerzy starozakonni pierwsi występują do felczerów, chrześcijan z propozycją, aby ci przyjęli ich do swego grona i wraz z nimi utworzyli jedno towarzystwo.

P. Sapiejewski, starszy zgromadzenia, życzliwie przyjął delegatów. Pomimo to znajdują się ludzie, którzy sądzą, że felczerzy chrześcijanie nie zgodzą się na związek ze starozakonnymi kolegami.

Nie znam bliżej zgromadzenia felczerów, nie wierzę jednak, obowiązki względem kraju i rozumieją zasadę, że źle jest z organizmem, w którym jeden palec kłóci się z drugim palcem, prawa ręka z lewą...

Zresztą pytam się: dla jakich rozsądnych powodów zgromadzenie felczerów odepchnęłoby starozakonnych kolegów?

Czy dlatego, że Żydzi ubierają się w długie kapoty? Czy że źle mówią po polsku? Czy że nie mają towarzyskiej ogłady?...

Lecz gdzież oni nauczą się ubierać, dobrej ogłady i dobrej polskiej wymowy, jeżeli nie w towarzystwie kolegów chrześcijan?

Zarzucają Żydom ich trzymanie się tylko z Żydami. Ależ oni chcą obecnie połączyć się z chrześcijanami, a tylko nie przyjęci musieliby w dalszym ciągu być solidarnymi wyłącznie między sobą i obcymi dla chrześcijan.

Zarzucają Żydom skłonność do geszeftów, której nie hamuje nawet punkt honoru. Lecz znowu, gdzież rozwinie się w nich ów punkt honoru, jeżeli nie w towarzystwie, które siłą opinii zmusza swoich członków do honorowego postępowania?

Są w końcu i tacy, co obawiają się „sprytu” żydowskiego, który może zaszkodzić zgromadzeniu.

Myślę, że ci ludzie po prostu: uchybiają felczerom. Felczerzy nie są ani dziećmi, ani dzikimi. Mają oni także spryt, umieją rachować, a w najgorszym wypadku będą wiedzieli, gdzie się radzić i jak korzystać z porady. Ów „straszny spryt” może napełniać obawą tylko ludzi, którzy nie chcą i nie umieją myśleć, ale nie zgromadzenie osób mających głowy.

Widzimy więc, że przeciw wejściu Żydów do zgromadzenia felczerskiego nie ma poważnych przeszkód. Pozostaną chyba nieokreślone antypatie, których jednak felczerzy nie postawią wyżej nad zasadniczy interes ogółu, nad - jedność.

Jeżeli felczerzy nie przyjmą do zgromadzenia Żydów, dowiodą, że między nimi więcej znaczy stary przesąd aniżeli społeczna potrzeba. Jeżeli przyjmą, dowiodą tego, że można liczyć na ich rozum i obywatelskie uczucia.

Co do mnie - życzę naszemu miastu, aby posiadało jak najwięcej ludzi rozumnych, na których można liczyć. Przekonaliby się Niemcy, że w

tym wypadku nasze „barbarzyństwo” jest więcej warte aniżeli ich filozofia.

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 51

Kronika tygodniowa - Kurier Warszawski, rok 1881, nr 51, dnia 5 marca

Krótki wstęp. - Ćwiczenie I o pannie Emilii, która bawiła się dekolte. - Ćwiczenie II o pannie Zofii, która bawiła się z malutkim karo. - Nadzwyczajna historia mego przyjaciela Dratewki, gdzie czytelnik znajdzie naukę na pierwszą niedzielę postu.

Wielki post jest czasem pokuty, tak, mój panie!... Przez cały karnawał włożyłeś się po nocach, umawiałeś się o schadzki na maskaradach, piłeś, tańcowałeś, oglądałeś (niech nie czytają małośni), oglądałeś - mówię - ładne biusta, więc dziś pokutuj.

Ażeby, skruszony grzeszniku, ułatwić ci wejście na drogę cnoty, przygotowałem tu parę ćwiczeń duchownych i jedną naukę. Odczytaj je uważnie, staraj się wniknąć w siebie, a jeżeli przy końcu moich przestróg uczujesz wewnętrzny spokój, będzie to znakiem, żeś dobrze odprawił pokutę i że skutkiem tego po Wielkiejnocy, a nawet na św. Józef, możesz powtórzyć parę karnawałowych błędów.

Zawsze jednak uważaj na siebie!...

ĆWICZENIE I. Panna Emilia pędzi żywot w „naszej sferze”, gdzie na balu nie podobna ukazać się bez jedwabnej sukni dekolte za 100 rs, wachlarza za 10 rs, narzutki za 40 rs i powozu za 5 rs. Razem 155 rs na jeden wieczór.

Kiedy panna Emilia wchodziła na salę, wszyscy mężczyźni zwracali na jej dekolt e uwagę i wnet opatrzyli się. Potem jeden patrzył tylko na jej suknię, drugi na wachlarz, trzeci na narzutkę - nie pragnąc zastanowić się nad ogólną sumą wdzięków. Ten zaś, któremu widome wdzięki nieco zaprószyły oko, porównawszy naprędce koszt jej toalety z własnymi dochodami - westchnął, przycisnął ręką rozdarte

serce i przysiągł, że: nigdy nie ożeni się z panną Emilią, boby go „zjadła z kopytami”.

Jest to już piąty karnawał, w ciągu którego panna Emilia zdiera po sześć jedwabnych sukien dekolte i rani serca młodym ludziom, nie chcącym, aby ich „zjedli z kopytami”. Diabli wiedzą, czy panna Emilia nie ukaze się nawet na sądzie ostatecznym w dziewiczym wianku, co lubo jest wielką cnotą, jednakże nie nęci panien na wydaniu!

ROZMYŚLANIE. Czy panna Emilia mądrze robi, pędząc żywot tylko w „naszej sferze” i używając jedwabnych sukien dekolte, które tak odstręczają młodych ludzi, skądinąd chętnych do uczynienia zamachu na jej - serce?

ĆWICZENIE II. Panna Zofia utrzymuje się z pracy i [nie] żyje tylko w „naszej sferze”. Pracuje po całych dniach i nawet nie ma czasu myśleć o balach.

Wszelako pewnego razu wujaszek wyprawił bal, na którym oczom zebranej młodzieży ukazała się panna Zofia w muślinowej sukience, ze stanikiem wyciętym w malutkie karo.

Panna Zofia była bardzo zajmująca w tym stroju, a pan Józef, który z nią tańczył cały wieczór - przez cały wielki post myślał o tym tylko: co by było, gdyby przy muślinowej sukni odrobinę rozszerzyć karo? W końcu przyszło mu na myśl, że gdyby został mężem nadobnej Zofii, miałby prawo kupować jej suknie z takim karo, przy którym najmniej wychodzi materiału. Jak w „naszej sferze”.

A ponieważ ciekawość jego i chęć oszczędzania muślinu rosła z każdym dniem, więc w końcu - pan Józef oświadczył się, a panna Zofia, w sukience bez grymasów, dostała żywego i prawdziwego „chłopeusza”, który usilnie dbał o to, ażeby jej karo u balowych sukien było wykrojone podług miary obowiązującej w „naszych sferach”.

ROZMYŚLANIE. Czy panna Zofia źle uczyniła używając tylko muślinowej sukni i ukazując się nie dekolte, ale - z malutkim karo?...

A teraz - nauka.

Wyżsi rangą moi koledzy ogłosili w jednym z pism, że stróż, wydając córkę za mąż, wynajął do ślubu karety. Koledzy wypadek ten zaliczyli do kategorii ekonomicznych zjawisk: „życia nad stan”, wzbogacili go moralnymi uwagami i cennym przypiskiem, mnie zaś skłonili do śmiałego postanowienia.

„Jeżeli - myślałem - świątli koledzy w fakcie obstalowania karet przez stróża znaleźli coś niezbędnego do podźwignięcia skołatanej ojczyzny, to również podźwignie ją biografia mego przyjaciela Dratewki, który także jeździł do ślubu kareta.”

Mój przyjaciel Dratewka urodził się w tej epoce, kiedy zabronione było dochodzenie ojcostwa, Z tego powodu przez pierwsze tygodnie po przyjściu na świat bawił u Dzieciątka Jezus, pierwsze lata spędził na wsi, wyższą edukację otrzymał w ochronce, a specjalną wiedzę zdobył u szewca.

Tam przebył do dziewiętnastego roku życia i otrzymał dyplom na czeladnika, czyli po dzisiejszemu: „na towarzysza sztuki”. Tam również, widząc jego apetyt dochodzący do żarłoczności, niemałe lenistwo i popęd do awantur, odgadywano' w nim arystokratyczne pochodzenie.

W owej epoce dojrzały fizyczne przymioty i rozwinął się charakter Dratewki.

Mój przyjaciel był małego wzrostu, zapewne po rodzicach; miał zapadnięte piersi, skutkiem kilkunastogodzinnej pracy w pozycji schylonej, i - na kolanie posiadał duży nagniotek, dzięki nieustannym uderzeniom młotka w to właśnie, a nie inne miejsce. „Inne” bowiem miejsca były „uderzane” pięścią albo pociąganiem, co już zależało od uznania majstra i czeladników.

Prócz tego mój przyjaciel Dratewka miał zgruchotany młotkiem wielki palec u lewej ręki, przez pomyłkę. Miał bok przebity szydłem przez czeladnika, ranę od szewskiego noża zadaną przez majstra, bliznę na czole zrobioną obcasem przez kolegę i dwa zęby przednie wybite przez majstrowe, skutkiem jej żywego temperamentu.

Po społu z kolegami terminatorami sypiał w bezpośrednim sąsiedztwie wychodka, co jego postaci nadawało w ciągu paru lat szczególny zapach. Trafiło się też (czemu prawie nie podobna wierzyć), że podczas nocy odzienie jego samo przechodziło z jednego końca komórki na drugi.

Nadto mój przyjaciel Dratewka, skutkiem częstego pociągania go za włosy, miał do końca życia na szczycie głowy - niewielką łysinkę, a z tyłu - dość oryginalny wicherek włosów, z czym zresztą było mu bardzo do twarzy. Nareszcie miał (Boże! czego on nie miał?...) zwichniętą nogę, dzięki namiętności do czepiania się z tyłu jadących sanek i powozów. Przy tej okazji jeden z jego upadków zwrócił uwagę policji i spowodował ogłoszenie wymierzone przeciw: rodzicom chłopców biegających za powozami. W tym razie zdumiewającą okazała się przezorność Dratewki, który przyszedłszy na świat nielegalnym sposobem, uwolnił swoich rodziców od płacenia kar za jego figle.

Ważny wypadek w życiu mego przyjaciela stanowił dyplom na czeladnika; młody bowiem „towarzysz”, otrzymawszy go, natychmiast ożenił się po raz pierwszy, z pierwszą lepszą kobietą, która go przyjęła za męża.

Tu ośmielę się zrobić uwagę, że najdzielniejszą podporą bezinteresownej miłości jest - szewcki stołek, niski i wklęsły, na trzech rozkraczonych nóżkach. Jestem prawie pewny, że zaraz w pierwszym akcie zabiłby się Romeo dla Julii, gdyby przez jakiś czas praktykował u szewca. Dziwię się, że Kupido, zamiast erotycznych strzał, nie rzuca na zakochanych - wklęsłymi stołkami, i sądzę, że gdyby wszyscy mężowie biegle władali szczecinę i szydłem, nie byłoby rozwodów.

Nie dziw więc, że mój przyjaciel Dratewka, który biegle władał szydłem i przez 14 godzin na dobę używał zakłęśniętego stołka, ożenił się - w dziewiętnastym roku życia.

Jak mieszkało i co jadło młode małżeństwo, mające do dyspozycji około rubla dziennie?... tego nie wiem. Jest przecie rzecz pewna, że: młoda małżonka przy pierwszym dziecku i wraz z pierwszym dzieckiem, nagle - odseparowała się od męża co do stołu i łoża i przeniosła się na stały pobyt za cyrkuł powązkowski „do Siulca”. Innymi słowy: umarła, a ponieważ w owej epoce nie pisano przy cyfrze nieboszczyków nazwiska choroby „z zejściem pomyślnym”, należy się więc domyślać, że: imci pani Dratewczyna nr I zmarła na - mors simplex.

Mój przyjaciel Dratewka po stracie ukochanej żony i jedyne go syna był w tak wielkiej rozpacz y, że nie wiedział nawet, jakim sposobem zaręczył się na pogrzebie nieboszczki. W kilka tygodni potem, nieutulone go w żalu, zaprowadzono po raz drugi przed ołtarz, gdzie nowej towarzyszce życia przysiągł miłość, wierność i nieopuszczenie jej aż do śmierci, w czym miał mu dopomagać Pan Bóg i wszyscy święci.

Po ślubie - „rodzinny budżet” mego przyjaciela nie zmienił się ani o kopiejkę. Państwo młodzi nie ponosili żadnych wydatków na opał; nie uważali nawet za stosowne kupować talerzy i misek, przeczuwając zapewne, że według zasad dietyki: zupy nie są pożywne, a według zasad fizyki: chleb, ser i wędzonka dają się utrzymać w bosej ręce, bez odwoływania się do fajansowych naczyń.

Swoją drogą, młoda małżonka, widać nie mająca czasu otrząsnąć się z zastarzałych przesądów, niekiedy płakiwała. Wtedy mój przyjaciel chcąc urozmaicić życiową jednostajność sprawiał jej „lanie” - pocięgiem, pięścią, nogami, a zresztą czym było można. Ponieważ zaś, już w kilka miesięcy po ślubie, zdrowie pani wymagało troskliwej opieki, a opieki tej nie znalazła, więc - na mocy higieny, fizjologii, patologii i pewnej liczby innych nauk medycznych - umarła. Zdaje się, że tym razem przyczyną śmierci była: mors composita.

Pochowawszy imci panią Dratewczynę nr II, w sposób zgodny z policyjnymi przepisami, mój przyjaciel na kilka lat pozostał nieutulonym w żalu wdowcem. Nie dlatego bynajmniej, ażeby zakłęśnięty stołek przestał już wywierać błogi wpływ na jego idealne uczucia, lecz dlatego, że po rychłym zejściu dwu żon miał opinię: partii „nieszczęśliwej”.

Tych kilka lat wyszły mu na dobre. Przyswoił sobie w ciągu nich dwie ekonomiczne zasady: „pamiętaj o jutrze” - i - „nie wydawaj nad to, co masz”. Mój przyjaciel z całym zrozumieniem rzeczy wypełniał te przepisy. Zawsze pamiętał, że: po sobocie następuje niedziela, a po niedzieli poniedziałek; nie wydawał też nad to, co miał, bo mu w sklepikach odmawiali kredytu. Więc pierwiej, nim co wydał, musiał wziąć od majstra zaliczkę, zupełnie jak niektórzy dziennikarze.

Swoją drogą, ponieważ płacono mu lepiej, zaczął przychodzić do grosza. A jakkolwiek twarz żółkła mu coraz bardziej, coraz głębiej zapadały piersi i nie powiększał się wzrost, Dratewka jednak mile był widziany przez płeć piękną. Jego koszule po 12 rs tuzin, jego surduty z przykrotkimi lub przydługimi stanami, jego piękne: niebieskie, zielone i czerwone krawaty, a nade wszystko: świeży tytuł majstra - podbijały czułe z natury serca kobiet. Mój przyjaciel zaczął być partią „świątą”, skutkiem czego zapraszano go na wesela i inne tańczące rozrywki.

Na jednej z takich zabaw Dratewka poznał dziewicę tak cudnych kształtów, że wszystkie staniki były na nią za ciasne, i - dowiedział się z boku, że... ona ma „kapitalik”. Tańczył więc tylko z nią. Na jej cześć chciał nawet „zamieść antresolę” pewnemu ślusarzowi, który jednak natychmiast zdyskontował mu jego weksel wraz z hojnym procentem, co nawet między nią i nim - zawiązało ściślejsze stosunki. Piękność bowiem ofiarowała Dratewce własną chustkę do zatamowania krwi, obficie płynącej mu z nosa, lała mu wodę na kark i z zajęciem przysłuchiwała się obelgom, jakie incognito miotał na pozbawionego ambicji i edukacji ślusarza.

Wzmocniwszy nadwątlone zdrowie, Dratewka wrócił z damą na salę i znowu zaczął tańczyć. A ponieważ miał zwyczaj, trzymając coś w obu

rękach, szarpać łokcie w tył, jak gdyby wyciągał dratwę, więc między nim i lubą istotą zawiązały się w ciągu tańca tak serdeczne stosunki, że tego samego wieczora on oświadczył się, a ona go przyjęła.

W kilka tygodni nastąpił ślub.

W czasie tej pauzy Dratewka, licząc na „kapitał” przyszłej, wydał wszystkie oszczędności, pobrał na urządzenie domu zaliczki od majstrów i nie zapłacił nawet świeżo wynajętego mieszkania, upewniając gospodarza, że zrobi to „po ślubie”. Nieraz siedząc na wklęsłym stołku marzył o pięknie zbudowanej dziewczycy, za której „kapitalik” miał wynająć sklep, zgodzić mnóstwo czeladzi, zrobić majątek, kupić kamienicę i - jako człowiek „naszej sfery” przyjmować udział we wszystkich balach kostiumowych.

Nadzieje te wydawały się memu przyjacielowi tak niezawodnymi, że nagle zhardział. Czeladnikom przestał podawać rękę, majstrom podawał tylko po dwa palce i umyślił wyprawić wesele - jak szanujący się członek „naszej sfery”.

Kupił tedy za dziesięć złotych tort, kilka butelek ryskiego szampana, mięsa, piwa i wódki, aż się wracało, i...

... Obstałował do ślubu dwie karety...

Ten splendor cieszył go najwięcej; na chwilę tylko zmięszał się plunawszy w czasie jazdy, zamiast na ulicę, na szybę karety. Ale - obtarł ślinę połą surduta i rozparł się jeszcze lepiej.

Przy ślubie myślał o powrocie kareta do domu, a| przez całe wesele rozmawiał tylko - o jeżdżeniu kareta.

Na drugi dzień dowiedział się, że całym „kapitalikiem” jego żony była - niewinność. Nieoceniony ten skarb, dla którego ludzie strzelają sobie we łby, tak zepsuł humor Dratewce, że szturgnął parę razy młodą damę kułakiem.

Ale i ten rozweselający czyn nie zastąpił braku gotówki. Że zaś nowożeńiec nie miał grosza przy ciele, a nowych zaliczek nie mógł dostać, więc państwo młodzi na drugi dzień po weselu nie mieli co włożyć w gębę.

Dratewczyna nr III zanosila się od płaczu, ale Dratewka, jak każdy wyższy umysł, znalazł idealną pociechę, przypominając sobie - jazdę kareta.

Na trzeci dzień kapnęło parę złotych i młodzi zjedli po dwie miski wybornych zacierek ze słoniną. Ale w tydzień potem przyszedł w imieniu gospodarza komornik, zajął wszystkie ruchomości, a nowożeńcom - kazał opuścić lokal.

Szafa, komoda, łóżko, weselny garnitur i nowiuteńkie kamasze wpadły w ręce wykonawcy prawa. Młodzi wyszli na ulicę szukać nowego lokalu. Ona w lekkiej sukni, w lekkich trzewikach i lekkiej chustce, on - w starym surducie, w koszuli bez spinek i w angielskich kortowych spodniach, które posiadały tę godną uwagi własność, że trzeba je było ciągle podtrzymywać ręką, ażeby wraz z pozostałymi nadziejami mego przyjaciela nie runęły na chodnik.

Był to luty, mróz piekielny, dzień krótki. Małżeństwo przechodziło z ulicy na ulicę, nie mogąc nigdzie znaleźć „odpowiedniego punktu” na mieszkanie. „W odpowiednich punktach” wszystkie lokale od dawna zajęto - tam zaś, gdzie były mieszkania, nie chciano ich wynajmować biedakowi lub żądano zapłaty z góry.

Młoda pani, drżąca z zimna, tak owinęła chustką głowę, że nie było widać jej twarzy. Młody pan tupał czasem dziurawymi kamaszami o chodnik i - pocieszał się wspomnieniem tortu, ryskiego szampana i - jazdy kareta.

Chwilami opierał się tyłem o ściany domów i umocowawszy w taki sposób swój angielski kort, na rozgrzewkę uderzał ręką o rękę albo tarł siniejące uszy.

W pustym żołądku tak mu niekiedy turkotało, że żona odwracała się do niego, pytając:

- Czy ty do mnie mówisz?...

Ku wieczorowi Dratewka coraz prędzej biegał po ulicach, wciąż szukając mieszkania. Nareszcie, o zachodzie słońca, znalazł nad Wisłą drewniany domek, na którym wisiało tyle kart, że tu już - lokal był pewny.

Skostniały z zimna, ledwie wynalazł jakąś babinę, która powiedziała mu, że mieszkanie będzie można wynająć, ale wówczas gdy gospodarz przyjdzie, to jest - jutro.

Potem dobra kobiecina skryła się w swojej komórce, zatrzaskując drzwi pokryte lodem, a Dratewka wrócił do żony.

- Cóż?... - spytała.

- Będzie jutro!...

- A gdzie teraz pójdziemy?...

- Chyba zostanemy tu... Gospodarz przychodzi bardzo rano, to możemy się z nim nie spotkać...

Stanęli więc pod ścianą domu, drżąc i przytulając się do siebie ramionami. Żona jeszcze lepiej zasłoniła twarz chustką, ale on, zuch nawet w biedzie, gwizdał sobie, przytupywał nogami i patrzył na drugą stronę Wisły, gdzie przez zamarznięte okna widać było światła lamp, a może - ognie na kominach.

- Hu! ha!... - wykrzykiwał myśląc o jeździe kareta i patrząc na światła w dalekich izbach. Niekiedy przygasały owe światła, ale tylko w takim razie, jeżeli zaczynały mu marznąć nie otarte łzy w oczach.

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 56

Kronika tygodniowa - Kurier Warszawski, rok 1881, nr 56, dnia 11 marca

Piękne ideały i brzydka realność, czyli towarzystwo muzyczne i majątek Nieporęt. - Kłopoty Towarzystwa Dobroczynności. - Bonifacy i Piotr. - Jeszcze słówko o Zgromadzeniu Felczerów.

U nas, gdy odezwie się kto, że: dla narodowego życia więcej znaczy dobre targowisko na artykuły spożywcze aniżeli galeria obrazów, pewna część publiczności oburzał się i nazywa autora dziwakiem.

- Jak można profanować „sztukę”, porównywając ją z tramwajami, targami, kanalizacją, a nawet - szkołą elementarną!...

Tymczasem nie tylko można robić takie zestawienia, ale nawet trzeba. Sztuka w narodzie jest - jak jedwabny parasol albo pióro u kapelusza. Co byśmy zaś powiedzieli o człowieku, który nie mając koszuli na grzbiecie i obuwia na nogach, uganiałby się za jedwabnym parasolem i strusim piórem?...

Za dużo poświęcamy sił, czasu i pieniędzy „sztuce”, a za mało, nawet - uwagi, kwestiom praktycznym. To jednak „rozsztukowanie się” nie przeszkadza nam płakać wówczas, gdy? źle idą owe „kwestie praktyczne”, które zwykle jak najstaranniej wymiatamy z porządku dziennego na rzecz „sztuki”.

Mam właśnie pod ręką dwa fakty, z których jeden dowodzi, jak przeceniano u nas ogólny popęd do „sztuki”, a drugi - jak szkodliwym jest zaniedbanie „praktycznych celów”.

Kiedy zakładano Towarzystwo Muzyczne, mówiono:

Że Towarzystwo uprzyjemnia życie i łagodzi obyczaje.

Że Towarzystwo przyczyni się do upowszechnienia „muzyki wyższej”, która w wyższym stopniu uprzyjemnia życie i łagodzi obyczaje.

Że w Warszawie znajduje się wielka liczba osób, dla których muzyka jest taką potrzebą, jak: jedzenie, taniec, kredyt, teatru itp.

Cóż się dziś stało?

Oto, po upływie wielu lat i wypływie wielu tysięcy rubli:

Towarzystwo nie przyczyniło się do zaszczepienia muzyki wyższej, bo - na koncercie naszych własnych, nawet znakomitych, muzyków nikt nie chodzi, podczas gdy katarynki, szansonetki i operetki cieszą się ogólnym uznaniem.

Obyczaje nie złagodniały i - o ile wiem - suma życiowych, przyjemności nie wzrosła.

Nareszcie, w tym samym czasie, kiedy: restauracje, sale tańca, towarzystwa kredytowe, teatry, teatrzyki i galerie obrazów robią świetne, a przynajmniej dobre interesy, Towarzystwo Muzyczne doświadcza ciężkich kłopotów.

Znaczy, że muzyka wyższa nie była „potrzebą” społeczną, że przygotować się do niej należy przez muzykę niższą i że - straciliśmy dużo pieniędzy z małym skutkiem.

Jednocześnie rozeszła się wieść, że dobra Nieporęt ze starym lasem przechodzą w ręce Niemców.

Jest to nieszczęście, a raczej kilka nieszczęść. Majątek, który do tej pory żywił ze sto polskich rodzin, stanie się spiżarnią i szańcem odpowiedniej liczby Niemców. W lesie każde drzewo sprzedane, dajmy na to, za rubla, po umiejętnej obróbce będzie warte 10 rs, a zysk - przejdzie znowu do kieszeni Niemców.

Któż jednak winien, że gdy Niemcy posiadają, obok towarzystw muzycznych - „towarzystwa do wykupywania majątków” i „leśnych techników” - my cieszymy się tylko Towarzystwem Muzycznym, w dodatku - zaniedbanym przez ogół?

Czy nie byłoby lepiej, w epoce zakładania Towarzystwa Muzycznego, zawiązać spółkę rolną, a pieniądze, wydane na koncerta, przeznaczyć na kształcenie techników leśnych?... Może dziś nie lękalibyśmy się przejścia Nieporęt czy Nieporętów w niemieckie ręce i może mielibyśmy więcej środków do założenia Towarzystwa Muzycznego na trwalszych fundamentach?

Nikt nie cofnie przeszłości i nie pora już ubolewać nad przepadłym kapitałem. Lecz odnieśliśmy niemałą korzyść, gdyby z uwagi na popełnione błędy opinia nauczyła się więcej dbać o cele praktyczne, a mniej pozować na zamięłowanie wyższej sztuki.

Ciernistą drogę przechodzi Towarzystwo Dobroczynności. Jego roczne wydatki dosięgają 85 000 rs, deficyt 15 000 rs - liczba kandydatów do zapomogi wzrasta - liczba dziadów nie zmniejsza się ani też piękniej pachnie zgnilizna nędzy.

Z drugiej strony ofiarność publiczna nie pasuje do zamiarów Towarzystwa, które chciałoby wykroić płaszcz z materiału wystarczającego ledwie na kurtkę. Stąd lamenta na sesjach, stąd potrzeba „obmyślenia nowych środków”, z których każdy ma na celu pompować z publiczności nowe ofiary, nie zapobiegające szerzeniu się biedy i demoralizacji.

Gdy więc specjalna komisja „obmyśla nowe środki” na drodze „zwiększenia składek od członków”, którzy dzisiaj nie chcą płacić małych składek, lub ustanowienia ogólnej opłaty, jakby „ogół” nie wnosił na ubogich żadnych „opłat”, gdy to robi komisja, nam, profanom, wypada przypatrzeć się zasadom, na których opiera się pomoc udzielana ubogim. Bo jeżeli fałszywe są zasady, to rzekoma „dobroczynność”, rozwijając się coraz „piękniej”, stanie się klęską kraju, nie ustępującą wojnie, głodowi i morowej zarazie.

Jest to zatem doniosła sprawa i dlatego poświęcimy jej więcej miejsca. A ponieważ do przekonań najłatwiej trafiają przykłady, więc zacytujemy przykład, pozostawiając sens moralny publicznemu rozsądkowi.

W chińskim mieście X, na ulicy Y - stoją naprzeciw siebie dwa ogromne domy, istne osady, oznaczone literami C i D. W jednym i w drugim znajduje się setki mieszkańców: bogatych, zamożnych, mniej zamożnych, ubogich i nędzarzy.

Co zaś najważniejsze: każda z obu kamienic cieszy się posiadaniem specjalisty od filantropii.

Pod literą C promienieje miłosierdziem p. Bonifacy, a pod literą D - rządzi p. Piotr.

P. Bonifacy jest wcieleniem ideału dobroczynności i gdyby nie skrzypiące buty, przewiewałby przez suteryny i poddasza cierpiących jak - anioł. Jest on pulchniutki, różowiutki, słodziutki i tak wrażliwy na cudzą biedę, że jeżeli wypadkiem przytną psu ogon, on przez pół dnia nie może z bólu usiedzieć na krześle.

Życie jego jest pasmem poświęceń i gonitw w celu wspierania nędzy. Dla miłości bliźniego wstaje o siódmej - o ósmej pije kawę na ubogich, a o wpół do dziewiątej kryje się, na rzecz nędzy wyjątkowej, do ciemnego gabinetu w korytarzu, skąd po upływie kwadransa wynurza się z błogim uśmiechem na różowej twarzy, gotów nawet iść na śmierć (przez plenipotencją) za „tych, którzy cierpią”.

Od tej chwili aż do obiadu przyjmuje wszystkich żądających wsparcia. Po obiedzie oddaje się, na cele dobroczynne, krótkiej drzemce i - następnie idzie do: bogatych, zamożnych i średniozamożnych sąsiadów po „dobrowolne ofiary”. Za każdym razem „obmyśla” tak „nowe środki”, że naciskany przez niego „dobroczyńca” spod wątroby wyjmie pieniądze i odda je p. Bonifacemu.

Gdyby nagle znikła „cierpiąca ludzkość”, p. Bonifacy „kołatałby” o ofiary na cierpiące zwierzęta i rośliny, a gdyby i tych zabrakło, p. B.

usechłby z tęsknoty jak fiołek rzucony na opokę. On bowiem jest tylko - zanurzonym w kieszeni dobroczyńców lewarem, przez który przepływa strumyczek miłosierdzia na dobrych, na złych, a nawet na skończonych łotrów, byle nosili łachmany i umieli przejmującym głosem żądać „pomocy”.

Zasługuje na uwagę system „wspomagania” praktykowany przez p. B., a oparty - nie na rozumie, broń Boże! bo rozum studzi serce, ale - na nerwach.

Godzina 10 rano. Do gabinetu p. B. wchodzi człowiek bez ręki, którą złamano mu w szynku.

BONIFACY

nie dając mu przyjść do słowa

Wiem, wiem! jesteś kaleka... nie możesz pracować... Masz pieniądze!

Wchodzi szpakowaty elegant.

ELEGANT

Panie!... Muszę zapłacić komorne za kwartał... Jeżeli nie pożyczysz mi kto 100 rs, będę zgubiony. Wymówią mi bardzo wygodny lokal, a nawet zlicytują meble...

BONIFACY

do siebie

Nieszczęśliwy! Przywykł do dobrobytu, a dziś... (do eleganta) Racz pan przyjąć dwa ruble i wybacz...

Wielmożny panie!... dobrrrroczyńco!... żona, dwanaścioro drobnych dzieci, trzynaste w drodze, a za czternaste nie ręczę!...

BONIFACY

Biedny ojciec licznej rodziny!... Masz, mój przyjacielu, a staraj się...

ŁOBUZ

Rozumiem... Do piętnastego - pana poproszę w kumy!...

Wchodzi uboga kobieta z chłopcem.

KOBIETA

Panie dobrodzieju! chciałam oddać dziecko do nauki rzemiosła, ale majster żąda zapłaty. Może też mnie pan wesprze?...

BONIFACY

zanurzając z niepokojem ręką w worku

Aj, do licha, już mi zabrakło pieniędzy. Dobra kobieto, udaj się do kogo innego...

Wchodzi człowiek dojrzały.

CZŁOWIEK DOJRZAŁY

Panie, daj mi pracę, bo umrę z głodu z rodziną!...

BONIFACY

ze słodkim uśmiechem

Drogi przyjacielu! my nie zajmujemy się stręczeniem, brak nam na to czasu... Ale... idź do jednego Żydka na placu Grzybowski, a on ci wynajdzie.

CZŁOWIEK DOJRZAŁY

Kiedy Żyd chce rubla, a ja nie mam. Więc może mi pan choć rubla pożyczy?

BONIFACY

Dałbym ci tysiąc rubli, ale... moje fundusze pożyczkowe są już wyczerpane!

Człowiek wychodzi z mieszkania Bonifacego i z rozpaczyny wiesz się na jego podwórku.

Rezultat działalności p. Bonifacego przeszedł najsmielsze nadzieje. Bogaci i zamożni mieszkańcy domu pod literą C, dzięki coraz to „nowym środkom”, zubożeli albo całkiem przestali dawać jałmużny. Ubodzy, wstydzący się żebrać marli z głodu albo wieszali się. Inni ubodzy, którzy z początku szukali pracy, nie zaś wsparcia, widząc, że „Pan Bóg karze hardych”, wzięli się do żebraniny.

Wkrótce cały dom napelnili kalecy z głowami poranionymi szkłem, popodbijanymi oczami, powybijanymi zębami. Większe mieszkania zajęli ludzie dobrze urodzeni, którzy wstydzili się kazać pracę glansowanych rękawiczek. Na poddaszach i w suterrenach gnieździli się próżniacy tonąc w brudach i powtarzając przysłowie: „Kogo Pan, Bóg stworzył, tego nie umorzył.”

W końcu Bonifacemu zabrakło i gotówki, i cierpliwości. Nie mówiąc tedy nic, wyniósł się cichaczem z domu, ażeby w innym cyrkule praktykować swoją dobroczynność. Osieroceni zaś pupile straciwszy stały dochód - poczęli kraść i rozbijać - dla ubogich. Niebawem kamienica stała się jedną wielką jaskinią łotrzyków, którzy ściągali do niej ze wszystkich stron, wiedząc, że tam, czego nie wytargują łzami, wyjednają za pomocą pałki.

Urzędujący pod literą D p. Piotr był twardy jak opoka. Człowiek zawiędły, zimny, nie wzruszał się lamentami, ale przede wszystkim - badał wartość proszącego o wsparcie. W czynach swoich kierował się zasadą, że ludziom trzeba tylko nie przeszkadzać i nie krzywdzić ich, a dadzą sobie radę, ponieważ Bóg opatrzył każdego dostatecznymi

siłami do zdobycia warunków bytu. Pomagał temu, co jest słabe, wszelako z tym dodatkiem, że: było lub będzie użytecznym...

P. Piotr miał opinię „złoczyńcy”, postępował zaś, jak niżej.

O godzinie którejkolwiek wchodzi interesant.

INTERESANT

Panie! jestem rzemieślnikiem, ale że spalił mi się warsztat, więc potrzebuję pożyczki.

PIOTR

Dlaczegoś się pan nie ubezpieczył?

INTERESANT

Chciałem, ale - okrutnie żdzierają!...

PIOTR

Jakie pan miałeś długi, ile bielizny i odzieży, co jadałeś?

INTERESANT

Winien jestem Kasie Przemysłowców 100 rs. Mieliśmy oboje z żoną po kilkanaście sztuk bielizny i po kilkoro odzienia. Jadaliśmy śniadanie i kolację gotowaną, a obiad na trzy potrawy.

PIOTR

Dosyć. Widzę, żeś pan człowiek porządny. Dostaniesz pożyczką na lat trzy.

Wchodzi starzec.

STARZEC

Panie! jestem stary i chory, a nie mam przytułku, bo mój syn ledwie zarabia na utrzymanie dzieci.

PIOTR

Coś pan robił do tej pory?

STARZEC

Przez trzydzieści lat byłem oficjalistą.

PIOTR

Dostaniesz miejsce w domu schronienia.

Wchodzi drugi starzec, elegant.

STARZEC II

Jestem X. Zapewne pan dobrodziej słyszał o mnie?... Miałem najpiękniejszą w kraju sforę chartów, które, niestety! pozdychały na nosaciznę. Moje konie zdobywały nagrody na wyścigach... Obecnie los zmusza mnie do prośby o zasiłek.

PIOTR

A pan co sam robiłeś?

STARZEC II

Głównie - podróżowałem. Zwiedziłem Paryż, Londyn, Wiedeń, Rzym...

PIOTR

To jedź pan teraz do Nicei, tam doskonały klimat.

Wchodzi frant.

FRANT

Szanowny panie! Od kilku lat konkurują o posadę dyrektora fabryki, ale że nie mogłem znaleźć miejsca, więc umieściłem się przy buchalterii. Ponieważ praca ta nie służyła mi, więc przenieśliem się do wydziału korespondencji, a stamtąd, skutkiem intryg,znaczono mnie do ekspedycji. Obecnie jestem... jestem głodny!...

PIOTR

Pracuj pan, a będziesz syty.

FRANT

Właśnie szukam zajęcia...

PIOTR

Dam panu zajęcie. Na podwórzu rąbią drzewo, które trzeba zanieść na strych.

FRANT

Ależ, panie, ja drzewa nosić nie mogę!... Człowiek z moją inteligencją...

PIOTR

To się pan powieś.

FRANT

Z emfazą

Więc ten pozytywny wiek w ludzkich sercach wygasił już litość?...

PIOTR

Bynajmniej, a na dowód tego pożyczę panu powroza...

FRANT

Powroza?... Ha! daj pan... Bierze powróż i wychodzi, a w kilka minut później niesie drzewo na strych.

I ten system wydał owoce. Z domu pod literą D uciekli wszyscy hultaje, a kto został - pracował w miarę sił; leniuchy bowiem i pseudopaniczne widząc, że czeka ich śmierć z głodu, zrzucili pychę z serc i z zapalem wzięli się do roboty.

W kilka lat cały dom wyglądał jak fabryka, w której łoskot narzędzi mieszał się ze śpiewem. Wszyscy mieli doskonały humor wiedząc, że [nawet] najuboższego dzieci otrzymają stosowną naukę, a on sam - pomoc w nieszczęściu. Na stare lata zaś każdy nie mający przytułku znajdzie miejsce w domu schronienia, urządzone z wszelkimi wygodami.

Co prawda, i tutaj trafiały się samobójstwa z rozpacz i śmierć z nędzy. Ale kiedy pod literą C ginęli w taki sposób ludzie mający ambicję i uczciwy charakter, pod literą D ginęli tylko łotry, których nic nie mogło poprawić.

Za to mnożyła się rasa zdrowa, dzielna, rozsądna. Zahartowani w trudach ludzie ci rośli w zamożność i siłę i wkrótce stali się sławnymi na całe chińskie miasto X.

Tkliwy Bonifacy po dawnemu babrał się w „uczynkach miłosiernych”. Toteż jego wychowańcy napelnili szpitale i więzienia, a najlepsi poszli w służbę do „egoistów i dorobkiewiczów” spod litery D.

W końcu - jeszcze słówko w sprawie wejścia starozakonnych felczerów do zgromadzenia felczerów chrześcijańskich.

Pp. starsi zgromadzenia w odezwie swojej (nr 54 „Kuriera Warszawskiego”) wspomnieli o „wywieraniu pewnego nacisku na opinię”, domyślnie: w tym kierunku, ażeby zgromadzenie przyjęło starozakonnych felczerów.

W zdaniu tym tkwi błąd. Żaden dziennik i żaden dziennikarz nie ma siły ani prawa do „wywierania nacisku” na kogo bądź i w jakiej bądź sprawie. Dziennikarz ma tylko prawo i obowiązek: przypominać wszystkim o ogólnych interesach kraju, którym szkodzą zarówno niepraktyczne cnoty, jak i występki, zarówno nieprzezorność, jak i brak wewnętrznej zgody.

W sprawie felczerów chrześcijańskich i starozakonnych zwracałem uwagę na potrzebę jedności z tym zamiarem, ażeby nie zapomniano o niej w naradach zgromadzenia. Z listów zaś, łaskawie nadesłanych mi z jednej i drugiej strony, doszedłem do wniosku:

1. Że nie wszyscy felczerzy starozafconni pragnęli wstąpić do zgromadzenia - i -

2. Że między felczerami chrześcijańskimi nie ma niechęci wyznaniowych, nie ma kastowości, ale jest troska o materialny byt towarzystwa, który może być zachwiany przez ryczałtowe wejście blisko 100 nowych członków.

Te względy znaczą bardzo wiele: nikt bowiem nie ma prawa, tam gdzie chodzi o byt materialny, żądać od ludzi poświęceń.

W podobnym wypadku nawet odroczenie przyjęcia byłoby usprawiedliwione, byle: między motywami odmowy nie znalazły się jakieś kastowe poglądy, czego zresztą nie należy się obawiać, bacząc na dotychczasowe postępowanie zgromadzenia.

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 62

Kronika tygodniowa - Kurier Warszawski, rok 1881, nr 62, dnia 19 marzec

Odczyty o metodzie pogładowej. - Człowiek z „poglądem”. - Historia Józia Głuptaska. - Dlaczego cudzoziemscy właściciele naszych kopalń nie chcą dać pieniędzy na szkołę górniczą. - Historia nieszczęśliwego Pawła.

W zakładzie pani Teresy Mleczkowej - jedynej, niestety! u nas dyrektorki „ogródka dziecięcego”, głośny pedagog, p. Adolf Dygasiński, ma wypowiedzieć 12 odczytów: O metodzie pogładowej w nauczaniu.

Co to za diabeł owa „metoda pogładowa”?... bo nasze pisma mówią o niej niewiele. Donoszą wprawdzie, że pani Mleczko... mieszka przy ulicy Wiejskiej i że p. Dygasiński miał w roku zeszłym w ratuszowej sali wyborny odczyt o „kanarku”. Mogłyby jeszcze donieść, że - na przykład - p. Dygasiński jest blondynem, średniego wzrostu, wreszcie może by się zdecydowały uwiadomić nas o biograficznych szczegółach z życia pana D., ale o „metodzie pogładowej” - dyskretnie milczą!

Nie dziw zatem, że i ogół nie zwraca uwagi na odczyty o „metodzie pogładowej”, w której chyba nie musi być nic szczególnego, jeżeli kierownicy opinii nie uderzyli w wielki dzwon pochwał.

Przecie u nas ogłasza się każdy znakomity fakt; a ponieważ o „metodzie pogładowej” nie głosi nikt, więc nie musi to być żadna znakomitość. Kto wie nawet, czy nie jest to coś nudnego, coś - mającego związek z tą usypiającą i denerwującą rzeczą, która u nas nazywa się „poglądem.” albo „własnym poglądem”.

O! bo jeżeli nasza publiczność nie wie, co znaczy „metoda pogładowa”, natomiast doskonale wie: co znaczy „pogląd”.

Wyobraźmy sobie salon czy pokój napełniony wesołym towarzystwem. Kipi w nim rozmowa, rumienia się twarze, szybciej oddychają piersi, błyszczą oczy. Widać, że zgromadzeni tu ludzie zapomnieli o codziennych kłopotach, że czują dla siebie wzajemną życzliwość, słowem - są szczęśliwi.

Wtem na progu drzwi staje człowiek chudy, blady, ubrany czarno - i - towarzystwo nagle milknie, jak gdyby z sufitu uderzył piorun. Zamarły ożywione ' ruchy, zacisnęły się usta, a osłupiałe oczy zbiegły się w jeden punkt, tam gdzie sterczy ów - ubrany w uroczysty tużurek.

Kto on jest?... komornik?... czy wróg ludzkości?... może upiór?...

Nie, to nie upiór, to tylko człowiek - „z poglądem” albo z „własnym poglądem”...

To uosobienie prawdy, powagi, dobrych obyczajów, nieugiętych zasad, które wypowiada z pewnością prawodawcy, tonem zegara wybijającego sekundy.

O czymkolwiek zaczniesz mówić przy nim: o polityce, kucharstwie, chemii, choreografii, o pasztetach z drobiu i o nieśmiertelności duszy, on na wszystko odpowie ci „poglądem”. On nie śmieje się, on nie płacze, nie gniewa, nie zachwyca, nie wierzy, nie wątpi, tylko - wypowiada „poglądy”.

Na pierwszy raz człowiek ten wydaje ci się zajmujący, za drugim razem zajęcie wzrasta, za trzecim - słuchasz go ciekawie, za czwartym - jesteś zdumiony, a za siódmym, dziesiątymi trzydziestym razem - jego „poglądy” stają się tak nudne jak asafetyda.

Od tej pory nabierasz wstrętu do uroczystych tużurków, nienawidzisz ludzi chudych, a na widok wyrazu „pogląd” - czujesz oskome w zębach i gęsią skórkę na plecach.

Nie ma co tajić. Słowo „pogląd” straciło kredyt i nie wiem, czy mi się uda zjednać serca czytelników dla „metody poglądowej w nauczaniu”.

A przecież ta metoda ma dużą wartość; naprzód, dla dzieci, które muszą się uczyć, potem - dla nauczycieli, którzy muszą uczyć, nareszcie dla rodziców, którzy pragną, ażeby ich potomstwo, w pogoni za mądrością, nie stoczyło się w rów umysłowego przytępienia.

Opowiem prawdziwy wypadek.

Pewni państwo mieli synka, który uchodził za skończonego głuptaska. Z trudnością poznał litery, czytać nauczył się wśród cierpień i łez, a już pamięci - nie miał ani odrobiny.

Bywało, zadadzą mu bajeczkę pt. Źródło świętego Gangolfa:

Znużony Gangolf pielgrzymką długą,
W piaszczystej Włoch okolicy,
W skwarne południe nagle - nad strugą
Szumiącej stanął krynicy...
itd.

Otóż on biedak nawet czterech początkowych wierszy nie mógł nauczyć się żadnym sposobem. Czytał sam, czytano mu, pisał, powtarzał, stał ”w kącie, klęczał... Wszystko na nic! Źródło świętego Gangolfa tak mu gdzieś wsiąknęło w głowę, że go stamtąd nie podobna było wydobyć, nawet - popędzając pamięć od dołu.

Porzucono zatem Źródło, a wzięto się do bajeczki: Chłopcy i żaby.

Synek odczytał bajeczkę: raz, drugi, setny... W końcu zaczął ją sobie wbijać w pamięć, dzieląc na sylaby w taki sposób:

„W ko... w ko... w ko...” (Już owe „w ko” zapamiętał.)

„Łoje... łoje... łoje...” (Zapamiętał: „łoje”.)

„Ziorazwie... ziora zwie... ziora zwie...” (Zapamiętał: „ziora-zwie”.)

I taki pracując, wyuczył się kilku pierwszych wierszy, a gdy go wezwano, aby „wydał” - wydawał w ten sposób:

„Wko łoje ziorazwie czora
Chłopcybie gali i naża byczu wali...”

W połowie egzaminu rodzice wzięli się za głowy z desperacji, było bowiem widoczne, że chłopak - nic a nic nie rozumie. Z jasnego jak dzień frazesu:

Wkoło jeziora, z wieczora,
Chłopcy biegali i na żaby czuwali...

on, biedactwo, zrobił dziwoląga, nie wiadomo w jakim języku. Bo co mogło znaczyć: „łoje” - „czora”, choćby nawet „byczu” nikt nie wiedział!

Ogłoszono dziecko za idiotę i - przerwano wszelkie nauki.

Szczyściem, chłopak miał na wsi młodego wuja, który był obeznany z „metodą pogładową”. Gdy więc wuj dowiedział się o rodzicielskich zgryzotach i osobiście wyegzaminował chłopczynę - wyprosił dla niego urlop i zabrał dzieciaka na parę miesięcy na wieś.

Były tam: piaski, laski, źródła, a nawet blisko dworu duży staw, czyli - jezioro - zwyczajnie jak na wsi.

Jednego dnia, o zachodzie słońca, wziął wuj chłopczynę na spacer. Chodzili nad jeziorem, w którego powierzchni odbijało się czerwone niebo - słuchali kukania żab i widzieli gromadę wiejskich chłopców, rzucających kamienie na wodę.

- Co oni robią, wuju? - zapytał chłopczyna.

- Polują na żaby - odparł wuj.

Po kolacji wuj zaczął zadawać pytania chłopcu.

- Powiedz no, Józiu, gdzieśmy chodzili dziś na spacer?
- A nad jezioro.
- O jakiej porze?
- A wieczór.
- A cośmy widzieli koło jeziora?
- Chłopców.
- Co robili ci chłopcy?
- Biegali i rzucali kamieniami na żaby - odparło dziecko.
- Weź no teraz książkę - rzekł wuj - i przeczytaj bajkę: Chłopcy i żaby.

Dzieciak wziął książkę i czytał:

Koło jeziora, z wieczora,
Chłopcy biegali
I na żaby czuwali.

Skoro która wypływała,
Kamieniem w łeb dostawała...

- A prawda! - zawołał nagle chłopiec - to tak rzeczywiście było...

Każdy wiersz bajki budził w jego duszy obraz. Dziecko widziało jezioro, bieganie chłopców, słyszało ich krzyki, plusk kamieni rzuconych w wodę...

Wuj pytał dalej:

- Powiedz, Józiu, co byś zrobił, gdybyś był żabą i gdybyś dostał kamieniem w łeb od chłopca?

- Złapałbym kij i zbiłbym takiego! - rezolutnie odparł Józio. - A gdybyś! nie mógł zbić, to co byś mu powiedział?

- Powiedziałbym: daj spokój, ty łobuzie, bo pójde na skargę do wujka!...

- No to, widzisz, żaba była grzeczniejsza, gdyż powiedziała im: Przestańcie, chłopcy, bo się źle bawicie!...

Innego dnia wyprowadził go wuj na daleki spacer.

Parę wiorst brnęli po piasku. Chłopiec zmęczył się, ciężyły mu ramiona, tonęły nogi w zaspie, a bladożółta barwa piaszczystej równiny kłuła i piekła w oczy.

Dziecko chciało już sięść, zbierało mu się na płacz. Ale wuj prowadził go jeszcze dalej i dalej.

Wtem za najprzykrzejszym wzgórkim widok zmienił się. Zamiast piasku, zobaczył Józio śliczną jak dywan murawę, gdzie rosły krzaki wierzb, pod którymi przepływała struga.

Z niewymownym zadowoleniem przypatrywał się chłopiec tej krętej strudze. Podziwiał jej chłód, przezroczystość i łagodne fale, w których przeglądały się obłoki. Potem napił się doskonałej wody, umył twarz pokrytą kurzem i - na godzinkę - zasnął pod cieniem wierzb.

Kiedy wrócili do domu, wuj dał mu do przeczytania wiersz:

Znużony Józio pielgrzymką długą
W piaszczystej okolicy,
W skwarne południe nagle - nad strugą

Szumiającej stanął krynicy.

Teraz chłopiec wszystko rozumiał, wszystko widział. Wyrazy nie były już dla niego zbiorem czarnych znaczków, ale błyskawicami, przy których odsłaniała się gorąca piaszczysta okolica i - chłodna struga, pod kępami wierzb.

Po tych dwu próbach Józio z wujem czytał rozmaite bajki i powiastki, a jednocześnie oglądał to, o czym pisano w książce. Od tej pory czytanie stało się dla niego najmiłszym zajęciem, a gdy chłopiec wrócił do domu, rodzice nie mogli go poznać. Obudziła się w nim ciekawość, pamięć, pojętność - i - z okrzykanego głuptaska - wyrobiło się: zdolne dziecko.

Myśl zawarta w druku jest to ptak zamknięty w gęsto odrutowanej klatce. Bakalarska metoda uczenia dzieci pokazuje im tylko klatkę; metoda „poglądowa” pokazuje im - ptaka.

„Metoda poglądowa” oszczędza dużo sił nauczycielowi i dzieciom; a ponieważ my metody tej nie znamy, więc - warto by zacząć chodzić od jutra na odczyty p. Dygasińskiego, choćby na ulicę Wiejską.

Od wielu lat chciano w Dąbrowie Górniczej ufundować szkołę dozorców i sztygarów, czyli: górniczych majstrów. Złożono nawet w Banku Polskim na ten cel 34 000 rs, a p. Hempel, jeden z naczelników górnictwa, wyjednał pozwolenie rządu. Ponieważ jednak procent od 34 000 rs na utrzymanie niższej szkoły górniczej nie wystarczał, więc p. Hempel zwrócił się do właścicieli kopalń z żądaniem: aby oni przeznaczili jakiś fundusz na rzecz oświaty.

I stała się rzecz ciekawa.

Właściciele Polacy zgodzili się dać fundusz na szkołę, ale - właściciele cudzoziemcy, mianowicie: Towarzystwo Francusko-Włoskie v. Kramsty i hr. Renard - odmówili.

Dlaczego odmówili?

Nie z powodu ubóstwa, bo kopalnie przynoszą im wyborne dochody.

Ani dlatego, ażeby było za wielu sztygarów i dozorców: jak bowiem dowiódł p. Strassburger, dyrektor zakładów spółki warszawskiej, w tej chwili we wszystkich kopalniach potrzeba 81 oficjalistów.

Pozostaje więc jedno przypuszczenie. Oto - cudzoziemcy nie życzą sobie, ażeby kraj posiadał „fachową wiedzę”, podobnie jak Anglicy nie życzą sobie, ażeby Zulusowie posiadali własne fabryki armat Kruppa i winczesterskich karabinów.

Cudzoziemcy chcą w naszym kraju toczyć ekonomiczną walkę z ludnością bezbronną, bo wtedy łatwiej odniosą zwycięstwo i wytepią nas nie rozlawszy kropelki krwi. Ich trwoży widmo fachowego ukształcenia u nas, więc pragnęliby dzisiejszy stan naszej cywilizacji utrzymać dopóty, dopóki nie wyprą nas z ziemi albo nie wymorzą głodem.

Istnieje w kraju cała klasa ludzi będąca jakby ilustracją tego, co nas może spotkać w przyszłości, jeżeli nie postaramy się o zdobycie wiedzy i zwyczajów przemysłowych, stanowiących najsilniejszy oręż w ekonomicznej walce.

Paweł był synem ubogich rodziców. Urodził się w tej epoce, kiedy w kraju - technik był białym krukiem, przemysł nie istniał, a rzemiosła ulegały powszechnej wzgardzie.

Wtedy człowiek z klasy średniej miał przed sobą dwie drogi: albo zostać oficjalistą wiejskim, co nie przedstawiało świetnych widoków, albo wejść do rządowej służby, która dawała mu tytuł, władzę, jakąś pensyjkę, jakieś dochody i - emeryturę.

Toteż „urząd” był szczytem marzeń dla średniej klasy i niejeden ojciec zapracowywał się na śmierć, byle tylko jego syn ukończył szkoły i został urzędnikiem.

Paweł skończył szkoły i - podał się na „urząd”; wtedy właśnie, kiedy go wszystkim odmawiano. Licząc jednak na opiekę boską i „zmianę

okoliczności” zahaczył się przy jakimś biurze i jako „wolnonajemny” pracował za 15 rs miesięcznie.

Już wtedy ktoś napomknął mu: czy nie lepiej byłoby wejść do rzemiosła? Ale Paweł oburzył się. Wiedział on, że rzemieślnicy pracują po kilkanaście godzin na dobę, że po obiedzie nie spacerują po „prospekcie”, że zajmują ciasne lokale, że nie żyją „w lepszych towarzystwach” itd., słowem - sama myśl o rzemiośle kłuła go w zęby.

Po sześciu czy siedmiu latach Paweł awansował.

Dostał 40 rs na miesiąc!

Zarazem jednak przywykł do „lepszych towarzystw”, do frantowskiej odzieży, do droższego lokalu, do teatru, restauracji i tak dalej. Skutkiem czego pensja - nie wystarczała mu; uczuł brak.

Jeszcze po paru latach awansował na 50 rs miesięcznie. Ale jednocześnie mieszkania, jadło i odzież tak zdrożały, że Paweł - wlaźł w długi, a żadnym sposobem nie mógł się odzwyczaić od nałogów nabytych w „lepszym towarzystwie”.

Na domiar nieszczęścia odezwało się w nim serce, które, jak wiadomo, nie dba ani o dochody, ani o wydatki. Paweł - ożenił się.

Żona, miała parę tysięcy posagu, ale ten prędko zniknął, gdyż oboje małżonkowie pragnęli żyć w „lepszych towarzystwach”. Posag ułatwił im tylko zaciąganie długów, które w końcu tak urosły, że na pokrycie ich nie starczyła pensja.

Do biura poczęły złazić się rozmaite Żydki, siwe i rude - naczelnicy byli zasypani skargami na Pawła - on sam zaniedbał się w pełnieniu źle płatnego „urzędu” i - dostał dymisję.

Począł szukać posady: buchaltera, kasjera, rządcy domu - nie dostał żadnej. Z dwóch pokoi w kamienicy murowanej przeniósł się do małej ciupki w domku drewnianym, ale i na opłacenie tego lokalu nie

stało mu pieniędzy. Zamiast pieczeni chciał jadać kluski - ale nie co dzień starczyło i na kluski. Odzienie lepsze sprzedał albo zastawił, a gorsze poczęło drzeć się na szmaty. Wpadł w nędzę.

W tym samym domku mieszkał stolarz. Pracował on od świtu do nocy, nie żył w „lepszych towarzystwach”, chodził zasmolony i powalany klejem. Ale za to miał czerstwą minę, doskonały humor, w niedzielę bawił się jak pan, i dziwna kolei rzeczy! niekiedy wspierał zubożalego Pawła, posyłając jemu i jego żonie obiady.

Wtedy dopiero otworzyły się Pawłowi oczy i - pewnego dnia on, blisko trzydziestoletni człowiek, wstąpił na naukę do sąsiada stolarza.

Robił tam niewiele, mniej niż siedemnastoletni chłopiec; ale chodził jak zbity. Po tygodniu ciężko zachorował ze zmęczenia, a doktor powiedział mu, że: nie ma sił do fizycznej pracy.

To zabiło Pawła. Więc gdy raz żona (trudniąca się szyciem) wyszła do miasta szukać roboty, on, biedak, zwłóknął się z łóżka, przywdział swoje łachmany i chyłkiem wymknął się z domu.

Nie wrócił w południe, nie wrócił w wieczór, nie wrócił na drugi dzień i dopiero w tydzień później znaleziono jego ciało w rzece.

Utopił się, ażeby nie zawadzać na świecie. Był to człowiek zacny i pełen uczciwej ambicji, jego zaś wielkie nieszczęście wyrosło stąd, że chybił w wyborze zawodu. Z początku nie chciał być, później - nie mógł już zostać rzemieślnikiem.

Taka jest dola mnóstwa ludzi w narodzie, którzy obok oświaty ogólnej nie posiada oświaty fachowej. Tego pragną i na to rachują cudzoziemcy.

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 67

Kronika tygodniowa - Kurier Warszawski, rok 1881, nr 67, dnia 26 marca

Wystawa sztuki zastosowanej do przemysłu; jej cel i możliwe skutki. - „Etyka lekarska” i jej racje bytu. - Dzisiejsza etyka szpitalna. - Uwagi nad p. Katkowem i „Norddeutscherką”.

Nasze Muzeum Przemysłowo-Rolnicze, o którego czynach niewiele można powiedzieć, urządzi - na czerwiec i lipiec roku bieżącego: „wystawę dzieł sztuki zastosowanej do przemysłu”.

Publiczność, która z jednej strony dostarczy wystawców, a z drugiej - zwiedzających i płacących, ma prawo zapytać: co to będzie za zwierzę owa „wystawa dzieł sztuki zastosowanej do przemysłu”?...

Czy to ma być coś podobnego do nie donoszonej wystawy „lubelskich starożytności”, gdzie obok wyszłej z użycia broni miały figurować: puchary, trzewiczek królowej Bony i różne „fajansowe naczynia”? Czy to ma być jakaś uniwersalna wystawa, na której - począwszy od sikawek p. Troetzera, a skończywszy na konfiturach p. Ćwierciakiewiczowej - byłoby można wszystko widzieć, wszystko podziwiać i niczego się nie nauczyć? Czy to ma być wystawa, podczas której członkowie Muzeum złożą na ołtarzu ojczyzny mnóstwo nie do jedzonych obiadów, nie przespanych nocy i zhasanych sił po to tylko, ażeby zareklamowało się kilkunastu fabrykantów, a ogół pozostał taki mądry jak poprzednio?...

Czy nareszcie ma to być wystawa na wskroś użyteczna, z celami jasno określonymi i zrozumiałymi dla ogółu?

Otóż zdaje się, że: „wystawa dzieł sztuki zastosowanej do przemysłu” posiada niezbędny środek ciężkości, wie, czego chce, i może wywołać pewne skutki, jeżeli:

zostanie mocno poparta przez ogół -

wyzyskana przez zwiedzających, a nareszcie -

logicznie i energicznie rozwinięta przez komitet.

Bo ta wystawa posiada swój własny komitet, który podjął się dużych obowiązków, jeżeli zechce pokazać nam to, co „Muzeum zrobić może”, nie zaś to, czego „Muzeum zrobić nie może”, a cośmy niejednokrotnie widywali.

Przemysł i sztuka, czyli: pożytek i piękno, są - jak kawaler i panna. Kawaler i panna żyją i rozwijają się oddzielnie - owszem - są nawet epoki, kiedy mamy, ciocie i przyjaciółki troskliwie czuwają nad panną, ażeby utrzymać kawalera w przyzwoitym oddaleniu. Wnet jednak wybija godzina dojrzałości. Kawaler-przemysł nie może ograniczać się na samym „pożytku”; panna-sztuka nie może znaleźć miejsca ze swoją „czystą pięknoscia”, stąpa niepewnymi krokami, lęka się utraty wdzięków, a powszechne uwielbienie dla niej poczyną stygnąć.

Wówczas sztuka łączy się z przemysłem, a jeżeli obie strony są jednakowo zdrowe i silne, tworzy się z nich - najpiękniejsze stadło.

Weźcie chłopską ławkę - jest to rzecz użyteczna, osobliwie dla zmęczonego człowieka. Weźcie z drugiej strony rysunki liści i kwiatów - jest to rzecz ładna. Ale połączcie rysunek z ławką, czyli: zróbcie rzeźbioną kanapę, a będzie to rzecz użyteczniejsza od ławy i piękniejsza od bezcelowego rysunku.

Zwykły talerz jest rzeczą użyteczną, ale talerz ozdobiony artystycznymi obrazkami jest i użyteczny, i ładny.

Brokowany kamień może być doskonałym przyciskiem do papierów. Ale kawał marmuru wyciosany w geometryczną bryłę nabywa już handlowej wartości, jest poszukiwany.

Takie żenienie przemysłu ze sztuką, dzięki postępowi techniki i artyzmu, trafia się w naszych czasach bardzo często. Ludzie coraz chętniej poszukują przedmiotów, w których użytek łączy Słysząc, że pewne kółko warszawskich lekarzy opracowuje książkę pt. Etyka lekarska. Etyka znaczy: zbiór przepisów odnoszących się do moralności. Czyżby zatem istniała moralność lekarska, różna od moralności zwykłej, niezbędna dla lekarzy, ale na nic nie przydatna dla techników, kupców, rzemieślników, śpiewaków i - z przeproszeniem - dla właścicieli domów?...

Więc lekarzy nie obowiązują ani przykazania boskie, ani kościelne, ani grzechy główne, ani wołające o pomstę do nieba, ani to ogólne prawidło, że człowiek powinien sam być szczęśliwym i nie przeszkadzać do szczęścia innym, ale raczej - pomagać? Więc oni muszą mieć swoje specjalne przykazania, swoje grzechy i cnoty?...

Niestety! tak jest na świecie, że każda klasa, a nawet każdy człowiek tworzy sobie specjalną moralność, która najlepiej odpowiada jego potrzebom, wyobrażeniom i słabostkom. Pani żąda uprzejmości od sługi, którą sama traktuje po brutalsku. Lowelas, który z lekkim sercem bałamucił cudze żony, swojej żonie grozi śmiercią na wypadek, gdyby go zdradziła. Gospodarz domu złorzeczy lokatorom, którzy zanieczyszczają mu jego kamienicę, lecz bez wyrzutu sumienia rujnuje cudzą, w której sam mieszka. Majster z taką uwagą patrzy na lenistwo czeladnika, że nie ma czasu zobaczyć własnego próżniactwa. Intrygant na prawo i na lewo szkodzi ludziom, ale nie ma dość słów na potępienie tych, którzy mu choćby niechcący wyrządzili przykrość. Dziad kościelny, usłyszawszy rozmawiających w kruhcie, tak gorszy się ich bezbożnością, że jak przystało na bogobojnego, wrzeszczy na nich ze środka kościoła:

- Cicho tam, łajdaki!... Nie znieważajcie przybytku Pańskiego, bo to nie szynkownia!...

Jeżeli więc każda klasa „ma swoją własną moralność”, dlaczegożby jej nie mieli lekarze?

I rzeczywiście, w iluż wypadkach zwykle przepisy nie obowiązują lekarzy?

Im wolno o każdej porze dnia i nocy wpadać do cudzych mieszkań. Im wolno rozpinać pannom staniki i kłaść głowy na piersiach. Oni mają prawo zaglądać do cudzej sypialni, cudzego garnka i - bezkarnie przelewać krew ludzką.

Proszę mi powiedzieć: który dentysta albo chirurg wypełnia przykazanie: „Nie czyn innym tego, co tobie niemiło!” Czy dla lekarza byłoby dostatecznym: „nie wzywać imienia Boskiego nadaremnie” - ale za „to „pisać recepty i składać wizyty nadaremnie”, czyli wtedy, gdy nie są potrzebne? Co mówią o lekarzach, którzy chcąc „dzień święty święcić” albo - noc przespać -• nie spieszą na wezwanie pacjenta? A co by powiedziano o lekarzu, który: „nie pożąda żony bliźniego swego ani wołu, ani osła, ani żadnej rzeczy”, ale natomiast - odbiera koledze pacjentów?...

Odkładając jednak żart na stronę, jest to godny uwagi fakt, że lekarze, którzy w każdym kraju stanowią jedną z najmoralniejszych klas, że właśnie oni przypominają sobie i opracowują „zasady moralności”, a inne fuchy - o tym nie myślą. Czyby np. kupcom, przemysłowcom, agentom handlowym, właścicielom domów nie przydała się także jaka „etyka”? Czy pp. kupcy, przemysłowcy, ajenci handlowi itd. są już tak utwierdzeni w cnotach, że „etyka” jest dla nich niepotrzebną, czyli też - uprawiają taką etykę, którą nie ma się co chwalić, a tym bardziej - ogłaszać drukiem?...

Życie lubi niekiedy żartować sobie z najpiękniejszych ludzkich zamiarów. Toteż w czasie, kiedy pisma nasze poczęły głosić o układaniu „etyki lekarskiej”, do Warszawy przyleciała wieść, że w Sosnowcu pod szpitalem umarł z ran człowiek, którego nie przyjęto do szpitala, bo nie miał świadectwa ani od lekarza szpitalnego, ani od lekarza powiatowego, ani od naczelnika straży ziemskiej i że w końcu - była noc!

Mój Boże! więc naszym szpitalom nie wystarczają cztery złamane żebra, tylko świadectwo. Więc, ażeby zostać przyjętym do szpitala,

trzeba być zranionym i przez konie zgniecionym w dzień, nie w nocy. Więc biedny karbowy ma obowiązek bez pozwolenia straży ziemskiej powstrzymać rozhukane konie, ale szpital nie ma prawa przyjmować go - bez świadectwa naczelnika?

Warto, ażeby „etyka lekarska” rozstrzygnęła nareszcie kwestię: czy szpital istnieje po to, ażeby koł ludzkie cierpienia, czy po to, ażeby prowadził buchalterię chorych i zmarłych za wiedzą i upoważnieniem powiatowych lekarzy i naczelników straży ziemskiej? Jest to bardzo pilna sprawa, szczególnie w epoce, kiedy chorzy z powodu „braku świadectw” mrą pod szpitalami, a wariaci, znowu dzięki „brakowi świadectw”, zamiast siedzieć w szpitalu, wbiegają ze scyzorykami do Zamku i chcą mordować ludzi, nie pytając ani o upoważnienie, ani o świadectwo!

Przed kilkoma dniami nasze pisma irytowały się na p. Katkowa, niewypłacalnego dzierżawcę „Moskiewskich Wiadomości”, i na berlińską „Norddeutscherkę”, która, jak słyhać, żyje na wiarę z kasą, przeznaczoną w Niemczech na opłacanie dzienników.

Obie te poważne indywidualności: p. Katkow, szynkujący 75-procentowym patriotyzmem, i żyjąca na wiarę „Norddeutscherka”, ogłosiły światu, że kierownikami zamachu 13 marca i autorami niepokojów petersburskich są - Polacy.

Że głupstwo, nawet tego gatunku, może irytować - nic dziwnego; ale że irytować się nie warto, to fakt.

W nas p. Katkow nie powinien budzić gniewu, ponieważ, odnośnie do nas, odegrywa on rolę bardzo użyteczną. Jest on termometrem nienawiści, którą kiedyś pałali do nas wszyscy koledzy p. Katkowa, a z którą dziś ten godny uwagi mąż został prawie sam jeden. Przed kilkunastu laty klątwy p. Katkowa rzucane na nas brzmiały jak trąba z góry Synaj, której tysiączne odpowiadały echa. Później basowy głos p. Katkowa stał się barytonowym, następnie - tenorowym, a dziś p. Katkow śpiewa ulubioną arię - cieniutkim sopranikiem. Znaczy, że p. Katkowowi w jego śpiewackiej karierze czegoś zabrakło, a to jest ważniejsze od wszystkich denuncjacyj tego niezwykłego publicysty.

Kiedyś w tym samym miejscu, gdzie p. Katkow fuszeruje swoją polsko-nihilistyczną sielankę, kipiał wulkan, którego głównym kraterem były „Moskiewskie Wiadomości”. Dziś wulkan uspokoił się. Któż jednak ma prawo bronić, ażeby p. Katkow i nadal nie pełnił funkcji krateru, przez który wypływają resztki niepotrzebnych rzeczy?

Po wtóre, p. Katkow, jako publicysta, ma obowiązek określać przyczyny trapiących społeczeństwo chorób. Według naszej opinii określa je fałszywie czy kłamliwie, bałamuci swoich czytelników mimo woli czy umyślnie. Ale czy do nas należy sądzić go i potępiać? Alboż my znamy miejscowe stosunki? Alboż to nasza wina, że p. Katkow, tworząc przez kilkanaście lat „katkowowsko-polskich rewolucjonistów”, stworzył w końcu tak do siebie podobnych, że aż ich słuchają Rysakowy, Sołowiewy, Hartmany itd.?

Myśmy o tego rodzaju urzęda wcale nie prosili p. Katkova. On ogłaszał na nie konkurs, on pisał ustawy i on dziś chwali się owocami swojej działalności. A jeżeli fakta pokażą, że Rysakow, Sołowiew itd. nie słuchali katkowskich Polaków, tym gorzej dla twórczości p. Katkova, który podjął się zadania nad siły.

My więc p. Katkova nie potępiajmy. Ma on jedną wielką cnotę, którą należy uszanować, oto - jest loiczny w głupstwie. Im zaś będzie loicniejszy, tym rychlej okaże się nicość jego teorii, o co nam właśnie chodzi najwięcej.

Z „Norddeutscherką” sprawa jest prostsza. Jak wszystkie indywidua złego prowadzenia, pismo to musi: 1. kłamać, 2. kompromitować swoich kundmanów. Tak też zrobiła „Norddeutscherką”, głosząc, że Polacy są „majstrami od rewolucji” i że oni najmocniej podkopują europejską legalność.

Szkoda jednak, że nie poszła jeszcze krok dalej i - nie ogłosiła nazwisk tych najślawniejszych „polskich majstrów od rewolucji” w bieżącym wieku. Dla ulżenia jej w pracy postawimy dwie łamigłówki:

„Jak się nazywał ten polski dyplomata, który w r. 1866, w czasie wojny z Austrią, formował przeciw niej węgierskie legiony i zachęcał do powstania Czechów?”

„Jak się nazywał ten polski feldmarszałek, który w r. 1881 ogłosił publicznie, że: z rządem nieprzyjacielskim trzeba walczyć wszelkimi środkami? A dalej: co mogą znaczyć owe - wszelkie środki, między którymi było wyraźnie wymienione: psucie kolei żelaznych, podkopywanie powagi rządów i tym podobne?”

Niech więc „Norddeutscherka”, oddając się nadal brzydkiemu rzemiosłu, praktykuje go w taki sposób, ażeby nie szkodziła swoim najhojniejszym klientom. Bo to jest już nieładnie.

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 73

Kronika tygodniowa - Kurier Warszawski, rok 1881, nr 73, dnia 2 kwietnia

„Lód” jako nowy rodzaj użyteczności. - Obowiązki policji i - kwestie sanitarne. - Szkoła dla dozorczyń przy chorych. - Ustawa „Towarzystwa Przyjaciół Dzieci”. - „Dziennik Warszawski” jako lekarstwo.

Amatorowie higieny i stronnicy dobrych obyczajów podnieśli gwałt z powodu, że: z jakiejś tam „mykwy” brano lód do jakichś tam cukierni, bawaryj i restauracyj.

Wypadek ten jednomyślnie potępiono. Dlaczego?... Nie wiem.

Bo, na przykład, co powiedzielibyśmy o takiej fabryce gazu, która wydobywszy z węgla gaz oświetlający, wywoziłaby koks i smołę gazową za miasto i rzucała w błoto? Na odwrót, jak słusznie chwalono by takiego stolarza i ślusarza, który wynalazłby sposób korzystnego zużytkowania trocin i opiłków?...

Przemysłowy geniusz nie zna granic. Dawniej palono cygara, a łebki od nich rzucano w kąt; dziś, z rozwojem cywilizacji, już nie tylko palą cygara, ale jeszcze łebki od cygar umieją zużytkować na dobroczynne cele.

Oto mi postęp!

Podobnie rzecz się ma z „mykwami”. Zwyczajna łaźnia wylewa brudną wodę do ścieku, a lód każe wyrzucać na śmiecie, czyli - marnować go. „Mykwy”, zamiast „marnować” brudną wodę i lód, sprzedają go: cukiernikom i bawariom.

Oto mi ekonomia!

Od tej pory miłośnicy lodów albo zimnego piwa będą zapewne używali tych specjałów z podwójnym smakiem, pomyślawszy, że znajduje się tam „lód”, który zamiast iść na śmietnik, nabył wyższej ceny.

Dla jeszcze bardziej ekonomicznego zużycia „lodu” należałoby chyba gotować herbatę na wodzie z niego otrzymanej.

Pisząc to, czuję, że robi mi się niedobrze, ale trudno, ekonomia przede wszystkim!

Więc pijmy bawara oziębionego w „lodzie” i cieszymy się, że Opatrzność zesłała nam tak pomysłowych obywateli jak: właściciel „mykwy” na Solcu tudzież ci cukiernicy, restauratorowie i bawarowie, którzy kupowali od niego „lód” do oziębienia artykułów spożywczych.

Słyszałem, że w pewnym zagranicznym mieście wykąpano raz aktorkę w szampanie i - natychmiast ów szampan wypito. Wolno panom - wolno i nam. Oni, mając dużo pieniędzy, mogli pić szampana z damskiej kąpieli, my, ubożsi, musimy kontentować się: bawarem z lodu, pochodzącego - także z damskich kąpieli, urządzonych wedle Starego Zakonu.

Jesteśmy o tyle szczęśliwsi od panów, że kiedy im policja zabroniła pić „szampana po kąpieli”, nam wcale nie broni ciągnąć „bawara z lodu”...

Ci, którym taki „lód” wydać się może niezdrowym i niesmacznym, niech postarają się o urządzenie naprzód sanitarnej komisji, a po wtóre - specjalnej sanitarnej policji. Ta bowiem policja, jaka jest, nie zapobiegnie temu, ażeby cukiernie, bawarie i restauracje nie wchodziły w oziębające stosunki - z „mykwami”.

W tych dniach właśnie jedna z petersburskich gazet wyliczyła aż 15 kategorii rozmaitych obowiązków ciążących na policji. Nie pamiętam wszystkich punktów, wyliczę jednak te czynności policyjne, na które każdy z nas patrzy.

Oto one:

1. dozór nad bezpieczeństwem majątków i osób;
2. asystencja na widowiskach, balach, pogrzebach, na dworcach dróg żelaznych i w sądach;
3. przestrzeganie przepisów budowlanych;
4. dozór nad kontrabandą;
5. oględziny pośmiertne;
6. prowadzenie statystyki ruchu ludności, przemysłu i handlu;
7. roznoszenie poleceń wszelkich władz;
8. egzekwowanie skarbowych należności;
9. poświadczanie różnych dokumentów i wydawanie paszportów;
10. dozór nad psami, które nie opłaciły podatku;
11. dozór nad lokatorami 4000 domów w Warszawie;
12. dozór sanitarny nad artykułami spożywczymi itd., itd... Proszę mi znaleźć głowę, w której pomieszczą się wiadomości

z tylu nauk (higienia, chemia, statystyka, architektura itd.), i - ilość par nóg, jakie powinien mieć każdy policjant, ażeby tylko „obleciał” sferę swoich obowiązków?

Nie mam bynajmniej zamiaru opiekować się policją, która jak dotychczas, szczęśliwie obchodziła się bez opieki.

Chcę tylko okazać, że przy obecnej organizacji sprawy sanitarne muszą być zaniedbane.

Dla poprawienia ich trzeba, jak już nadmieniałem, otworzyć oddzielną komisję sanitarną i jej powierzyć dozór nad zdrowiem miasta.

Drobny, ale pożyteczny krok w kwestii publicznego zdrowia stanowić będzie: „Szkoła dozorczyń przy chorych”, o której obszerniejszą wzmiankę napisał dr G. Fritsche w „Gazecie Warszawskiej”.

Nad pytaniem: czy potrzebne są „dozorzynie dla chorych”? rozwodzić się nie myślę. Każdy, kto wie, jaki zamęt w rodzinie wywołuje choroba - kto zna położenie chorego samotnika, błogosławić będzie szkołę dozorczyń.

Takie dozorzynie, nie siostry miłosierdzia, ale amatorki, znane są u nas od dawna.

Sam pamiętam pewną staruszkę, która utrzymywała się z pielęgnowania chorych. I nie tylko pielęgnowała ich jak zakonnica, ale nadto - szyła, gotowała jedzenie i posiadała niewyczerpany zapas dykteryjek.

Jej ukazanie się w pokoju przynosiło choremu ulgę i rozjaśniało twarze smutnej rodzinie.

Ale cóż, kiedy i ten anioł w postaci sześćdziesięcioletniej kobieciny miał jedną wadę. Oto, nie posiadając ani krzty wiedzy fachowej, czuł popęd do - samodzielnego leczenia!... Raz, na przykład, poczciwa babina zadała chorej do wewnątrz (sposobem, którego tu opisywać nie będę) - wywar tytoniu i o mało nie zabiła swej pacjentki, nie licząc tych, którym w ciągu wieloletniej praktyki zapewne niejednokrotnie pomogła do zbawienia.

Wychowanki „szkoły dozorczyń chorych”, przeszedłszy kurs teoretyczny i praktykę pod okiem lekarzy, nigdy chyba nie popełnią tak grubych błędów. Usługi ich okażą się nieocenionymi:

one bowiem w wielu, jeżeli nie we wszystkich wypadkach zastąpią felczerów.

Łatwo zgadnąć, że zarobki ich będą doskonałe, ale - praca ciężka i nie zawsze bezpieczna. Dlatego do „szkoły pielęgnowania chorych” radzimy wstępować tylko kobietom nie mającym bliższych obowiązków i posiadającym ducha poświęcenia.

Pomysł do założenia szkoły podał dr Walther, ustawę obmyślili doktorzy: Szokalski, Kobyłański, Wszebor i Fritsche. Podziękujemy im za pracę zobaczywszy rezultaty.

W zeszłą sobotę odbyła się pierwsza sesja „towarzystwa przyjaciół dzieci”, w celu przedyskutowania i podpisania ustawy. Ustawę układało siedmiu członków, dyskutowało zaś kilkunastu. Skutek był taki, że nad dwoma pierwszymi paragrafami radzono przez trzy godziny i - nie uradzono nic.

Dlaczego?... Boć cele towarzystwa są piękne - użyteczność jego niewątpliwa - członkowie rozprawiający są zdrowi na umyśle i bynajmniej nie mieli zamiaru opóźnić zatwierdzenia ustawy.

Cóż więc paraliżowało narady? Jaki gwóźdź tak mocno przykuł uwagę wszystkich, że zamiast iść naprzód, kręcili się w kółko?...

W ustawie jest parę ważnych błędów.

Przede wszystkim widać, że w łonie samej delegacji wytworzyło się kilka idei o celach „towarzystwa przyjaciół dzieci”.

Jedni - chcieli być przyjaciółmi dzieci już odchowanych, umiejących mówić, chodzić, zaczynających pracować, a potrzebujących: nauki, pomocy i opieki.

Drugim - leżały na sercu niemowlęta opuszczone przez rodziców.

Trzeci - poszli krok dalej i zapragnęli opiekować się - nie tylko niemowlętami, ale jeszcze ich matkami, osobliwie tymi, które nie mają legalnych mężów.

Każda z trzech idei ciągnęła w swoją stronę członków delegacji, którzy w końcu dla miłej zgody porobili sobie ustępstwa i - założyli kamień węgielny pod towarzystwo, nie: przyjaciół dzieci - nie: przyjaciół niemowląt, ale „przyjaciół domu”.

Towarzystwo nie tylko chce czuwać nad ubogimi uczniami, nad wyzyskiwanymi terminatorami, nad dziećmi pozbawionymi opieki i kierunku, ale jeszcze:

Chce nieść pomoc ubogim rodzicom (§ 2 lit. g).

Chce rozciągnąć sanitarną opiekę nad dziećmi i matkami (§ 2 lit. k).

Chce „udzielać pomoc ubogim kobietom brzemiennym” (lit. b) i - „popierać karmienie dzieci przez same matki”.

Słowem - towarzystwo chce osiągnąć cele pedagogiczne, opiekuńcze, karmicielskie i akuszeryjne.

Sądzymy, że tylu zadaniom ledwie mogłyby podołać trzy towarzystwa: „przyjaciół dzieci” - „przyjaciół niemowląt” - i - „przyjaciół niezamężnych matek”. Gdyby zaś jedno podzieliło się na trzy sekcje, to już projekta i działania tych sekcji musiałyby się nawzajem paraliżować.

Tyle co do założeń ustawy. W formie bowiem, czyli sposobie wypowiedzenia ich, znajdują się dziwne rzeczy.

I tak § 1 opiewa: „Zadaniem towarzystwa jest przyczyniać się do prawidłowego rozwoju młodych pokoleń”!...

Dość - tu jest wszystko: i karmienie dzieci przez matki, i dozór sanitarny, i opieka nad terminatorami, i - nawet pomoc dla ubogich matek.

Ale ustawie nie wystarcza to, dodaje bowiem: - tudzież „obudzać poczucie obowiązków macierzyństwa” itd.

Ten dodatek jest arcydziełem. Zgodnie z nim można by było napisać § 1:

„Zadaniem towarzystwa jest przyczyniać się do prawidłowego rozwoju młodych pokoleń”

tudzież:

„zachęcać matki do mycia, czesania, odziewania i żywienia dzieci”.

Jest więc w § 1 rażący błąd: powtarzania tego w drugiej połowie, co już mieści w sobie pierwsza.

A jednak - czyby kto uwierzył! ta druga część, to „obudzanie poczucia obowiązków macierzyńskich”, wywołała trzygodzinną dyskusję - i - autorowie ustawy w żaden sposób nie dali się przekonać. Owszem, jeden z nich gniewa się na upór dyskutujących i żąda, aby: tę wyborną ustawę - „której niecierpliwie oczekuje społeczeństwo”, jak najspieszniej wysłać do zatwierdzenia.

Ja bym sądził, że byłoby lepiej: jeszcze raz przedyskutować i zmienić ów § 1. W przeciwnym bowiem razie ustawa może ulec humorystycznym komentarzom.

Na dowodzenie tego weźmy przykład.

Jest wieczór. W salonie państwa X zebrali się goście. Wtem - ktoś dzwoni i za chwilę ukazuje się we drzwiach - młody, tego zbudowany człowiek.

- Jestem Y, „członek czynny” (§ 3) Towarzystwa Przyjaciół Dzieci - rekomenduje się tego zbudowany.

- Bardzo mi przyjemnie! - odpowiada siwy p. X. - Ja właśnie jestem „członkiem honorowym”.

- Uważam to - mówi „członek czynny”, a następnie zwraca się do dam:

- Czy która z pań nie znajduje się w stanie... ponieważ skłaniałbym ją do „karmienia dzieci przez nią samą” (§ 2 lit. c).

- Ależ, panie! - przerywa stary X - jak możesz pleść podobne brednie w obecności trzech pańien, moich córek?...

- A więc tu są panny? - mówi „członek czynny”. - W takim razie pozwolisz pan, że zajmę się „obudzaniem” w pańskich córkach - „poczucia obowiązków macierzyńskich” (§ 1).

Obecni chcą wyrzucić za drzwi „członka czynnego”, ale ten - wydobywa: „szczególny znak, którego okazanie legitymuje go do działań”, a nawet - do „żądania pomocy właściwej władzy” (§ 22).

Rozumie się, że p. X, jako „członek honorowy” Towarzystwa, nie czeka już na interwencję policji, ale na sam widok „znaku szczególnego” - kapituluje.

Jak widzimy, przy zachowaniu drugiej części § 1 „członkowie czynni” będą mieli rozległe obowiązki i dużo zajęcia. Na szczęście: „komitetowi służy prawo zwolnienia członka czynnego od składek pieniężnych” (§ 5 uwaga 1). I słusznie. Od czegoż bowiem są „członkowie honorowi”, którzy pomimo najszczerzej chęci nie potrafią chyba „obudzać poczucia obowiązków macierzyńskich i przychodzić mu z pomocą” (§ 1 część druga).

Zdaje się, że to rzeczy jasne. Zresztą ustawa jest dobrze napisana.

Czy to wpływ wiosny, czy innych czynników, nie wiem. W każdym razie jest trochę weselej na świecie. Serca są mniej ściśnione, głowy zaczynają myśleć i nie tak zgnębionymi wydają się ludzie, choć zresztą nic się nie zmieniło.

To jest - przepraszam, zmienił się „Dziennik warszawski” w taki sposób, że aż mam ochotę, w celu zawiązania dobrych stosunków sąsiedzkich, opowiedzieć mu - jego własną historię.

Było to w epoce, kiedy „Dziennik warszawski” nazywał się „Dziennikiem Warszawskim” i w tutejszokrajowym języku sypał artykuły, wobec których kwiateczkami wydają się dzisiejsze debiuty p. Katkowa.

Otóż w owej epoce jeden z moich przyjaciół zapadł na dziwną chorobę. Nikła w nim wątroba!...

Na próżno leczył się u zagranicznych lekarzy, pił mineralne wody, zwoływał konsylia, odprawiał egzorcyzmy. Wątroba zmniejszała się co tydzień: była jak pomarańcza, jak cytryna, jak orzech...

Kiedy nareszcie wątroba mego przyjaciela stała się tak drobną jak ziarnko grochu, jeden ze sławnych tutejszych lekarzy rzekł do niego:

- Wiesz pan co! Zrób testament i wypowiedz się, a potem - użyjemy energicznego środka. Albo padniesz trupem, albo - odrośnie ci wątroba...

- Cóż mam robić? - zapytał mój przyjaciel, zielony jak majowa trawka.

- Czytaj sobie co dzień - „Dziennik Warszawski”.

Mój przyjaciel zrobił, jak kazano. Napisał testament, przyjął oleje święte, pożegnał się z rodziną.

Podano mu „Dziennik” i - o cud!... Mój łagodny przyjaciel po przeczytaniu jednej szpalty pokłócił się z żoną i zbił wazon.

W tydzień miał wątrobę już taką jak orzech turecki, a w pół roku - jak orzech włoski.

Od tej pory, zawsze o jednej godzinie, czytywał „Dziennik Warszawski”. Oczy zachodziły mu krwią, tłukł fajki i syczał:

- Ach!... drugiego takiego pisma chyba nie ma na świecie!...

- Zaczekaj pan! - mitygowałem go.
- Ależ to śmiertelny wróg...
- Zaczekaj pan...
- Żaden niemiecki dziennik nie napisałby nic podobnego...
- Zaczekaj pan! - mówiłem.

Później, gdy wątroba mego przyjaciela dosięgnęła wielkości pomarańczy, „Dziennik” stał się „Dniewnikiem”, nic zresztą nie tracąc ze swoich kuracyjnych własności.

Co on tam wypisywał - nie wiem, a mój przyjaciel rozumiał także niewiele.

Tymczasem trwały dalej złe czasy. Mój przyjaciel stracił sumy ulokowane na majątkach ziemskich, zbankrutował na gorzelni, wlaźł w żydowskie długi, ale czytywał „Dniewnik” i - wciąż pytał:

- Co to może znaczyć?
- Zaczekaj pan!...

Wkrótce mój przyjaciel oddał synów do szkół. Jednego nie przyjęli z powodu braku miejsca - drugiemu nie dali promocji za zły akcent. Na domiar nieszczęść jakiś Niemiec wysadził go z fabryki, gdzie był dyrektorem, a jego brat, sędzia, stracił urząd i - sprowadził się do jego domu.

Pewnego dnia spotkałem mego przyjaciela na wyjeźdźnym za granicę.

- Wiesz pan co - mówił - tak mi się przy „Dniewniku” rozbijała wątroba, że już przeszła zwykłą miarę. Jadę do wód, ale...

Dziwna rzecz! od tej pory memu przyjacielowi rosła i rosła wątroba, i dosięgnęła niesłychanych rozmiarów. Leczył się, jeździł do wód - nic

nie pomogło. Aż nareszcie ten sam co dawniej lekarz rzekł mu (będzie temu ze dwa tygodnie):

- Wiesz co? znalazłem dla ciebie lekarstwo. Czytaj „Dniownik warszawski”!...

- Na diabła! - krzyknął - a toż on mnie całego zamieni w wątrobę.

- Czytaj! - odparł lekarz.

I otóż mój przyjaciel zaczął znowu czytywać „Dniownik”, a po kilku dniach zapytał mnie:

- Mój kochany, co to znaczy: prymirenje?... Czym on nas chce przemierzyć?...

- Zaczekaj pan! - odpowiedziałem.

Znowu w kilka dni, spotkawszy się ze mną, zawołał:

- Wiesz, to niezłe pismo ten „Dniownik”. Mówi Katkowowi, ażeby nie siał nienawiści - mówi Niemcom, że już nie będą wydzierali nam chleba, i radzi nauczycielom, ażeby nie prześladowali dzieci za akcent... Wyborne pismo!...

- Zaczekaj pan! - odparłem. - A jakże z wątróbką?

- Wiesz - rzekł - mniejsza... Porządne pismo „Dniownik”. Ale co może znaczyć to - prymirenje?

- Zaczekaj pan!...

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 79

Kronika tygodniowa - Kurier Warszawski, rok 1881, nr 79, dnia 9 kwietnia

Rozmyślania Wielkotygodniowe o braku „miejsc”... i braku mieszkań dla stróżów. - Skargi oficjalistów pewnej drogi żelaznej. - Wizyta korespondenta P. O. Blagueur u lorda Beaconsfielda. - Zawsze jedno.

Nadchodzi Wielki Tydzień, w którym najzatwardziały grzesznik okazuje chęć poprawy i wyrzeczenia się wszystkich błędów nie przynoszących procentu.

Aby więc kandydatom do nawrócenia ułatwić wstęp na drogę pokuty, rozpatrzę pewną liczbę krzywd popełnionych w ostatnich czasach i skarg, jakie na moje ręce przysłali rozmaici czytelnicy „Kuriera”.

Pierwsze miejsce należy się małuczkim.

„W ciągu ostatnich lat wybudowano setki domów - mówi jeden oskarżyciel. - Dziwna przecie rzecz, że w większej liczbie tych budowli brakuje:

1. miejsc... (nie mogę napisać, jakich);
2. mieszkań dla stróżów.”

Istotnie, co do owych „miejsc”... bez nazwiska, panuje taki system, jak gdyby Warszawy nie zamieszkiwali zwykli śmiertelnicy, ale - aniołowie i cherubiny. Znamy kamienice, w których są marmurowe schody, kolumny, posągi, weneckie okna i malowidła na ścianach. Ale „miejsc”... nie ma wcale!

Widocznie każdy gospodarz życzy sobie, ażeby jego lokatorowie składali wizyty sąsiadowi. Sąsiad robi, co może, aby „nieoczekiwani” goście, przekonawszy się o braku „miejsc”... u niego, poszli parę kroków dalej. O parę kroków dalej znowu powtarza się to samo...

Gościowi nie pozostaje nic innego, jak tylko zrobić - uliczny skandal. Lecz na ulicy stoi rewirowy... Nieszczęśliwy interesant biegnie dalej... Znajduje wreszcie ulicę zaciszną, ścianę bez okien...

Już zdecydował się... Wtem podnosi głowę i widzi tablicę z napisem:

„Zabrania się... pod karą policyjną...”

Taką jest Warszawa. Słyszę krzyki oburzenia:

- Ten Prus wypisuje same głupstwa!...

Nie chcecie, ażebym wypisywał głupstwa?... Zgoda! Ja także pasjami lubię ptaszki, kwiatki i inne ładne rzeczy. Ale w takim razie któż wam przypomni, że Warszawa nie ma „miejsc”?... Nasi historycy piszą o wypadkach minionych, krytycy o sztukach pięknych, poeci o sercach. No - a o „miejscach”... kto napisze?

Jesteśmy ogromnie wybredni w doborze wyrazów; każdy przedmiot radzi byśmy uperfumować i ubrać w glansowane rękawiczki, rezultaty zaś naszej pruderii są takie:

Pytałem jednego gospodarza domu, dlaczego nie kazał budować „miejsc”?...

- Jakże ja mogę - odparł zgorszony - budować to, o czym nie tylko nie wolno pisać, ale nawet mówić!...

Otóż, panowie gospodarze! pierwsze lody już złamane. Ja napisałem o „miejscach”... a wy - budujcie je!...

Nad brakiem mieszkań dla stróżów nie będę się rozwodził. Stróże, skazani na to, ażeby w dzień zgarniali błoto z ulic, a w nocy pilnowali

publicznego bezpieczeństwa, stróże - nie potrzebują mieszkań. Takie jest przynajmniej zdanie gospodarzy.

Dziwi mnie jednak, że podobnie radykalne opinie dzieli policja, która mogłaby przecie dopilnować tego, ażeby w nowobudujących się domach urządzano lokale dla tej najnieszczęśliwszej klasy ludzi, jaką są stróże.

No - mogłaby także policja nakazać i urządzenie „miejsc”... Ale nie atakujmy wstydlivosti tej dziewicy, bo nam gotowa wytoczyć proces o alimenty...

Na twym łonie, o! luba, chcę tylko... śnić,
Z ust różanych niebiański nektar pić!...
Niebiański!... niebiański!... pić!... pić!... pić!...

Druga skarga pochodzi od oficjalistów pewnej drogi żelaznej, a skierowana jest przeciw naczelnikom wydziałowym.

W długim liście, którego nie przytaczam, znajdują się zażalenia „na nieregularną wypłatę pensyj, nieregularne wydawanie zimowej odzieży, redukcja diet z 75 kop. do najniższych rozmiarów, uchybianie na każdym kroku” itd.

Szczególny kładą nacisk na „wytrącanie za uszkodzenia”. Cokolwiek zepsuje się w wagonie: szyba, siedzenie, firanki, klamki - za wszystko to płacą oficjaliści, tak jak pasażerowie; np. 2 rs 70 kop. za szybę wagonową, 75 kop. za latarkową, choć dyrekcję nie kosztują tyle podobne przedmioty. Po cóż więc kolej ma zarabiać na tych, którzy jej służą i dla niej pracują? Zresztą - każda rzecz niszczyć się musi, czy więc godzi się odnawiać tabor kosztem ludzi ubogich?...

Dalej, mocno skarżą się oficjaliści na - szorstkość naczelników wydziałowych: „Gdy jeden ze służby użalał się przed swoim naczelnikiem, dlaczego zredukowano mu diety?”... - otrzymał odpowiedź:

- Robimy oszczędności!...

- Ale ja panie, mam dzieci, dla których także rad bym coś oszczędzić, na edukację...

- Nie potrzebujesz pan kształcić dzieci - odpowiedział naczelnik. - Niech nauczą się czytać i pisać, to wystarczy dla przyszłego oficjalisty!...

List kończy się zdaniem:

„Wiemy, że pan prezes i pan dyrektor są sprawiedliwi i pewnie przyczynią się do tego, ażeby nasze życzenia zostały uwzględnione.”

Wyjątki te ogłaszamy bez komentarzy, dodając ze swej strony, że odwołanie się do „uczucia sprawiedliwości” jest rzeczą szlachetną, praktyczniejszą od niesnasek lub pogrózek. Cieszymy się, że nasi pracownicy, zgodnie ze swoim polskim charakterem, wypowiadają pretensje w sposób jawny, nie myśląc o pokątnych praktykach, które by przyniosły szkodę im i całemu społeczeństwu.

Jest to najlepsza odpowiedź na denuncjacje pism niemieckich, które wskazują na nasz kraj jako na tajemne źródło wszelkich niepokojów.

A teraz:

TELEGRAM WŁASNY „KURIERA WARSZAWSKIEGO”

pt.

Rozmowa z Beaconsfieldem

Czytelnicy niewątpliwie pamiętają ogłoszoną w nrze 76 „Kuriera Warszawskiego” rozmowę ks. Bismarcka z deputowanym Belonem o Polakach.

W pogawędce tej, na samą wzmiankę o „Polakach”, wielki niemiecki kanclerz „robi się poważnym”. Każe Belonowi „czytać wczorajszą «Norddeutscherkę», która trafia w samo sedno”, twierdzi, że słynny wróg Polaków, deputowany Hundt - „ma dobry węch” (jeszcze by też p. Hundt nie miał węchu!...), a potem - opowiada ciekawe rzeczy.

„Polacy (według genialnego kanclerza) mają talent do konspiracji” - „Berezowskich jest tam całe mnóstwo”... itd. Kończy zaś swoją rzecz zdaniem:

„Najchętniej wpakowałbym wszystkich do karnej kompanii, ale sądzę, że nawet i tam...” itd.

Nie wiemy, czy książę Bismarck opowiadał te awantury jako 67-letni starzec, czy jako genialny dyplomata. Oba przypuszczenia są równie dobre, ponieważ ani zużyci starcy, ani geniusze nie pilnują się zasad zwykłej loiki. W każdym razie, nieobojętną dla naszych czytelników będzie inna rozmowa, którą o przyczynie dzisiejszych konspiracji przeprowadził francuski dziennikarz p. Oskar de Blagueur z b. angielskim ministrem Beaconsfieldem.

P. Blagueur jest korespondentem „Figara” i tak opisuje swoją wizytę:

Były pierwszy minister Wielkiej Brytanii od chwili zwycięstwa partii liberalnej stanowczo cofnął się do prywatnego życia. Bardzo rzadko widywano go w parlamencie, ponieważ całe dni przepędzał na giełdzie; siedząc zaś w domu, uprzyjemniał sobie samotność - pożyczaniem pieniędzy na fanty.

Nawet źródłem jego ostatniej choroby nie są bynajmniej polityczne kłopoty Anglii, lecz - rozporządzenie lorda-majora, który wezwał wszystkich lichwiarzy, aby do dnia 1 (13) lipca rb. zwrócili rzeczy wzięte w zastaw. Szlachetny lord w rozporządzeniu tym poznał rękę swego wroga Gladstona i zapadł - na kurcze żołądka.

Kiedym wszedł do mieszkania byłego dostojnika, szlachetny lord właśnie zażywał rumberbarowe krople. Musiałem zatrzymać się w

salonie i oglądać portrety przodków. Ród Disraelich pochodzi z północno-wschodniej Europy, gdzie starsza gałąź używała tytułu: Marquis de Potzeyowo, młodsza zaś: Comte d'Oulytza Volova.

W chwili, kiedym podziwiał rycerskie fizjonomie przodków lorda, ich aksamitne czapki lamowane futrem, ich długie brody i piękne loki spadające z obu stron twarzy - weszła stara gospodyni ministra. Szepnęła mi do ucha, ażebym nie wspominał o Gladstonie, i wprowadziła mnie do gabinetu.

Na fotelu, ozdobionym herbem Beaconsfield, siedział dostojny chory przewiązując sobie brzuch flanelowym pasem, na którym jaśniał także herb, wyhaftowany rączkami najpiękniejszych miss angielskich.

Na głowie szlachetny lord miał nocną czapkę w formie lordowskiej mitry. W głębi pokoju stało łóżko opatrzone herbem Beaconsfielda i tylko jakaś szafka miała w płaskorzeźbie herb Gladstona.

Ponieważ publiczność interesuje się wszystkim, co dotyczy wielkich mężów, muszę więc dodać, że w tej chwili jego ekscelencja cierpiał (passez le mot), cierpiał na - lekkie odbijanie się, wydając przy tym dźwięk:

- U!... Gladston!....

Złożyłem niski ukłon jego lordowskiej mości i bez żadnych wstępów spytałem, co sądzi o dzisiejszych konspiracjach - i - czy to prawda, że twórcami ich są - Polacy?...

- Jacy Polacy? - spytał lord podnosząc na mnie zamglone oczy.

- No... Polacy... to jest jakieś plemię czy... religijna sekta tego nazwiska! - odparłem zakłopotany, nie mogąc sobie przypomnieć: czym właściwie trudnią się Polacy?

- Nie ma żadnych Polaków na świecie! - odparł lord pocierając ręką dolną część piersi. I nagle mruknął:

- U!... Gladston!...

- Ależ - rzekłem - książe Bismarck mówi tylko o Polakach i jego gazety...

- A ja panu mówię - krzyknął lord - że: nie ma żadnych Polaków na świecie!... Kiedyś podobno byli, mamy nawet w Brytyjskim Muzeum paru wypchanych Polaków, ale dziś ich nie ma!

Niemcy - dodał - są narodem erudytów, a przecież ich gazety od kilkunastu lat nic więcej nie robią, tylko zbijają przesąd o istnieniu Polaków. Polacy, mój panie, to - wąż morski, to - Atlantyda, to - kraj podbiegunowy, ale nie jakaś rzeczywistość!...

Zarumieniłem się po uszy. Nasza kochana Francja nigdy nie nauczy się geografii... U nas wiele osób wciąż wierzy w istnienie Polaków!

- Więc któż - zapytałem - według zdania waszej ekscelencji może być uważany za autora dzisiejszych konspiracji?

Szlachetny lord znowu potarł się dłonią, mruknął: - U!... Gladston!... - i zaczął mówić. Natychmiast wydobyłem ołówek i notatkę i dosłownie zapisałem wszystko.

- Klasyczną ziemią rewolucji, spisków, królobójstw i socjalizmu są - Niemcy...

Usłyszawszy to - osłupiałem; ołówek wypadł mi z ręki. Beaconsfield spostrzegł moje zdziwienie i - rzekł:

- Tak!... tak!... Monsieur Blagueur!. Niemcy są ojczyzną knowań, tego dowodzi cała ich historia.

Już za rzymskich czasów Germanowie byli buntownikami: przypomnij pan sobie Las Teutoborski i Arminiusza, czyli Hermana, któremu dzisiejsi Niemcy wystawili posąg.

A dalej - przypomnij pan sobie ciągle bunty niemieckich panów przeciw władzy cesarskiej. Przypomnij sobie wojnę chłopską... Powiedz wreszcie, czym była reformacja Lutera, jeżeli nie buntem podrzędnego mnicha przeciw Głowie Kościoła?...

Przed kilkoma laty w jednych tylko Niemczech, za wiedzą rządu, wykładano po uniwersytetach zasady socjalizmu. Tylko tam znajduje się kilka milionów socjalistów i tam istnieją specjalne prawa przeciw socjalistom.

Ale skończmy z socjalizmem i przejdźmy do królobójstwa.

Czytałś pan nr 66 „Kuriera Warszawskiego”?... Ten trafił w sedno!...

Bo policz pan, ile było politycznych zabójstw w Niemczech, tylko - w wieku bieżącym?

W roku 1809 Niemiec Staps robi zamach na Napoleona I. Później Jerzy Sand zabija Kotzebuego. W r. 1844 urzędnik, burmistrz Tschsch, robi zamach na Fryderyka Wilhelma IV. W latach 1848 i 1849 zamachy w Minden i Nieder-Ingelheim na dzisiejszego cesarza Wilhelma. W roku 1850 Sefeloge w Wetzlar chce zabić króla Fryderyka Wilhelma. W roku 1861 Becker strzela dwa razy do obecnego cesarza Wilhelma. W r. 1874 Kulman robi zamach na ks. Bismarcka, a w roku 1878 widzimy zamachy Hoedla i Nobilinga na cesarza Wilhelma.

Panie Blagueur! - mówił dalej szlachetny lord. - Narodowy poeta Schiller lepiej niż my obaj znał niemieckiego ducha, a - czytaj pan jego Zbójców. Kim jest Karol Moor?... Oto młodym niemieckim burszem, który chce nagradzać dobrych, karać śmiercią złych, zabierać majątki bogatym i oddawać je ubogim.

W rezultacie, jeżeli Chrystusem socjalizmu jest Lassalle, to Schiller jest jego Janem Chrzcicielem, a książę Bismarck apostołem Pawłem!... Znasz pan przecie jego prawo o emeryturze dla robotników?

Tak! tak! panie Blagueur!... U!... Gladston!...

- W takim razie - spytałem - dlaczego księżę Bismarck nie tylko sam nie przyznaje się do socjalizmu, ale jeszcze jego autorami mianuje innych?...

- A bo, widzisz pan, on jest człowiekiem dziwnej skromności: nie chce się sam chwalić, ale czeka na to, ażeby go pochwaliły jego dzieła.

- Czy nie sądzisz, ekscelencjo - rzekłem - że za takie rzeczy warto by wpakować Niemców do „karnej kompanii”?...

- Daj im pan spokój, biedakom! - odparł Jego Dostojność. - Oni już i dziś, dzięki systemowi swego kanclerza, siedzą w „karnej kompanii”, a mimo to ulegają coraz nowym poprawczym środkom...

To powiedziawszy, Jego Lordowska Mość wstał z fotelu i począł niespokojnie przechadzać się po gabinecie. Wtedy na aksamitnym szlafroku znowu zobaczyłem haftowany złotem herb. Ale ponieważ Jego Łaskawość coraz częściej wspominał Gladstona, więc wyszedłem...

Tyle napisał pan Blagueur w nadzwyczajnym numerze „Figara”, który tak rozkupiono w Paryżu, że ani jeden egzemplarz nie mógł dostać się za granicę.

Czy po tej rozmowie księżę Bismarck i „Norddeutscherka” zechcą dalej rzucać na nas oskarżenia i na nasze biedne głowy wzywać represji?...

Zobaczymy!

Chciałem jeszcze coś powiedzieć d propos Wielkiego Tygodnia, ale - wolę powiedzieć o czym innym.

Pewnego dnia do naszej szanownej kasjerki ubogich przyszedł człowiek tak mizerny, jak gdyby powstał z ciężkiej choroby. Powiedział tylko tyle:

- Jeżeli mi pani nie pomoże, to zabiję się...

Ponieważ do tej damy co dzień przychodzi parę osób mających zamiar odebrać sobie życie, więc do słów wychudłego człowieka nie przywiązywała zbyt wielkiej wagi. Uderzył ją jednak wyraz szczerości, z jakim mówił: że się zabije.

Pojechała zatem na Pragę do mieszkania biedaka i wróciła spłakana. W izbie wilgotnej i nie opalanej (bez żadnej przeniósni) znalazła jego żonę i kilkoro dzieci, wychudłych z głodu jak szkielety.

Wypadek ten może przypomni czytelnikom, że nadchodzi tydzień ofiar i że pod naszą redakcją roi się tłum wielkich nędzarzy.

Jeżeli dziwnym wyda się komu, że pomimo ciągłych składek publiczności wciąż brak nam funduszków, niech nie zapomina, że nędza jest jak Chrystus. Dziś pochowana, jutro zmartwychwstaje - i - tak bez końca!

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 90

Kronika tygodniowa - Kurier Warszawski, rok 1881, nr 90, dnia 23 kwietnia

Wielka walka stronnictw w Lubartowie. - Hajże na „Dardanelskich Śmiertelników"! - Piękny zapis hr. Baworowskiego i jego dziwne zastrzeżenia. - Wartość pieniężna ludzi wykształconych. - Czy hrabia X zdobył tytuł do sławy. - Kurpie głodują! - Śmierć włościanina z głodu.

Mam pod ręką fakt, którego opis każdy szanujący się dziennikarz zacząłby od słów:

„Prowincja daje znaki życia!...”

Faktem tym jest: walka stronnictw w Lubartowie.

A może państwo nie wiecie - co znaczy Lubartów?... Lubartów jest to miasteczko leżące o trzy mile od Lublina (Lublin - stacja Drogi Żelaznej Nadwiślańskiej), a o wiorstę od Wieprza (Wieprz - rzeka wpadająca do Wisły pod stacją Iwangrodem).

Miasteczko rozkoszne i ciche. Posiada okazały pałac, w którym nikt nie mieszka, obszerną sadzawkę, w której nie ma wody, i - klasztor kapucynów, w którym obecnie mieszczą się biura, powiatu.

Dawniej słynął Lubartów z fabryki naczyń fajansowych, dziś nie słynie z niczego. Ludzie tamtejsi żyją bez wygórowanych ambicji: chwalą Boga w dwu kościołach i jednej bóżnicy, wierzą w sny i - troskliwie dowiadują się o to, co ich bliźni gotowali na obiad.

O sensacyjnych zbrodniach, o filozofii pozytywnej, o kolejach, telefonach i dynamicie nie słychać tam. Postępem nazywa się awans z kancelisty na sekretarza. Ostatnie wiadomości nadchodzą dość

regularnie, przed szabasem. Za przyczynę europejskiej polityki uważa się naprzód - księżę Bismarck, po wtóre - miejscowa poczta.

Dzięki tak lojalnemu nastrojowi ducha tamtejsza municypalność spokojnie śpi i nie choruje na nerwy. Tylko co rano jeden z członków magistratu obowiązany jest wychylić głowę przez lufcik i nie otwierając oczu, badać: czy w ciągu nocy małe Żydki nie zostawiły pod municypalnym oknem śladów nieuszanowania władzy?...

Jeżeli nic nie dostrzeżono, wówczas pisze się raport, że: „w mieście panuje porządek”.

I tak dzieje się od niepamiętnych czasów. Magistrat wciąż wygląda oknem, powiat wciąż pisze raporty, z pałacu wciąż sypią się gruzy, sadzawka wciąż wysycha...

Tylko gałązka litewskiego chmielu,
Wdziękami pruskiej topoli nęcona,
Pnie się po wierzbach i po wodnym ziele...

Pomimo to:

...O Niemnie! wkrótce runą do twych brodów
Śmierć i pożogę niosące szeregi...

Jakoż i w Lubartowie zakipiała walka, a Bogu ducha winni obywatele, którzy dotychczas mianowali się zbiorowo - lubartowianami, obecnie dzielą się na dwa wrogie obozy: lubartowskich postępowców - i - lubartowskich konserwatystów.

Przyczyny tej walki i jej przebieg są następne. Od stworzenia świata jedynymi kupcami w Lubartowie byli Żydzi. Tymczasem w roku

zeszłym sprowadzili się z Lublina dwaj chrześcijanie: eks-urzędnik i eks-wychowaniec warszawskiej szkoły handlowej - i - wspólnymi siłami założyli handel towarów kolonialnych, czyli po lubartowsku: „sklep z korzeniami”.

Ponieważ towary mieli dobre, wagę rzetelną, ceny niskie, więc prędko zyskali popularność jako kupcy. Ale jako ludzie wyjęci byli spod praw towarzyskich. Skutkiem* tego nie tylko nie zostali zaproszeni na zabawę, wydaną w minionym karnawale na cel dobroczynny, lecz nadto, gdy sami zgłosili się po kupno biletów - „kilku miejscowych indywiduów, fałszywie pojmujących godność: człowieka”, odpowiedzieli im, że „mogą być na balu, ale - w bufecie, jako kupcy”. Korespondent z Lubartowa, opisując ten opłakany wypadek, nazywa młodych kupców: „ludźmi pojmującymi dobrze potrzeby swego kraju”, którzy „wyrzekłszy się przyjemności gubernialnego miasta, osiedli na partykularzu”. Owych zaś „kilku miejscowych indywiduów, fałszywie pojmujących godność człowieka”, mianuje „pyszałkami, składającymi się z fusów społecznych”, i „dardanelskimi śmiertelnikami”. Ten ostatni tytuł wydaje mi się najznakomitszym lubartowskim wynalazkiem.

Smutną stroną zajścia jest to, że młodzi kupcy - „ludzie pojmujący dobrze potrzeby swego kraju”, chcą wynieść się z Lubartowa i po dawnemu zostawić cały handel w ręku Żydków. Lecz awantura ma i dobrą stronę: dzięki jej Lubartów „dał znak życia”, a my dowiedzieliśmy się, że posiada w swym łonie aż trzech postępców: dwu kupców i jednego korespondenta.

Naszym zdaniem, dwaj młodzi kupcy nie powinni rzucać Lubartowa, lecz przeciwnie: jeszcze wyżej podnieść sztandar postępu i dobrego pojmowania krajowych potrzeb. Tak samo radzi im korespondent wołając:

„Publiczność miasteczka prosi was, abyście nie zważając na pyszałków, składających się z fusów społeczeństwa, prowadzili dalej swój szlachetny, a tak obecnie w naszym kraju pożądany zawód...” (tj. sklep korzenny).

„Bądźcie pewni, że dobrej sprawie, pomimo wpływu na nią kilku... dardanelskich śmiertelników, Bóg pobłogosławi.”

Ostatnie słowa korespondenta brzmią jak końcówka wojennego manifestu.

Miejmy więc nadzieję, że z chwilą rozpoczęcia się zabaw Lubartów da nam jeszcze kilka „znaków życia” i że partia postępową nieraz zaleje sadła za skórę - „dardanelskim śmiertelnikom”.

W Galicji hr. Baworowski zapisał dwa miliony reńskich na cele publicznej użyteczności, stawiając przecie warunek, że: fundusz ma być oddany do banku na procent i nie pierwszej użyty, aż osiągnie cyfry dwudziestu milionów reńskich.

Istnieje przysłowie: „Darowanemu koniowi nie zagłądaj w zęby.” Donosząc jednak z należytą czcią o ofercie hr. Baworowskiego, nie możemy powstrzymać się od wzmianki, że istnieje drugie przysłowie: „Podwójnie daje, kto prędko daje.”

Właśnie na temat tego drugiego przysłowia wypiszemy kilka uwag, w nadziei, że może dojdą one do wiadomości znakomitego obywatela, a w najgorszym razie - zniechęcą innych ofiarodawców do stawiania podobnych warunków.

Rzecz prosta, że 20 milionów znaczy więcej niż 2 miliony. Ale i to pewna, że 2 miliony użyć można natychmiast, a na 20 milionów trzeba czekać około 40 lat.

Pomimo to hr. Baworowski każe społeczeństwu czekać lat 40, wychodząc zapewne z tej zasady, że: procent przyłączany do kapitału zwiększy jego ofiarę, podczas gdy procent od 2 milionów, zużywany co roku, zginie dla społeczeństwa.

Jest to dość powszechna, a jednak całkiem mylna opinia.

Wiemy już, że 2 miliony, oddane na składany procent, po upływie 40 lat utworzą 20 milionów reńskich. Zobaczmy jednak, co się stanie,

jeżeli przez 40 lat będziemy co roku obracać procent bieżący na cele natychmiastowe, np. na wychowanie młodzieży.

2 miliony na 6% przyniosą rocznie 120 000 reńskich, z której to sumy można utworzyć 60 stypendiów po 1 000 złr i 30 stypendiów po 2 000 złr.

Młodzieniec, któremu fundusze ledwie pozwalają na zdobycie niższego kształcenia, otrzymawszy 1 000 złr rocznie, może po upływie 4 lat zdobyć edukację średnią. Taki zaś, któremu własne fundusze pozwalają zdobyć średnie kształcenie, może po 4 latach, przy 2 000 złr stypendium, otrzymać edukację wyższą.

Tym sposobem, dzięki funduszowi hr. Baworowskiego, Galicja po upływie 4 lat posiadałaby 60 ludzi z kształceniem średnim i 30 ludzi z kształceniem wyższym. Po upływie zaś 40 lat przybyłoby Galicji 300 ludzi wyżej ukształconych i 600 średnio ukształconych.

Przyjmując, że pewna część tych ludzi zmarnowałaby się, to jeszcze liczyć można 260 z wykształceniem wyższym i 540 z wykształceniem średnim.

W lutym i marcu rb. p. Bolesław Danielewicz drukował w "Ekonomiście" prześliczną rozprawę pt. Wartość pieniężna człowieka. Otóż z rozprawy tej widać:

1. Że człowiek średnio wykształcony jest więcej wart (biorąc rzecz ekonomicznie) od człowieka z kształceniem elementarnym o jakie 20 000 franków.

2. Że człowiek wyżej ukształcony, znowu ekonomicznie, jest więcej wart od człowieka średnio ukształconego o - 33 000 franków.

Na mocy tych cyfr postawić można wnioski:

1. Że 540 ludzi, którzy funduszowi hr. Baworowskiego zawdzięczają kształcenie średnie, podnieśliby pieniężną wartość ludności galicyjskiej o 10 800 000 franków.

2. Że 260 ludzi z ukształceniem wyższym podnieśliby wartość ludności galicyjskiej o 8 580 000 franków.

Razem - dzięki 2 milionom reńskich - Galicja w ciągu 40 lat zyskałaby co najmniej 19 380 000 franków, czyli przeszło 8 milionów reńskich.

Ale to nie wszystko. Ponieważ spośród owych 800 stypendystów może wypłynąć kilku ludzi wyższego talentu, kilku bogaczy, kilku takich, którzy znowu własnymi zapisami powiększą kapitały publicznej użyteczności. Te rzeczy więcej są warte aniżeli 20 milionów po 40 latach, tym bardziej w kraju, który od dawna usycha z powodu braku ludzi.

Jeden z naszych dzienników, skądinąd nie hołdujący arystokratycznym dążnościom, popełnił dość oryginalny artykuł. Zawiadamia on wszech wobec i każdego z osobna, że: hrabia X należy do „naszych obecnych”, że: „oznajmia ogółowi rezultaty swego trudu”, że: „ze względów zasadniczo narodowych daje ogółowi jeszcze donioślejsze wskazówki” itd.

Wobec tego czytelnik musi zapytać się: co zrobił hrabia X dla zdobycia tytułu pochwał, wypowiedzianych aż w formie wstępnego artykułu.

Oto - doniósł nam, że gminy mają prawo wybierać pełnomocników i że p. gubernator warszawski nakazał, ażeby w obrębie gminnego samorządu pisywano wszelkie akta po polsku.

Jakkolwiek ta druga wiadomość jest dla nas i nową, i pocieszającą, jednakże nie stanowi chyba tytułu do apoteozowania „rezultatu trudów” hr. X. Przecież o pełnomocnikach gminnych,

o nadzorze gminnym, a nawet o ukazie z roku 1864 dotyczącym szkół pisywano u nas nierównie dawniej. Przypomnę tylko liczne artykuły pp. Jeleńskiego, Glogera, książeczki Promyka i mnóstwo

provincialnych korespondencyj, pomieszczanych w rozmaitych dziennikach.

Wszędzie o tym mówiono, wszędzie „dawano ogółowi doniosłe i donioślejsze wskazówki”, a pomimo to nikt nie poświęcał artykułów wstępnych autorom „wskazówek”.

Jeżeli hr. X „zrobił” coś w tym kierunku, choćby w granicach tylko tej gminy, którą zamieszkuje - jeżeli hr. X „walczył” za literę prawa i w imieniu prawa z ludźmi, którzy dopuszczają się bezprawnych czynów, ha! to ma zasługę i można pisać o nim artykuł. Ale platoniczne „wskazówki”, nawet hrabiego, są zwykłymi dziennikarskimi „trudami”, za które - nie stawia się pomników.

Majątek, tytuł i stosunki tworzą razem to, co nazywa się - wyższym stanowiskiem. Wyższe stanowisko obowiązuje do czynów; same zaś „wskazówki” nie dodają mu blasku. Do tego rodzaju „trudów” nie potrzeba tytułu, ale - loiki, stylu i ortografii.

Pochwały więc wyśpiewywane hrabiom za to, że raczą udzielać „ogółowi doniosłych wskazówek”, czyli - pisywać artykuły, pochwały takie są nie na miejscu. Tak nie na miejscu, jak na przykład - podziwianie literata za to, że zna ortografię albo że pisząc nie plami sobie mankietów.

Nasza arystokracja dobrze czuje, że od niej nie oczekujemy „wskazówek”. Czuje tak dalece, iż hr. Krasiński za to, że udzielił „wskazówkę” o głodzie między Kurpiami, natychmiast złożył na nich po 500. Zaś p. Skarzyński za to, że udzielił „wskazówkę” o wskazówce hr. Krasińskiego, złożył na Kurpiów rs 100.

Takie arystokratyczne „wskazówki” rozumiem. Inne - i ja sam potrafię pisywać...

Głód między Kurpiami jest ciekawym zjawiskiem. Dowodzi on naprzód, że ludność pracowita, oszczędna, moralna, pobożna i patriotyczna, słowem: posiadająca w wysokim stopniu wszystkie obywatelskie zalety, tak mało nas obchodzi, że dopiero wtedy słyhać

o niej, kiedy ją nędza chwyta za gardło. Wówczas dopiero dowiadujemy się, że jacyś Kurpie żyją, a raczej, że umierają; o ich zaś oryginalnych zwyczajach i narzeczu - nie mamy najmniejszego pojęcia.

Dopiero gdy ostatnie ziarno zostanie zjedzone, ostatnia krowa sprzedana i gdy głodna ludność wyruszy ze swych siedzib z krzykiem o miłosierdzie, dopiero wtedy ktoś, przypadkiem, dowiaduje się, że tam a tam jeszcze w roku zeszłym chybiły zbiory!

Kto i kiedy będzie teraz ratował tych ludzi, kto da na zasiewy, kto im wróci dobrobyt i wydrze ze szponów nędzy, a nawet występku?...

Ta straszna obojętność na dolę bliźniego zaczyna się szerzyć po całym kraju. We wsi Sworoń, powiecie sandomierskim, umarł z głodu we własnej chacie włościanin Drożdzel, jego żona i dziecko. W tej samej wsi mieszka trzech zamożnych braci zmarłej, którzy jednak nie dali jej pomocy. Ona zaś sama tak dalece nie rachowała na niczyją pomoc, że włożywszy dwoje starszych dzieci w wystygły piec i zasunawszy drzwi kłodą, z najmłodszym dzieckiem legła na tapczanie i na nim skonała.

Dopiero przejeżdżający Żyd dał znać proboszczowi z innej wsi i ten uratował dwoje owych dzieci, które leżały w piecu.

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 96

Kronika tygodniowa - Kurier Warszawski, rok 1881, nr 96, dnia 30 kwietnia

Kłopoty generała Farre z dziennikarzami i adres pewnego lombardu. - Słóweczko o kasach pożyczkowych dla klas uboższych. - Znowu p. Pindter - Jego „stosunki z żandarmami”, jego „wspomnienia”, deputaci a wysłana do niego itd.

Gdy francuski minister wojny, generał Farre, zużył kilka tygodni na uruchomienie 20 000 ludzi przeciw Tunisiowi, prasa paryska chórem krzyknęła, że Farre jest niedołągą i że wziął się do i nie swoich rzeczy. Wtedy przyjaciele znakomitego ministra rzekli:

- Farre jest stworzony do wielkich spraw; nic zatem dziwnego, że potyka się o drobiazgi!... Czekaście!...

Czekano, czekano... Nareszcie flota, przyjąwszy wojsko na okręty, odpłynęła w kierunku wyspy Tabarki.

Cała Francja wspięła się na palce, oczekując, co z tego wyniknie, aż po kilku dniach ujrzano - wracającą flotę.

- Patrzcie! Farre zdobył Tabarkę i ciągnie ją do nas! - wołano.

Gdzie tam. Tabarka została na swoim miejscu, a flota - wróciła z niczym... także na swoje miejsce.

Prasa znowu w krzyk:

- O, Farre niedołąga!... Jemu robić pończochę, nie dyrygować flotą...

Lecz przyjaciele i tym razem rzekli:

- Już raz powiedzieliśmy, że Farre jest stworzony tylko do wielkich rzeczy... Czekajcie!...

Prawdziwa fatalność, że my, czy kochamy, czy nie kochamy, zawsze musimy naśladować Francuzów. Oni - mają ministrów stworzonych tylko do wielkich rzeczy, a my - takich samych dyplomatów. Ich wojownicy umieją uruchamiać tylko miliony, a nie potrafią uzbroić 20 000 ludzi; nasi dyplomaci potrafią zbawić świat, ale - nie umieją napisać porządnego listu do p. Katkova. Przyjaciele francuskich ministrów, po dwukrotnym ustrzeleniu przez nich bąka, każą czekać - i - przyjaciele naszych dyplomatów także każą nam czekać.

Ja również mówię: czekajcie!... choć nie mogę zataić przed sobą, że z goryczą patrzył na naszą kupiecką flotę wracającą bez Tabarki. Napełniło mnie to nawet tak cierpkim humorem, że skomponowałem pieśń zaczynającą się od słów:

Oj!... Farze! nasz Farze!...
Dzwonić tobie przy farze...

Łańcuch awantur z naszymi dygnitarzami na szczęście urwał się. We Francji dalej posunięto sprawę.

A jak się stało, opowiem:

Przy jednej z drugorzędnych ulic w Paryżu znajduje się lombard, czyli instytucja udzielająca pożyczek na zastawy. Lombard ten posiada około 8 000 zastawników, z których co roku trzecia część zalega w płaceniu rat.

Zdawałoby się, że członkowie paryskiego lombardu dość już mają zajęcia pilnując tego, ażeby dłużnicy regularnie płacili raty, a wierzyciele regularnie odbierali procenta. Tak chce teoria lombardowych operacji; w praktyce zaś stało się inaczej. Członkom

instytucji obmierza ich gospodarska czynność, więc postanowili przejechać się wierzchem na polityce.

Gdy zatem francuska prasa napadła na nieszczęsnego generała Farre, ojcowie lombardu wystąpili z platoniczną obroną i - napisali do generała Farre - adres.

W pierwotnej redakcji brzmiał on tak:

„Świetny ministrze, a nasz ukochany kolego!...

Jakkolwiek prasa surowo krytykuje pierwsze twoje debiuty, ale bądź spokojny. My, członkowie lombardu, w którym jesteś zadłużony, najzupełniej solidaryzujemy się z twoimi czynnościami."

Następnie zmieniono nieco „adres", lecz - pomimo to - Paryż oburzył się.

- Od kiedyż, u diabła - mówiono - członkowie instytucji pożyczkowych zaczynają udawać przedstawicieli narodu - i - mieszać się do strategii?...

Znalazły się jednak głosy, usprawiedliwiające członków lombardu.

- Dajcie im spokój! to dobrzy ludziska, tylko - zmęczyło ich długie siedzenie i dlatego radzi by nieco wyprostować nogi...

- Widzicie - mówili inni - lombard wkrótce wystawi na licytację garderobę Farra i dlatego zawczasu osładza mu pigułkę.

Jeszcze inni twierdzili, że jak w teatrze, gdy tenor „utnie koguta", wrażliwsi odkaszlują - tak w społeczeństwie, gdy kto ustrzeli bardzo grubego bąka, wrażliwsi pośpieszają z kondolencją.

Kto w tej sprawie ma słuszność? - nie wiem. O ile mi jednak wiadomo, generał Farre taką odpowiedź przysłał członkom lombardu:

„Kochani koledzy!

Miły jest memu sercu dowód waszego współczucia. Niczego też więcej nie pragnę, jak tylko: doczekać okazji, która pozwoliłaby mi udzielić wam równej pociechy."

List ten wciągnięto do protokołu posiedzeń z melancholijnym dopiskiem, że: członkowie lombardu - nie życzą sobie odbierać tego rodzaju pociech. Swoją drogą autorowie adresu do generała Farre pielęgnują ciche przekonanie, że są znakomitymi strategami i że ich adres bardzo przyczynił się do zajęcia Tabarki.

Pasjami lubię takich frantów, którzy twierdząc głośno, że kraj nasz znajduje się „w trudnych warunkach”, w głębi serca wciąż wierzą w to, że jesteśmy narodem „wcale poważne i bezpieczne” zajmującym stanowisko.

Ludzi tych łatwo poznać.

Pierwszym ich słowem w zakresie wewnętrznej polityki jest wyraz „bieda!”, po czym następuje szereg faktów takich, jak: głód na Kurpiach, ciemnota, występki itd.

Dopiero w zapale dyskusji, stopniowo - zmienia się ich pogląd i jak bystra rzeka, po kilkunastu zwrotach wpada do morza - bezbrzeżnego optymizmu. Wówczas wywody swoje kończą zwykle tym:

- Tak! tak! panie... jesteśmy znakomitym narodem. Mamy przecie uczonych, inżynierów, malarzy, śpiewaków - słowem - inteligencję!...

Biedacy zapominają o tym, że „nasi” inżynierowie pracują we Włoszech, Francji, nawet w Peru; że „nasi” śpiewacy tułają się między Paryżem i Londynem, a Warszawy nie chcą znać; że „nasi” malarze po największej części malują dla obcych; a „nasi” uczeni marnieją na stanowiskach wcale nie odpowiadających ich zdolnościom.

Co zaś najgorsze, że ta średnio ukształcona część narodu, która zwie się „inteligencją”, jest jakby oderżniętą od mas i na ich byt albo wcale nie wpływa, albo bardzo mało.

Uwagi te przysły mi na myśl przy rozpatrywaniu cyfr Warszawskiej Kasy Oszczędności.

W kasie tej od początku marca liczba uczestników i ilość wkładów zniżyła się. Dlaczego?... Ha! widocznie dlatego, że pewna część ludzi, najoszczędniejszych w Warszawie, musiała wycofać pieniądze. Dlaczego musieli wycofać?... Bo ich przycisnęła bieda.

Dziwna rzecz! posiadamy w mieście z górą 32 000 ludzi uboższych, ale tak przezornych, tak rządnych, tak pocziwych, że nieboracy ci, wspólnymi siłami, ze swoich lichych zarobków uciułali przeszło milion rubli. Milion ten leży w banku i służy na tanie pożyczki dla osób może mniej przezornych i mniej rządnych, a nade wszystko - mniej potrzebujących kredytu. Taki zaś nieborak, który do kasy oszczędności niesie krwawo zapracowany grosz i umieszcza go z niemałym trudem, ten nie ma dla siebie kasy pożyczkowej. Gdy go zaś bieda przycisnie, albo musi wycofywać swój skromny udział, albo - brać pieniądze od lichwiarzy i płacić im szalone procenta.

Może kto powie, że w naszym kraju nie łatwo o zatwierdzenie ustawy kasy pożyczkowej?... Prawda! Lecz mimo to posiadamy Towarzystwo Kredytowe Ziemskie i Miejskie, Kasę Przemysłowców i kilka banków, które służą do udzielania większych kredytów. Dlaczegożby więc nie miało udać się założenie kasy udzielającej kredytów mniejszych, po kilkanaście i kilkadziesiąt rubli?...

Zdaje mi się więc, że powodem braku takiej kasy nie jest - trudność zatwierdzenia jej, ale co innego. Oto ludzie ubożsi nie znają się na prawnych i administracyjnych trudnościach, nie mają zresztą siły do pokonania ich, „inteligencja” zaś nie dba o masy, odkładając troskę o ich byt do lepszych czasów.

Ulubioną u nas śpiewką jest zdanie, że: w tym kraju nie przyjmą się teorie, których fundament stanowi nienawiść mas dla „inteligencji”. Ej!... czy ta wiara nie stoi na glinianych nogach?... Bo miłość opiera się na doznanych usługach, proszę zaś policzyć: jakie to usługi oddaje nasza inteligencja masom?

Skąd więc pretensja do miłości?... Skąd zaślepienie, które nie pozwala nam dojrzeć obojętności?...

Skąd wiara, że wobec fermentu, który ogarnia dziś całą Europę, obojętność nie przerodzi się z czasem w niechęć?...

Bodajby los oszczędził nam gorzkich rozczarowań jeszcze i w tym kierunku. Choć zapewne nie oszczędzi ich, bo mówi stare przysłowie, że: „Dopóty pies nie nauczy się pływać, dopóki mu nie zaciekną wodą uszy.”

Ale skończmy ze smutnymi prorocत्वami.

Pan Pindter, wielce szanowny redaktor „Norddeutscherki”, nie może jakoś wybrnąć z ugotowanej przez siebie „polskiej zupy”, w którą sam wpadł, chcąc w niej utopić zupełnie kogo innego. Chory ten publicysta w braku faktów miewa wizje. Siedząc w zbrojnym od stóp do głów Berlinie, krzyczy, że „Polacy siłą pięści chcą walczyć z cywilizacją” - i - gniewa się na jakichś tam „żandarmów” z r. 1863.

Pomijamy frazes: o walczeniu z cywilizacją siłą pięści. P. Pindter ma tak słabe oczy, że nie widzi leżącej mu pod nosem Alzacji i Lotaryngii, nie mówiąc o innych „cywilizowanych zdobyczach” Prus. P. Pindter poza obrębem „Norddeutscherki” nie czytuje innych gazet, w których mógłby znaleźć list marszałka Moltkego „o wojnie jako instytucji boskiej”. P. Pindter w końcu ma tak niedołączną pamięć, że zapomniał o frazesie ks. Bismarcka: „Jestem mężem krwi i żelaza...” albo: „Siła idzie przed prawem.”

Te i tym podobne zmysłowe i umysłowe defekta upoważniają p. Pindtera do niewiedzenia: kto właściwie walczy pięścią przeciw cywilizacji? Jego więc publicystyczną działalność należy oceniać nie ze stanowiska prawdy, pożytku, taktu, ale ze stanowiska psychiatrii.

Troskliwe wysmarowanie grzbietu jodyną i zimne okłady więcej byłyby na miejscu aniżeli najgłębiej obmyślana rozprawa.

Nie chodzi więc o to, co p. Pindter mówi o Polakach, ale o zabawny fakt, który w schorzałym umyśle znakomitego redaktora głęboko wyrył ideę „żandarmów”.

Otóż złośliwi czy dobrze poinformowani puścili pogłoskę, że w r. 1863 p. Pindter „widział z bliska żandarmów” i ze stosunku tego, na odwrotnej stronie medalu, wyniósł bardzo przykre „wspomnienia”.

Wiść przybrała podobno tak obszerne rozmiary, że grono wielbicieli talentu p. Pindtera aż - zwołało mityng w tej sprawie.

Po ożywionych dyskusjach postawiono wniosek, że w pogłosce znajduje się rażąca sprzeczność. Jeżeli bowiem - jak mówiono - p. Pindter ze „stosunku z żandarmami” wyniósł „wspomnienia” itd., to - nie mógł żandarmów widzieć. Doświadczenie bowiem uczy, a kilku członków mityngu dowiodło tego natychmiastową demonstracją, że: człowiek, któremu zapisują „wspomnienia” itd. nie ma ani czasu, ani chęci, ani możliwości do „przypatrywania się” zapisującym. Chyba żeby posiadał skórę hipopotama, nerwy żółwia i głowę osadzoną na łabędziej szyi.

Ponieważ dyskusja stała się zapalczywą, więc mityng wysłał do p. Pindtera deputację, mającą osobiście sprawdzić owe „wspomnienia” itd. Wierna mandatowi deputacja usilnie namawiała p. Pindtera, ażeby ukazał się im w naturalnej postaci, celem spisania protokołu i zdjęcia fotografii ze „wspomnień” itd.

Zacytujemy teraz słowa protokołu:

„Wielce szanowny p. Pindter przyjął nas prawdziwie po niemiecku, z patriotyczną skwapliwością uczynił zadość celowi naszej wizyty. Po zdjęciu fotografii z kilku stron, przystąpili eksperci, lecz ci, pomimo najtroskliwszych badań, już to gołym okiem, już za pomocą szkieł, żadnych «wspomnień» itd. nie mogli dostrzec.

Gdy wyraziliśmy z tego powodu nasze ubolewanie, wówczas p. Pindter zabrał głos i w świetnej mowie objaśnił nas, że owe

«wspomnienia» itd. zostawiły wprawdzie głębokie ślady, ale - tylko w jego sercu.

- W takim razie, dlaczego pozwoliłeś pan badać się i zdejmować... fotografie? - spytał prezes deputacji.

- Sądziłem, że panowie robicie to w celu podniesienia stanowiska naszego państwa, i miło mi, że choć tym sposobem mogłem się do niego przyczynić.

Tak wielki dowód patriotyzmu upoważnia nas do postawienia wniosku, ażeby na placu, najbliższym redakcji, wznieść p. Pindterowi spiżowy pomnik w tej pozie, która tak pięknie zaświadczyła o jego obywatelskich uczuciach."

Za autentyczność całego tego wypadku ręczy nasz specjalny korespondent.

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 102

Kronika tygodniowa - Kurier Warszawski, rok 1881, nr 102, dnia 7 maja

Opłakane skutki „przychodzenia z pomocą prawu” tudzież – innych cnót. - Jeremiady aptekarskie i społeczne znaczenie „powinszowań”. - Sprawa nauczyciela ze studentem. - Nowe projekta. - Czy cnota dla reklamy przestaje być cnotą. - Praski uniwersytet i pogrzebowa mówka dla C. K. Austriackiej Biurokracji.

Jeżeli do miłości dodamy miłość, potem legalność, potem poszanowanie wolności, a potem gorliwość, pobożność i przyjaźń, co wypadnie na sumę?...

- Proces kryminalny!... A oto dowód.

Pewna panienska ma opiekuna i dwie opiekunki. Opiekun kocha dziewczynkę, ponieważ, jak mówią, w czwórnasób powiększył jej majątek. Opiekunki także kochają pupilkę, gdyż pozyskały najtkliwsze przywiązanie z jej strony.

Pewnego razu zażądał opiekun, ażeby dziewczynka przeniosła się od opiekunek do jego domu. Pupilka jednak przez miłość dla opiekunek nie chciała przenieść się do domu opiekuna, a opiekunki, szanując jej wolność, nie nalegały.

Wtedy opiekun zwrócił się o pomoc do sądu. Sąd wydał przychylny wyrok - i - pewnego dnia w mieszkaniu opiekunek stawiał się komornik, chcąc w imieniu prawa na rzecz opiekuna „zająć” pupilkę.

Pupilka nie dała się „zająć”.

Wówczas przyjaciele opiekuna zrobili mu uwagę, że każdy legalny obywatel winien „przychodzić z pomocą prawu”. Gdy zatem innego dnia pupilka i jej opiekunki wracały ze mszy od Bernardynów,

opiekun i jego przyjaciele postanowili „przyjść z pomocą prawu”, jako niżej:

Opiekun schwycił pupilkę za jedną rękę...

Opiekunki przez miłość i poszanowanie cudzej wolności schwyciły pupilkę za drugą rękę...

Przyjaciele opiekuna i opiekunek „śpiesząc z pomocą prawu” pociągnęli jednego i drugie każdy w swoją stronę...

Po czym zrobił się krzyk na ulicy - i - wszyscy znaleźli się w objęciach cyrkułu, który, jak wiadomo, jest uniwersalnym punktem równowagi dla sił działających w różne strony.

Stało się więc to, czego najmniej można było oczekiwać. Pupilka, którą każdy chciał zachować ode złego amen, rozchorowała się. Opiekunki za swoje dobre serce zostały stratowane, a opiekun i jego przyjaciele za swój lojalny zamiar „przyjścia z pomocą prawu” będą mieli proces o publiczny gwałt i porwanie...

Dbajże teraz o pupilki, szanuj cudzą wolność, uczęszczaj na msze święte, nade wszystko zaś „przychodź z pomocą prawu”, a - zrobisz interes!...

Do tej pory słyszeliśmy, że tylko ubogie sieroty płakały na swoich opiekunów i przysparzały im dużo kłopotów. Dziś przekonywamy się, że nawet bogate sieroty miałyby powód do płaczu, a ich opiekunowie do narzekań na niepotrzebny kłopot. Skąd wypływa wniosek, że obecny stosunek opiekunów do sierot i sierot do opiekunów powinien być zreformowany, ale w jaki sposób?... na razie odgadnąć nie mogę.

Gdym myślał nad tą kwestią społeczną, otrzymałem list z prowincji, z którego przekonywam się, że: poziome zgryzoty są udziałem nawet - aptekarzy.

Profanom wydaje się, że aptekarze są najszcześliwsi ludzie na ziemi. Według pojęć ogółu, ich praca polega na kręceniu właściwym

tluczkiem we właściwych mózdzierzykach, co lubo jest wyczerpującym zajęciem, jednakże hojnie się opłaca.

Za swoje bowiem trudy ma aptekarz darmo lekarstwa, wodę sodową i kolońską, soki, maście, pomady, różne chirurgiczne narzędzia i - cieszy się wyjątkową opieką prawa, które nie tylko pozwala mu zarabiać 100%-200%, ale jeszcze co parę lat podwyższa takse.

Gdy zaś nadejdzie ostatnia godzina, gdy ciało opadnie na dno grobowego alembiku, a dusza na skrzydłach lotnych olejków wzniesie się wonna aż do progu niebieskiej bramy, wówczas powiedzą jej:

- Duszo farmaceuty! Dużo wprawdzie zgubiłaś ludu wynajdując specjalne lekarstwa. Ale ponieważ nie zawsze wypełniałaś to, co było zapisane w receptach, więc - odpuszczają ci się grzechy!

Tak sądzi ogół o doczesnych i wiekuistych szczęśliwościach aptekarzy. Zobaczmy teraz, co oni mówią sami o sobie.

„Diabła warte nasze życie! - pisze jeden z nich. - Materiały apteczne drożeją, doktorzy zapisują coraz tańsze recepty, wypoczynku nie mamy ani w piątek, ani świątek, w dzień ani w nocy, a ciągły pobyt między trującymi substancjami popycha nas do grobu.

Wszystko to jednak byłoby nic, gdyby nie dozór, czysty soliter, na którego nie ma lekarstwa!

Bywało, siedzisz za kantorem, myśląc: jak ci się zwiąże koniec z końcem przy takiej drożyznie? skąd weźmiesz pieniędzy na opędzenie najpierwszych potrzeb, aż wtem - przynoszą z poczty list... Czytasz go... Dozór w słodkich słowach donosi ci, że przyjeżdża na rewizję!...

Zgryziony, jak gdybyś zamiast morfiny wyekspediował strychninę, posyłasz o kilka mil po najlepszego kucharza, kupujesz na potrawy najdziksze bestie rogate i szczeciaste i sprowadzasz najdroższe wina, jakie daj Boże pić choremu w tyfusie...

Zjechał dozór. Roztasowuje się na kilka dni wraz z lokajem w najochędźniejszych pokojach, jada za trzech, pali najosobliwsze cygara, a ssie butelki - jak pijawka. Nie dość na tym: przewraca ci do góry nogami całą aptekę i wreszcie, znalazłszy coś niewłaściwego w opakowaniu rumianku, nakłada pieczęcie i spisuje protokół.

Toż samo jego lokaj robi w kuchni.

Za te szykany muszę mu wynająć pocztowe konie, karetę i moim kosztem wysłać go na kark sąsiadowi,

Po kilku wizytach zacząłem się tak pilnować, że dozór, choć kręcił się w aptece jak robak w serze, nie znalazł nic. Jadł ze złości... strach, jak on jadł!... A pił, a palił, a zapisywał sobie najdroższe lekarstwa! Wreszcie - wyjechał, znowu na mój koszt i - w kilka dni - doniósł mi, że: ktoś tam chce w naszym miasteczku założyć drugą aptekę, a on, niby dozór, zapytuje mnie o «zdanie» w tej kwestii...

Poznałem oczywistą chęć zgubienia mnie i - pojechałem na naradę do starszego kolegi w mieście gubernialnym.

Kolega, wysłuchawszy mnie, spytał:

- A czy regularnie wysyłasz mu «powinszowania»?

I pokazał palcami.

Zrozumiałem. Tego samego dnia pożyczyłem u Żydków 200 rs, złożyłem wizytę, gdzie należy, «powinszowałem», komu należy, szczęśliwego powrotu z rewizji - i - już nie będę miał pod bokiem apteki!

Ale nie na tym koniec, bo jak słyszę, chcą nam zniżyć taksę o 20%... Jeżeli to prawda - pójdziemy wszyscy z torbą, gdyż według sumiennych obliczeń, na pokrycie owych rewizyjnych obiadów, przejazdów i «powinszowań» potrzebna by nam była raczej podwyżka o jakie 20%, nie zaś zniżka taksy!..."

Na tym kończy się list aptekarza. Ponieważ, zgodnie z jego życzeniami, taksa ma podnieść się o 20%, więc zapewne pokryje mu koszt „powinszowań” - i - będzie zadowolony.

List ten nasunął mi pomysł do zreformowania systemu opieki nad bogatymi sierotami.

Niechby tylko z majątku małoletnich rada familijna pobierała wynagrodzenie wedle aptekarskiej taksy i niechby nad radą familijną czuwał arcyopiekun, mający prawo w wypadku nieporozumień wyrokować ostatecznie.

Wówczas opiekunowie składaliby arcyopiekunowi - „powinszowania”, który tak byłby z nich zadowolony jak dziś dozór - z aptekarskich.

Arcyopiekun podnosiłby co pewien czas takse opiekunom, którzy tak byliby z niego zadowoleni, jak dziś aptekarze z dozoru.

Małoletni zaś byliby zadowoleni i z arcyopiekunów, i z opiekunów tak, jak dzisiaj publiczność z aptekarzy i z dozoru.

I jeszcze sławna sprawa.

Na pogrzebie ukochanego przez uczniów nauczyciela, student uniwersytetu wyraził się dosyć lekko o jednym z nauczycieli żyjących i na cmentarzu obecnych. Przystosował mianowicie do jego osoby jakiś rzeczownik złożony z czterech liter.

Owa drażliwa pogadanka prowadzona była incognito - „na stronie”, jak mówią w teatrze, gdzie na przykład zdarzają się takie dialogi:

ORESTES

do Pyladesa

Miło mi odświeżyć z panem dobrodziejem dawną znajomość.

Na stronie

Nudzi mnie ten cymbał!...

PYLADES

(na to, udając, że nie słyszy, odpowiada)

Prawda, panie, mamy dziś bardzo ładny dzień!...

Student, który widocznie grywał teatru amatorskie, wypowiedział swoją uwagę „na stronie”. Nauczyciel jednak, stojący w pobliżu, „wyszedł z roli”, sprawę wziął na serio i udał się ze skargą naprzód do kuratora, a potem do sądu.

Tu następuje uwaga.

Szkoda, że zatargi między nauczycielami i uczniami rozstrzygają się dziś przed sądem, cywilnym czy kryminalnym, wszystko jedno, ale zawsze poza obrębem naukowej korporacji.

Kiedyś... kiedyś... bywały inne zwyczaje. Przestępcę sądzili jego koledzy pod przewodnictwem profesorów.

Gdyby utrzymał się ten obyczaj, obwiniony usłyszałby od najbliższych sobie, że: są pewne rzeczowniki, których nie stosuje się do osób rodzaju męskiego, że świat nie jest amatorskim teatrem - i - zapewne, z własnego natchnienia, pogodziłby się z obrażonym nauczycielem, bo młodość jest wiekiem niespodzianych wybuchów i szlachetnych popędów.

Inni również skorzystaliby z owego koleżeńckiego sądu, a tym sposobem jeden wypadek obraży stałby się dla kilku pokoleń bodźcem do szanowania zwierzchników czy też osób starszych.

I znowu padły na nasze społeczeństwo dwa uczciwe pomysły.

Panowie: Wierzchlejski i Moldenhawer opracowali ustawę „towarzystwa pomocy dla sług”, a nieznani autorowie: ustawę „stowarzyszenia prywatnych oficjalistów” w Kieleckiem.

Każde z tych towarzystw ma na celu pobudzić do ofiarności pewną klasę pracodawców tudzież skłonić do przezorności i zapewnić spokojniejszą przyszłość - pracownikom. Z ustaw tych, jeżeli zostaną zatwierdzone, wyrosną kiedyś instytucje nie tylko zwiększające dobrobyt, ale - zapobiegające skutkom międzyklasowej nienawiści, która tak bujnie dojrzewa we wszystkich krajach Europy.

Tymczasem już dziś autorowie ustaw zasłużyli na powszechne uznanie. Oni bowiem streszczają w sobie najlepsze instynkta ogółu: dbałość o uboższych i bezinteresowną pracę. Oby tylko nie zabrakło im środków i dróg, niezbędnych do wykonania każdego projektu!

Dawniej miewaliśmy ludzi, którym nie brakło ani tych środków, ani dróg. Przez jakiś czas nazwiska ich figurowały na każdym projekcie mającym na celu publiczne dobro, niby nazwiska arystokracji w rozmaitych heraldycznych wydawnictwach. Dziś ludzie ci, jak ślimaki w czasie niepogody, pochowali się w swoje muszle. Czy zleniwili?... czy zniechęcili się?...

W naszych sądach o pożytecznej działalności tkwi pewien błąd. Ile razy człowiek mający rozległe interesa robi coś, tyle razy nie mówimy o tym: co robi? ale o tym, że: robi dla reklamy.

W tej kwestii należy się porozumieć.

Łaskawi państwo! ja nie wiem, dlaczego obywatelska zasługa ma osłaniać twarz kapturem albo jak mięczak, zwany sepią, rozlewać dokoła siebie farbę dobrych czynów kryjąc się w głębi morza? Moi

państwo! ja widywałem ludzi, którzy spełniwszy coś w licznym i dobranym towarzystwie zachowywali tak ściśle incognito, że tylko mocny rumieniec na ich obliczach wskazywał autorów. Ale wiercie mi, o czytelnicy! że czyny tych ludzi nie były obywatelskimi i jeżeli przynosiły sprawcom niepożądaną reklamę, to ogółowi nie dawały najmniejszego pożytku.

Reklama jest pokarmem ambicji, a ambicja jedną z potężnych sprężyn ludzkiej działalności. Reklamę uzyskać można rozmaitymi sposobami. Herostrat spalił świątynię, Efiates zdradził ojczyznę, Alcybiades uciął psu ogon, Diogenes mieszkał w beczce dla zdobycia reklamy. I każdy zdobył ją. Ale obok tamtych ludzi nie można stawiać takich, którzy „dla reklamy” ratują życie bliźnim, zakładają szkoły lub stowarzyszenia, pomagają uczciwej nędzy. Bo ci tworzą dla społeczeństwa nowe siły.

Owszem - niechaj w tym kraju wszyscy robią choćby t y l k o dla rozgłosu, ale - niech coś robią. Lepsza jest bezczelna, byle pożyteczna dla ogółu praca aniżeli pogardzające reklamą - safandulstwo. Kurtyna, która zasłania scenę na początku widowiska, budzi ciekawość - ale kurtyna nie podnosząca się od pierwszego do piątego aktu włącznie [nie] jest zabawną rzeczą.

Nie wstydzmy się więc reklamy, ale próżniactwa, i nie potępijmy użytecznych reklamistów, ale pilnujmy tego, ażeby reklamowali się czynami. My zaś będziemy opiewać ich zasługi.

Rodzina słowiańska obchodzi znakomitą uroczystość. Oto: po wieloletnich rozprawach zatwierdzono w Pradze czeski uniwersytet.

Przeciw tej instytucji w namiętny sposób protestowała tak zwana partia centralistyczna, a właściwie: zepsuta do szpiku kości austriacka biurokracja, bukiet arogantów, uciskaczy i wszelkiego rodzaju łapowników, między którymi znajdowała się zaledwie garść uczciwych ideologów.

Partia ta w ciągu kilkudziesięcioletnich rządów wypłeniła przemysł w Galicji, zorganizowała rzeź w r. 1846, uwolniwszy włościan z jarzma

pańszczyzny i nie dawszy im ani oświaty, ani kredytu - zaprzedała ich lichwiarzom i szynkarzom. Partia ta ściągnęła na Austrię wojenne klęski - germanizowała, a raczej ogłupiała słowiańskie narodowości, drażniła wszystkich przeciw wszystkim, a nareszcie upadła w błoto giełdowych szwindlów, pociągając za sobą sztandar, na którym, jakby na kpiny, wypisane były hasła: emancypacja! cywilizacja! liberalizm! i tym podobne brednie.

Nikt ich nie podkopał; runęli sami, pod ciężarem własnej przewrotności.

Ciekawe były argumenta tych ludzi przeciw czeskiemu uniwersytetowi.

Dowodzili oni, że język niemiecki jest Czechom niezbędnie potrzebny od kolebki do grobu, jak gdyby Czesi nie wiedzieli sami: co im jest potrzebne i w jakim stopniu?

Chełpili się wyższością swojej literatury, która miała ucywilizować Czechów - jak gdyby nie było prościej: tłumaczyć znakomite niemieckie dzieła na czeski język aniżeli całemu narodowi zaprzętać głowę i zabierać czas mechaniczną nauką języka.

Wrzeszczeli, że Austria upadnie, gdy przyzna ludzkie prawa Czechom, jak gdyby bezpieczeństwo państwa zależało na płaceniu dobrych pensyj kilkunastu szlafmycowym uczonym, nie zaś na zadowoleniu milionów.

I w cóż dzisiaj obróciły się ich teorie, służące za parawan brutalnej sile?...

Dopiero gdy osłabnął ten zakon doktrynerów i wyzyskiwaczy, gdy zobaczył cały świat, że wśród nich nie ma ani mądrości, ani sprawiedliwości, ani nadmiaru uczciwości, wówczas - przekonano się, że państwo żyć może bez nich i że więcej rzetelnych usług oddadzą mu siły nowe, dotychczas pogardzane i niweczone.

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 113

Kronika tygodniowa - Kurier Warszawski, rok 1881, nr 113, dnia 21 maja

Wyprawa francuskich literatów na polskich krumirów-tłumaczy. - Nasza orkiestra i koncerty historyczne. - Rycerskość warszawskiej poczty i pazerność niemieckiego dyrektora gimnazjum. - Dola naszych wynalazków wobec „logiki odwrotnej”. - Obojętny sędzia i gorliwy komisarz.

Towarzystwo francuskich literatów poczyną z nami w dziwny sposób. Panowie ci zaprowadzili w Petersburgu pewien rodzaj kopytkowego dla płodów francuskiej muzy - i - swemu specjalnemu adwokatowi, p. Micheletowi, nakazali, ażeby: nękał jak Krumirów wszystkich polskich autorów, którzy ośmielą się bez jego pozwolenia tłumaczyć francuskie książki.

Osobliwa ironia losu! Pierwszy Michelet był obrońcą wszelkiej swobody (a więc zapewne i swobody tłumaczeń), był gorącym przyjacielem Mickiewicza i Polaków, podczas gdy drugi Michelet ma obowiązek ścigać Polaków i ograniczać swobodę tłumaczeń...

Wypadek ten przypomina mi, że historia naszych stosunków z francuskimi literatami dzieli się na kilka okresów.

W najdawniejszym literaci francuscy - uczyli nas. Była to epoka Racine'a, Moliere'a, Rousseau, Voltaire'a, Condorceta, d'Alemberta, Laplace'a, Montuclii itd., itd.

W następnej epoce Francuzi - zdumiewali nas. Była to epoka Thiersa, Musseta, a nade wszystko - Wiktora Hugo.

W trzeciej epoce - oblagowywali nas albo gorszyli. Działo się to mianowicie w tym krótkim okresie, kiedy uwagę naszą pochłaniał istotnie zdolny, jeżeli nie genialny, Zola i cała czereda owego

Apollinowego drobiazgu, który z takim wdziękiem umie puszczać... mydlane bańki!...

Dziś literaci francuscy nie uczą nas, nie zdumiewają, nie gorszą, a oblagowywują - zaledwie odrobinę. Ale ponieważ są zawsze gotowi do robienia niespodzianek, więc chcą nas... zmartwić i ustanawiają kopytkowe na swoje wyroby.

Bądźmy jednak sprawiedliwi. Duch francuski jest tak szlachetny, że nawet wówczas oddaje usługi, kiedy chce komu wypłatać figla. Francuscy literaci oddawali nam usługi wtedy - kiedy nas uczyli, i wtedy - kiedy nas zdumiewali, i wtedy - kiedy nas gorszyli. Dziś znowu wyświadczają nam dobrodziejstwo swoim systemem kopytkowego. Nie mogąc bowiem darmo tłumaczyć autorów francuskich, z konieczności zwrócimy się do włoskich, hiszpańskich, niemieckich, a najlepiej do angielskich - i - wygramy!...

A więc dzięki wam, panowie, że już w roku 1881 robicie to, co my sami zrobilibyśmy w r. 1882. Wasz prawdziwie genialny autor nie zechce zapewne bogacić się kosztem ubogiego narodu. A jeżeli i ten zagustuje w pobieraniu kopytkowego, ha!... wówczas poprosimy go, ażeby potracił sobie honorarium z owych sum, jakie po wojnach napoleońskich przyznała nam sama Francja.

Ze wszystkich sztuk pięknych znam się tylko na jednej, mianowicie: na - pięknych kobietach (Boże, jak ja się znam).

Nie rad bym też wchodzić bliźnim w szkodę. Ponieważ jednak, o ile słyszałem, moi przyjaciele od muzyki lubią wydeptywać ogródek, który ja zachowałem zatem dziwnego, że sposobem kontrabandy ja choć raz na rok dopuszczę się chętnie przebaczonej niedelikatności na - muzyce.

Chcę powiedzieć o tym, że mamy nareszcie naszą własną orkiestrę, grywającą pod kierunkiem p. Z. Noskowskiego, w tej samej Dolinie Szwajcarskiej, którą niegdyś wstawiali Bilse i Fliege.

Nie myślę robić reklamy młodej orkiestrze, tym bardziej że z góry dano mi łapówkę w formie biletu wejścia. Nie myślę pisać „krytyki”, ponieważ: ze wszystkich sztuk pięknych znam się tylko na...” itd. Nie mogę przecie powstrzymać się od następujących uwag:

Jakby to było dobrze, gdybyśmy mieli więcej Zygmunatów Noskowskich, którzy zorganizowaliby nam orkiestrę:

W sferze nie istniejącej statystyki krajowej.

W sferze prawie nie istniejącego drobnego przemysłu po wsiach.

W sferze uspołecznienia wielkiego przemysłu tudzież drobnego handlu, które niby są nasze, a - nie nasze.

W sferze organizacji wiejskich i miejskich szkółek tudzież ochron.

W sferze organizacji taniego kredytu po wsiach, miastach i miasteczkach.

Prawdopodobnie każdy taki Noskowski musiałby na początek obsadzać niektóre krzesła cudzoziemcami. Jednakże po kilku latach w jego orkiestrę wsiąknęłyby żywioły miejscowe, my zaś zamiast - jak dziś - narzekać na cudzoziemców, mielibyśmy dla nich wdzięczność.

Do tego zaś potrzeba niewiele.

Naprzód, mieć talent i zamiłowanie przedmiotu.

Po wtóre, nabyć rutyny między ludźmi obcymi.

Po trzecie, mieć wytrwałość w zamiarach i - pomocnika w ich wykonaniu.

Po czwarte, znaleźć poparcie u swoich, co u nas trafia się rzadko.

Ta nasza młoda orkiestra jest istotnie typowym zjawiskiem, a przyszli Noskowsy, z innych sfer społecznej działalności, dobrze zrobią, jeżeli postarają się zbadać ją we wszystkich szczegółach.

Niewątpliwie znajdą w niej nie tylko muzykę, ale i naukę, o którą chodzi najwięcej.

Przy sposobności godzi się nadmienić, że opinia publiczna zachęca p. Munchheimera do urządzenia trzeciego historycznego koncertu. . Jest to także fakt pocieszający z wielu względów.

Przede wszystkim z koncertem historycznym łączy się imię czcigodnego Oskara Kolberga, który przez tyle lat wśród ciszy, jeżeli nie wśród obojętności, zbierał pieśni naszego ludu. Dokonał on wielkiej pracy, bo nawiązał jedną więcej nić pomiędzy inteligencją i ludem, terażniejszością i przyszłością...

Dalej - ten wybuch zapалу do historycznych koncertów jest bodaj czy nie symptomem nowego zwrotu w traktowaniu przez nas przeszłości. Cofamy się do niej, ale tylko po to, ażeby wybrać rzeczy dobre; kochamy ją nie uczuciem sztucznym, chorobliwym, ale żywotnym i jędrnym, bo kochamy ją tylko - w jej pięknych objawach.

Po psalmach Gomółki i pieśni: Bogarodzico, Dziewico..., której wtórował szum chorągwi i huk armat spod Grunwaldu, mniej poetycznymi wydadzą się nam garncowe puchary i zajazdy z XVIII wieku!...

Takąż samą uszlachetniającą wartość będą miały: wydawnictwa dzieł Kochanowskiego i wystawienie jego dwu utworów scenicznych.

Ani wątpić, że później przyjdą inne rzeczy, w tym samym duchu.

Świat nie zna większych uroczystości nad te, gdy narody schodzą do katakumb po swoje święte relikwie i klejnoty...

W długich boleściach rodziła nasza poczta napisy na swoich biurach, trzeba jednak przyznać, że trud jej nie lada jakie wydał owoce.

Naprzód mamy napisy aż w czterech językach: dla urzędników, dla spóółstwa, dla arystokracji rodowej i - dla arystokracji z Nalewek...

Okazałe towarzystwo i wielka ze strony poczty uprzejmość! którą przecie nie złudzimy się. Słuszność bowiem nakazuje wyznać, że - dziś jeszcze - nasza literatura nie zajmuje poóredniego miejsca pomiędzy francuską i niemiecką.

Uważajmy więc ten objaw pocztowej galanterii za to, czym on jest. Nie za uznanie terażniejszości, ale tylko - za dobrą wrózbę na przyszłość.

Od warszawskiej poczty, którą tak wiele spotyka zarzutów niejednego mogliby się nauczyć "cywilizatorowie ówiata". Mo¿e przed godziną słyshałem, że właśnie w tym dniu, kiedy poczta przybijała swoje napisy, dyrektor poznańskiego gimnazjum wpakował do kozy, a nawet zagroził relegacją - dwóm ucznióm, którzy rozmawiali ze sobą po polsku.

Straszna to bezwzględnóść. Nie dość, że chłopcy słyshają niemieckich lekcji, nie dość, że się ich uczą w domu. ale jeszcze po tej forsownej gimnastyce nie wolno im dla odpoczynku zamienić kilku wyrazów w języku ojczystym!

Pan dyrektor, jeżeli jest konsekwentny w swojej s t a t s m a-n i i, nie powinien by się sam nigdy rozbierać, ale - jadać, sypiać, kąpać się i wypełniać różne inne ludzkie obowiązki w pełnym uniformie. Jakby zaś ten uniform wyglądał przy podobnej punktualności?... nie chcę nawet odgadywać.

Niedawno pewien uczony pokazał mi jakiś amerykański tygodnik. Znajdują się tam różne ciekawe rzeczy, a między nimi najciekawszy - spis patentów udzielanych na wynalazki.

Ze spisu tego okazuje się, że w Stanach Zjednoczonych dokonywa się przecięciowo co tydzień po kilkaset, jeżeli nie po parę tysięcy wynalazków!...

Ponieważ jednak w naturze musi istnieć równowaga, więc za to u nas co tydzień nie robi się - żadnego wynalazku. Jeżeli zaś przyjdzie komu dopuścić się podobnej niedorzeczności, wówczas doprowadzają go do porządku inni, negując jego robotę.

Wiadomo, ile ludzi co roku ginie na kolejach żelaznych przy ręcznym łączeniu wagonów albo z powodu złego nastawienia weksli. Zapewne też do dziś dnia leczą się ofiary nieszczęśliwego zwesłowania szyn pod Nowym Dworem,

Otóż niejaki p. Franciszek Niemira, urzędnik jednej z dróg żelaznych, obmyślił dwa wynalazki. Jednym - jest: automatyczny system łączenia i odłączania wagonów, dzięki czemu ludzie nie potrzebowałiby wchodzić między bufory i narażać się na zgniecenie. Drugim wynalazkiem jest: przyrząd ostrzegający o złym nastawieniu weksli na stacji, przy czym zawiadowca, nie wychodząc ze swego pokoju, mógłby kontrolować każdy ruch weksli i natychmiast zawiadomić zwrotniczego o błędzie.

Oba te przyrządy są dotychczas dopiero modelami, ponieważ p. Niemira nie posiada funduszków na zrobienie odpowiednich doświadczeń, a poparcia ze strony osób wpływowych doczekać się nie może.

Dlaczego?... Rzecz prosta, dlatego że w Ameryce dokonywa się co tydzień setki wynalazków. Ponieważ zaś my odnośnie do Ameryki żyjemy do góry nogami, więc i wszystko inne dziać się musi u nas do góry nogami, właśnie jak potrzeba.

Świetnym objawem naszego „postępu do góry - nogami” jest inny fakt.

Dotychczas mieli u nas możliwość uczyć się rzemiosł: głuchoniemi i ociemniali, dzieci z Instytutu Moralnej Poprawy i dzieci z Osad Rolnych. Tylko przez jakieś niepojęte zaniedbanie i odstępstwo od ogólnej zasady utworzyło się kilka szkół technicznych i dwie rzemieślnicze, w których nabywają fachowych wiadomości dzieci normalne i nie skazane przez sądy.

Szczyściem, ten demoralizujący ruch trwał niedługo. Szkół rzemieślniczych nie przybywa, ale natomiast poczyną znowu tryumfować zasada „postępu do góry nogami”. Bo oto dowiadujemy się, że nauka rzemiosł poczyną być udzielaną w więzieniach, na początek: w warszawskim i plockim!...

Nie można nic mieć przeciw uszlachetnianiu więźniów za pomocą nauki i pracy. Ależ, na Boga! dlaczego człowiek, chcący łatwym sposobem nauczyć się rzemiosła, musi pierwaj kogo okraść albo zabić, i to właśnie w tej epoce, kiedy biedne dzieci naszych robotników nie posiadają tego rodzaju szkół i z wielkim trudem, z wielką stratą czasu dobijać się muszą wiedzy fachowej w terminie?...

Niech więc żyje „odwrotna loika”!...

Kronika niniejsza nie byłaby zupełną, gdybyśmy nie wzbogacili jej następnymi faktami.

W pewnym „uczastku” Warszawy wierzyciel wystawił na licytację ruchomości dłużnika. Ślicznie! Prawodawca jednak wiedząc, że licytacja więcej przynosi szkody dłużnikowi aniżeli pożytku wierzycielowi, dopuścił pewne ulgi. Jedną zaś z takich ulg jest: odłożenie terminu licytacji na czas, w ciągu którego dłużnik może spłacić wierzyciela.

Adwokat licytowanego chce korzystać z dobrodziejstwa. Szuka tedy sędziego, nie ma sędziego. Na drugi dzień przed południem upływa termin ostateczny. Adwokat biegnie do sędziego o dziewiątej, sędzia śpi. Wychodzi, wraca o dziesiątej i - zostaje przy-

- Panie sędzio! błagamy o zwłokę w licytacji.

- Przyjdź pan o piątej.

- Ale nas o dwunastej zlicytują!...

- Dla mnie to wszystko jedno, dziś jest święto!...

Dzięki więc temu, że sędzia ma prawo świętować, co jest zupełnie słuszne, ale sprawy nie świętują, dłużnik został zlicytowany.

Każdy kodeks niewątpliwie posiada luki, ale luki te wypełniają się humanitarnymi uczuciami sędziów. Toteż jeszcze Katarzyna II wypowiedziała zdanie, że lepiej ocalić stu winnych niż zgubić jednego niewinnego...

Czy zasada ta nie dałaby się rozwinąć w taki sposób, że: lepiej pogwałcić sto świąt niż zgubić jednego dłużnika?...

„Azali - mówi Chrystus - kiedy wam wpadnie do rowu wół albo osioł w dzień sabatu, to go nie wyciągacie?”

Ponieważ w naturze, jak powiedziano wyżej, musi istnieć równowaga, więc obok indyferentyzmu zacytujemy przykład nadmiernej gorliwości.

W pewnej guberni istnieje kasa gminna, od której, wedle ustawy, jeden klucz winien mieć kasjer, drugi - wójt. Komisarz zaś ma obowiązek czuwać nad kasą i dokonywać rewizje.

Otóż dla uproszczenia tej czynności p. komisarz kazał dorobić sobie dwa klucze: taki, jaki ma kasjer, i taki, jaki ma wójt. Tym sposobem rewizję można robić bez zapowiedzenia jej i bez ściągania kasjera, który mieszka dość daleko.

Jest to rzeczywiste uproszczenie. Co by jednak było, gdyby majster, robiący klucze dla komisarza, dorobił jeszcze dwa klucze dla siebie i gdyby... pewnej nocy niespodzianie zrewidował kasę sam, bez asystencji wójta, kasjera i komisarza?...

Zdaje się, że jeżeli czterokluczowy system jest wygodniejszy dla rewizora, to dwukluczowy jest bezpieczniejszy dla kasy.

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 140

Kronika tygodniowa - Kurier Warszawski, rok 1881, nr 140, dnia 25 czerwca

O stowarzyszeniach gimnastycznych i ekonomicznych tudzież o dawnej i dzisiejszej policji. - Słówko o chińskiej mądrości i o rozporządzeniu p inpektora lekarskiego.

Pewnego dnia zgłosiło się do mnie kilku młodych ludzi, więcej niż - dobrego wzrostu. Myślałem, że chcą dom rozwalić, ale oni powiedzieli, że mają do mnie prośbę.

- Zapewne o udzielenie każdemu z panów pożyczki? - spytałem, przypomniawszy sobie, że od niejakiego czasu bardzo wiele osób żąda ode mnie pożyczek z taką pewnością, jak gdybym okradł bank albo wygrał na loterii.

- Nie! - odpowiedzieli młodzi ludzie zaciskając mocne pięści.

- Więc może chcecie, panowie, ażebym każdemu dał posadę? - zapytałem, znowu przypomniawszy sobie, że od pewnego czasu bardzo wiele osób żąda ode mnie - posad.

- Wcale nie! - odpowiedzieli młodzi ludzie tęgo zbudowani.

- My mamy pieniądze i posady... Ukłoniłem się tym panom.

- ...Ale - ciągnęli dalej - potrzebujemy...

„Czego oni, u diabła, mogą potrzebować?” - pomyślałem zatrwożony.

-... Potrzebujemy towarzystwa gimnastycznego.

Umilkli i znowu zacisnęli pięści, z których każda mogłaby przewrócić czterech byków. Domyśliłem się, że młodzi ludzie z zamiłowaniem

oddają się męskim ćwiczeniom i że gwałtowne ich ruchy nie oznaczają bynajmniej wstrętu do mojej osoby, ale raczej malują stan duszy tych siłaczy.

- Potrzebujemy towarzystwa gimnastycznego i mamy nadzieję...

- O tak, zawsze miejcie, panowie, nadzieję! - zawołałem, pamiętając, że nadzieja jest jedną z cnót teologicznych, niezbędnie potrzebnych do zbawienia.

Po tak uroczystym zapewnieniu młodzi ludzie wyszli, stawiając duże kroki i podnosząc w górę ramiona. Ja zaś obawiając się, ażeby kiedy na mnie nie wypróbowali swoich gimnastycznych

uzdolnień, począłem zastanawiać się nad ich prośbą.

"Chcą ode mnie towarzystwa gimnastycznego. A skąd ja go, wezmę?... Czy oni myślą, że u mnie jest skład «towarzystw»?"

W każdym razie należało zasięgnąć wiadomości, więc pobiegłem - do jednego z moich przyjaciół, dawnego, już dymisjonowanego, urzędnika policji.

Mój przyjaciel, naprzód - uściskał mnie, później - zobaczył w swoich dawnych notatkach, czy nie byłem kiedy notowany, a przekonawszy się, że całkiem lojalny, chciał mnie zrewidować, zaskarżyć i - nareszcie - zapytał: po co przychodzę?

- Chciałem się od pana, od specjalisty, dowiedzieć, jakie są potrzebne formalności...

- Tak, formalności! - przerwał mój przyjaciel. - Zawsze formalności!... Nic bez formalności...

- Jakie są potrzebne formalności do zawiązania towarzystwa gimnastycznego?

Mój przyjaciel zzieleniał.

- Co?... towarzystwa?... Jakiego towarzystwa? - Magda! - krzyknął do służącej - stań przy drzwiach! - O jakim pan mówisz towarzystwie?...

- Kto go zawiązał: krajowcy czy zagraniczni?... Wszystkie towarzystwa są zakazane. - Spiszemy protokół!...

- Ależ, drogi przyjacielu - odparłem - to nie jest towarzystwo zakazane, tylko: gimnastyczne. Przecież gimnastyki uczą w wojsku, w szkołach...

- Dobrze! Więc to wojskowi chcą założyć towarzystwo?...

- Nie - cywilni.

- Kramoła! - szepnął mój przyjaciel.

- Cóż znaczy ta kramoła? - spytałem.

- Kramoła znaczy: wszystko to, co robią kramolszczyki - odparł z tajemniczą miną.

- A cóż znaczy kramolszczyk?

- A kramolszczyk oznacza takiego, który robi kramoła.

- Aha! Ale co będzie z naszym towarzystwem gimnastycznym?

- Spisze się protokół, zrobi się raport, potem pójdziecie pod sąd...

- A potem dostaniemy koncesję?

- Nie ma koncesji - odparł mój przyjaciel.

- Cóż by komu przeszkadzało - rzekłem - towarzystwo złożone ze statecznych ludzi, którzy by biegali, skakali, dźwigali ciężary, wywracali koziołki?...

- Ludzie stateczni - przerwał - nie skaczą i nie wywracają koziołków, tylko - pracują!

Ten ekonomiczny pogląd na świat bardzo mnie ucieszył. Nie dalej bowiem jak przed kilkoma dniami otrzymałem list od p. Michała J., czeladnika krawieckiego, który w imieniu kolegów prosi dzienniki, ażeby wystarały się o pozwolenie na, pewną spółkę ekonomiczną.

List miałem przy sobie i podałem go memu przyjacielowi.

Stary wyjadacz przede wszystkim uchylił pierwszą kartkę, jak gdyby spodziewał się znaleźć coś pod nią. Był to odruch ogólnie urzędowy. Po czym nastąpiły badania specjalne. Mój przyjaciel nagrzewał list nad lampą, nacierał go chemicznymi odczynnikami, przewracał, miętosił - i - w końcu bardzo zasmucił się, nie znalazłszy nic podejrzanego.

- Cóż on pisze w tym liście? - zapytał mój przyjaciel.

- Przeczytaj pan!

Mój przyjaciel spojrzał na mnie jak Jowisz z Olimpu.

- Nigdy - rzekł obrażony - nie czytywałem odpieczętowanych listów!

Złożywszy cichy hołd tej drażliwości honoru, począłem mówić:

- W liście tym czeladnik skarży się na brak pomocy w razie biedy. Jeżeli który z nich zachoruje, a nie chce iść do szpitala, tylko leczy się w domu, wówczas nie otrzymuje żadnej zapomogi od cechu. Toż samo dzieje się w wypadku bezrobocia.

- To mnie nic nie obchodzi!

- Wiem - odparłem. - Ale czeladnicy pragną założyć swoje własne stowarzyszenie, które by zależało wprost od rządu...

- Tak - tylko od rządu!... To jacyś lojalni ludzie.

- Pragną, ażeby gospodarz towarzystwa był przez nich wybierany...

Co za wybory? ... Nie ma wyborów!... To jakieś kramolszczyki...

- Bójże się pan Boga! - przerwałem mu. - Przecież istnieją wybory w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim, Miejskim, u „Merkurego”, w Dobroczyńności...

- Prawda, że istnieją! - zawołał. - Toteż co wyrabiają...

- Gdzie?...

- A Kijów, A Elizawetgrad?...

- Więc pan posądzasz nasze Towarzystwa Kredytowe o robienie bezładu w Elizawetgradzie?...

- Nie posądzam! - odparł. - Ja tylko robię uwagę. Chce się wam wyborów, macie wybory!... Judenheca, pożary, żuk zbożowy, susza, filoksera... Oto wybory!...

- Ależ, kochany przyjacielu - rzekłem - czeladnicy nie mają racji klepać biedy za to, że gdzieś żuki zjadają zasiewy.

Mój przyjaciel zaperzył się.

- Co tam gadać o biedzie!... U nas nie ma biedy, tylko są ludzie niespokojnych umysłów, wrogi porządku. Zachciewa im się stowarzyszeń, widzicie ich!... Do kozy wszystkich, tam będziecie mieli stowarzyszenie...

Widząc, że się z nim nie dogadam, pożegnałem go. Na odchodne serdecznie mnie uściskał i rzekł głosem, w którym drgało uczucie:

- Mój drogi przyjacielu! bardzo załuję, że cię już nie mam prawa aresztować...

Tacy to byli mężowie dawnego autoramentu. Wszystkich podejrzewać, we wszystkim wymacywać społeczne niebezpieczeństwa - oto ich dewiza.

Zdawało im się, że pakując do kozy, oni „stwarzają porządek”. Każda rzecz musiała nosić ich stempel i być przewidziana w ich rubrykach. Co zaś nie znajdowało się w tych rubrykach, nosiło nazwę nieporządku.

Dziś zmieniają się czasy. Najwyższe władze państwa na czele swego programu wypisały „pracę organiczną”, podniesienie materialnych i moralnych sił ludności.

Przy świetle tego programu inaczej przedstawiają się społeczne fakta. I tak. Gimnastyka potęguje siły fizyczne jednostki. Gdyby zaś, za pomocą gimnastyki, każdy mieszkaniec tego kraju powiększył swoje siły tylko o dwa funty, wówczas państwo zyskałoby 14 milionów funtów sił, co w formie pracy wytworzyłoby setki milionów rubli.

Młodzież, oddając się gimnastyce, mniej trwoniłaby czasu po knajpach, a zatem - mniej marnowano by sił. Zaś uczciwa rozrywka i nowe potrzeby stanowiłyby nowy bodziec do użytecznej pracy.

Nareszcie ludzie wygimnastykowani, idąc do wojska, w krótszym czasie obeznawaliby się z militarnymi ćwiczeniami. Jest to pewnik, że Bismarck i Moltke tylko zużytkowali materiał, jaki wytworzył się w Niemczech pod wpływem dobrych szkół, towarzystw gimnastycznych, śpiewackich, pływackich i im podobnych.

Słowem - nie „towarzystwo gimnastyczne”, o które od tylu lat bezskutecznie prosimy, jest kramołą, ale - brak towarzystwa gimnastycznego. Ten brak, dzięki któremu w naszych miastach widzimy coraz więcej ludzi wątłych, wybladłych, chorowitych, nerwowych, którym skutkiem nienormalnego fizycznego rozwoju obmierzło życie!

A cóż dopiero mówić o towarzystwach ekonomicznych, takich jak to, do którego wzdychają czeladnicy krawieccy?...

Bo niech się tylko zastanowi każdy człowiek, w którym nadmiar gorliwości nie zabił zdrowego rozsądku, który z dwu robotników będzie stanowił lepszy materiał dla nieporządku:

Czy ten, który żyje w stowarzyszeniu, w związku z innymi- czy ten, który przepędza czas w nieznanym a niekiedy - złym otoczeniu?

Czy ten, który w chwilach wolnych od pracy przyjdzie do dobrze urządzonej gospody, tam zabawi się z kolegami lub przeczyta książkę i pisma - czy ten, który musi przesiadywać w knajpach i ażeby go nie wypędzono stamtąd, pić obrzydliwe piwo?

Czy w końcu ten robotnik skory będzie do nieporządków, który w razie potrzeby znajdzie tanią pożyczkę, a w razie choroby koleżeńskie wsparcie - czy też ten, pozbawiony wszelkiej opieki parias, którego choroba robi nędzarzem, lichwa - niewolnikiem, a bezrobocie popycha do występku?

Niech nad pytaniami tymi zastanowią się wszyscy ludzie dobrej woli i niech powiedzą: czy stowarzyszenia, bądź ekonomiczne, bądź gimnastyczne, śpiewackie, pływackie itd. stanowią stratę czy zysk dla społeczeństwa i państwa?...

Miejmy nadzieję, że wkrótce zmienią się te stosunki. Upoważnia nas do tego nie tylko program najwyższych władz państwa, ale i korzystne zmiany, jakie od paru lat spostrzegamy w zachowywaniu się tak ważnego organu, jakim jest policja.

Kiedy dzisiejszy p. oberpolicmajster obejmował swój urząd, wydał wówczas cyrkularz, napisany mniej więcej w tym duchu, że: policja winna służyć, nie zaś panować nad społeczeństwem, pomagać - nie zaś przeszkadzać w dobrych czynach.

Na okólnik ten cała prasa zwróciła uwagę.

Upłynęło parę lat i otóż przekonaliśmy się, że pięknie napisany okólnik powoli przenika całą policyjną organizację. Dzisiejszy

milicjant nie jest już groźnym baszą, ale przyzwoitym urzędnikiem, który oddaje publiczności pożyteczne usługi. Dawniej widywaliśmy masy policji tam, gdzie nie była potrzebna, dziś coraz częściej spotykamy ją tam, gdzie jest niezbędna. Dawniej rozpędzanie przechodniów, wrzaski i podejrzenia stanowiły główną cechę policyjnych czynności; dziś miejsce tego zajmuje grzeczność, czujność i powściągliwość. Uczciwy lud warszawski został nareszcie zrozumianym i należycie ocenionym. Toteż dziś wśród kilkunastutysięcznych tłumów prawie nie widać policji, ale pomimo to czuje się, że ona jest i że żaden niewczesny figiel nie ukryje się przed jej okiem.

Co wywołało tę pożądaną zmianę? Oto zrozumienie zasady, że policja, zamiast niepokoić kilkaset tysięcy dobrych obywateli, powinna czuwać nad krokami nielicznej garstki kieszonkowych złodziei, awanturników i warchołów, jakich nie brak żadnemu miastu. Od tej też chwila czuć w sztabie policyjnym silne tętno, w całym korpusie mądry kierunek, a w społeczeństwie - spokój.

Pewni jesteśmy, że taka policja nie będzie upatrywać kramoły w stowarzyszeniach i spółkach, które w niejednym razie tylko uprościłyby jej ciężką pracę.

Onego czasu - mówi legenda - w państwie chińskim na publicznym gościńcu utworzyła się wąska przepaść, przez którą żadnym sposobem nie można było rzucić mostu. Podróżni, nie mogąc przechodzić, przeskakiwali ową szczelinę.

Na nieszczęście, fakt ten doszedł do wiedzy uczonych mandarynów, którzy od wieków lubią wsadzać nos w cudze sprawy. Nie podobało im się mianowicie to, że Chińczycy skaczą „bez przepisów”, więc ułożyli regulamin skakania, grożąc ciężkimi karami wszystkim, którzy ośmieliliby się skakać przez przepaść inaczej aniżeli tak, jak stało w wydanym przez nich podręczniku.

Istotnie, Chińczycy zaczęli skakać wedle przepisów - i - wszyscy powpadali w jamę.

Podobny wypadek chińskiej uczoneści podziwialiśmy niedawno w Warszawie.

Do tej pory każdy śmiertelnik wiedział sam, że lód z mykw, rynsztoków, miejsc ustępowych jest rzeczą niezdrową, że lód taki nie powinien być używany, a zatem i zwożony do lochów.

Tymczasem pan inspektor lekarski, w celu wykonania uczonej operacji, pozwolił zwozić podobny lód do składów. Gdy zaś pisma lekarskie przypomniały mu, że taki lód jest szkodliwy dla zdrowia, odparł:

- Ja też w celu, ażeby takiego lodu nie używano do potraw, kazałem go polewać naftą!...

Bardzo słusznie, a nade wszystko - bardzo uczenie. Ale po co, u paralusza, lód ten był wyrąbywany i zwożony, kiedy jest tak zły, że aż go trzeba polewać naftą? i jaki może zrobić interes właściciel składu, jeżeli naprzód płaci za transport lodu, a potem za naftę, ażeby następnie i lód, i naftę wyrzucić?...

Czy nie było prościej przywieźć od razu czysty lód i nie narażać się na kosztą polewania go naftą?...

Wprawdzie teoria pana inspektora lekarskiego umożliwiła zarobek woźnicom i handlarzom nafty. Jeżeli jednak będzie rozwijana w dalszym ciągu, to wkrótce na niejednym z naszych straganów przeczytamy następujące ogłoszenie:

„Tu sprzedaje się niewypieczony chleb, stęchła mąka, zgniłe ryby i zepsute mięso...”

A u spodu małymi literami dopisek:

„polewane naftą”.

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 145

Kronika tygodniowa - Kurier Warszawski, rok 1881, nr 145, dnia 2 lipca

Dziwowiska. - Dwaj magicy i ich polityczne role. - P. Donato i jego rola naukowa. - Wystawa sztuki stosowanej do przemysłu i jej rola społeczna. - Pomnożony i ulepszony program takich wystaw. - Marki oszczędnościowe dla... podmajstrzych. - Znowu p. Landau i znowu szmerek!...

W historii naszego miasta niezatartymi głoskami zapisze się miniony tydzień. Mieliśmy dwu magików, jednego magnetyzera, jedno medium, kilkudziesięciu „magnetycznych” współpracowników - wystawę sztuki stosowanej do rzemiosł - i - ażeby już nie brakło niczego - kometę!...

Ci, którzy nie widzieli żadnej z wymienionych osobliwości, niechaj spróbują przeczytać powyższy ustęp jednym tchem, a zrozumieją - ilu doświadczyliśmy wrażeń.

Dzięki przyrodzonej tępości, już w dzieciństwie nie mogłem pojąć: do czego służy magia i dla jakich celów pokazują się za biletami ludzie posiadający przywilej: nalewania z pustego, reparowania utłuczonych w mózdzierzu zegarków, mnożenia pieniędzy, wskrzeszania zabitych - kurcząt, przyklejania odciętych głów, słowem - robienia cudów.

Dziś wiem, dlaczego magicy występują na arenę „publicznej działalności”: robią to dla idei powszechnego dobra. Lecz znowu nie mogę zrozumieć, w jakim celu przypatrują się im widzowie?

Dopiero przypadkiem podsłuchana rozmowa rzuciła mi nieco światła na tę zagadkową kwestię.

- Po co ty chodzisz na Beckera? - pytał wuj siostrzeńca.

- Chciałem dowiedzieć się, ilu też jest naiwnych w Warszawie - odpowiedział siostrzan.

- Ilu żeś znalazł?

- Ośmset czterdziestu trzech.

- A siebie policzyłeś? Siostrzan zamilknął.

Otóż zdaje mi się, że każdy amator sztuk czarodziejskich odwiedza je tylko po to, żeby znaleźć owych ośmset czterdziestu trzech ... a siebie - opuścić w rachunku.

Jest to także pewien rodzaj satysfakcji.

Szczyście, w tegorocznych produkcjach magii prasa nasza ukazała głębszy fundament, kładąc nacisk na polskość p. Siedleckiego. Tym sposobem p. S. stał się przedstawicielem naszego patriotyzmu, a co idzie za tym p. Becker - widowym działaczem jeszcze nie skryształizowanej idei „zgody”. Ponieważ zaś na sztukach p. Beckera bywało więcej widzów, zatem wniosek oczywisty, że: w Kraju Przywiślańskim stronnictwo „zgody” rośnie w liczbę, a zapewne i w błogosławieństwo Boże.

Szkoda tylko, że „ugodowość” p. Beckera drożej kosztuje aniżeli patriotyczność p. Siedleckiego!...

Mam nadzieję, że kilka tych pobieżnych obserwacji posłużą korespondentowi „Nowego wremeni” za materiał do jego dalszych a zawsze głębokich studiów nad charakterystyką naszego społeczeństwa. Kto wie, może w powodzeniu p. Beckera pismo to znajdzie dowód „polskiej mądrości”, podobnie jak w innych tej samej wagi faktach odkryło dla siebie wystarczający dowód „polskiej głupoty”. Co się zaś tyczy nas, to z jednakowym uczuciem będziemy spoglądali i na patriotycznych, i na „ugodowych”, i na nieprzejednanych - szarlatanów.

Publiczność, wysypawszy trzyrubłówki i rubłówki na cuda pana Donato, nie ma już, biedaczka, dwuzłotówek na „wystawę sztuki stosowanej do rzemiosł” i dlatego odwiedza ją - półgębkiem. W każdej sali znajduje się więcej dozorców aniżeli gości, a okazji to już chyba więcej aniżeli włosów na wszystkich głowach.

Szkoda - podwójna szkoda!... Naprzód, cel wystawy zasługuje na najgorętsze poparcie, ponieważ ma ona być zawiązkiem stałego muzeum sztuki stosowanej do rzemiosł, które wlałoby nową duszę w nasze bardzo zacofane produkcje rękodzielnicze. A po wtóre - sama wystawa jest rzeczywiście ładna i nauczająca, byle tylko umiano ją oglądać.

Na nieszczęście, publiczność tyle ma ciekawości w tym kierunku, ile organizatorowie wystawy mieli sprytu do urządzenia jej.

Oto jest program, wedle którego ja urządziłbym podobną wystawę.

"Za pozwoleniem zwierzchności

Panowie A, B, C, profesorowie sztuki zastosowanej do przemysłu, będą mieli honor pokazać szanownej publiczności wielkie, niesłychane dotychczas widowisko.

1. Przy wejściu balety sprzedawać będzie p. X, który w czasie powstania Siuksów w Ameryce Północnej został przez nich tatuowany. Laski i parasole odbiera prawdziwy Murzyn, a katalogi sprzedaje panna Z, która z powodu licznych przygód miłosnych - szupasem wydalana była ze wszystkich europejskich stolic.

2. W sieni znajduje się zwierciadło czarodziejskie, w którym każdy będzie mógł zobaczyć swoją fizjognomię z wydłużonymi nieco uszami. Przy tej okazji goście ofiarujący naddatki usłyszą fanfarę wykonaną na pozytywce.

3. Salac ceramiczna. Tu znajduje się filiżanka, w której Lukrecja Borgia podała ojcu swemu truciznę, naczynie fajansowe Ludwika XIV, dzban kamienny wyrobiony w wieku XVI a przez wojewodę X rozbity na głowie kasztelana Y w wieku XVIII tudzież mnóstwo spodków, talerzy i filiżanek pokrytych nieobyčajnymi malowidłami.

W tej sali co pół godziny dawane będzie przedstawienie akrobatyczne, za wrzuceniem do puszek co łaska.

4. Sala z bronią. Tu znajduje się miecz katowski, którym ucięto głowę założycielowi jednej z najznakomitszych rodzin, tarcza zgubiona w bitwie pod Żwańcem, zbroja wykupiona z zastawu na Pocięgowie i inne osobliwości.

W tej sali prześwietną publiczność bawić będzie p. Tanti, za wrzuceniem do puszek co łaska.

W każdej zaś sali przystojni młodzi ludzie będą robili honory damom, a uprzejme panny - mężczyznom. Trzy muzyki wojskowe grać będą bez przerwy, a wieczorem na balkonie ukaże się światło elektryczne."

Myślę, że wystawa urządzona wedle powyższego programu urodziłaby nam trzy muzea.

Na obecnej wystawie istnieje jedna tylko przynęta, a mianowicie - zwiedzające ją kobiety. Muszę przyznać, że robiły mi one pewną dystrakcją. Gdym np. szukał „puszki z orzecha kokosowego na trzech nóżkach", znajdowałem jakąś kokosową blondyneczkę na dwu nóżkach - a gdym wyczytał w katalogu o „wanience miedzianej podługowatej dla dzieci, ozdobionej amorkami", wtedy oczy moje istotnie padały na rój amorków, krążących około jakiejś milutkiej bruneteczki.

W imieniu przyszłości naszego muzeum błagam was, o czytelnicy! ażebyście uczęszczali na wystawę w Bruhlowskim pałacu pilnie i gromadą. Znajdziecie tam wiele doskonałych dzieł ludzkich, którym

należy przypatrywać się z baczną uwagą. O mnie zaś, o mnie, który was naprowadziłem na tak wyborną drogę, zapomnijcie i pozwólcie, abym został między tymi niedoskonałymi dziełami boskimi, dla których - choćby szpilka we włosach już stanowi wystarczającą ozdobę. Nawet, dla dobra przemysłu, mogę i tę ostatnią szpilkę oddać do waszego muzeum - tak dalece nie jestem chytry!

Zanim przyszło muzeum zacząć rozlewać na nasze rękodzieła znajomość rysunku i modelarstwa, miło mi donieść, że zasadnicze pojęcia ekonomii już zaszczerpiły się między niektórymi klasami rzemieślników.

Wiadomo, że na hurtownym zakupywaniu artykułów spożywczych można robić znakomite oszczędności. Jedną bułkę chleba kupuje się za 22 grosze, ale sto bułek można by na upartego kupić za 10 rs, czyli oszczędzić rubla. Toż samo prawo rabatu i oszczędności stosuje się do wszelkich innych artykułów.

Wszelako jeden człowiek, osobliwie robotnik, nie może nic kupować hurtem, a zatem i brać rabatów. Lecz i na to wynaleziono sposób taki, że wszyscy robotnicy pracujący w jednej fabryce biorą u tego samego handlarza, a on - ustępuje rabat.

Ale jakim sposobem skłonić kilkudziesięciu robotników do tego, ażeby wszystko, co im potrzeba, brali w jednym sklepie?

Jest i na to środek. Nie daje się robotnikom gotówki, tylko - marki, które przyjmuje handlarz za gotówkę, a następnie przy ostatecznym rachunku ustępuje procent.

Prawda, że doskonały sposób oszczędzania?... Wynaleziono go właśnie u nas, w Warszawie, przy budowaniu kamienic. W sobotę nie płaci się robotnikom całego zarobku, tylko część, rozumie się, dla ochrony ich od świątecznej hulanki. Zaś w poniedziałek, ażeby nie pomarli z głodu i - nauczyli się oszczędności - daje się im marki do pewnego handlarza, który w zamian zaopatruje ich w chleb, śledzie, wódkę i piwo, a potem - płaci rabat.

Mechanizm, jak widzimy, nie pozostawia nic do życzenia. Szkoda tylko, że uprzywilejowany handlarz za marki wydaje robotnikom czerstwy chleb, kwaśne piwo i zepsute śledzie, a - oszczędności, porobione w ten sposób przez pracowników, sumiennie i według wszelkich prawideł dzielą między siebie - pisarze i podmajstrowie...

Właśnie odebraliśmy w tym duchu list od kilku murarzy, grabarzy i koźlarzy, pracujących przy budowie domów. Wszyscy oni „operację z markami” uważają za wyzyskiwanie i zapytują, do kogo udać się, aby temu zapobiegł: czy jeszcze do jakiej innej redakcji, czy też wprost do p. oberpolicmajstra?...

Ogłaszamy fakt do publicznej wiadomości z nadzieją, że znajdzie się ktoś, który z dobrym skutkiem zapobiegnie procederowi oszczędzania przez jednych na korzyść innych.

Nazwisko p. Landau, finansisty, nie od dziś dnia znane jest w literaturze periodycznej. Przed kilkoma miesiącami dowiedzieliśmy się, że p. L. dla oszczędności nie wysyłał za granicę pieniędzy pocztą, ale przez swego oficjalistę. W czasie jednej z takich wypraw oficjaliście temu, nazwiskiem Szmerek Reicenstein albo krócej: Szmerek, skradziono 150 tysięcy rubli.

Później tenże Szmerek, liczący dziś 72 lata wieku, a 26 służby u p. Landau, jako podejrzany o kradzież, dostał się do kryminału wraz ze swoim zięciem: N. Działoszyńskim, z profesji złotnikiem, i - z wnukiem: Szlamą Reicensteinem.

Następnie okazało się, że 150 tysięcy rs ukradł kto inny, więc aresztowanych uwolniono po pięciomiesięcznym więzieniu. Jednocześnie zaczęły chodzić wieści, że p. Landau, w celu wynagrodzenia krzywd wiernemu, ale nieszczęśliwemu oficjaliście, ma mu dać emeryturę, jego zaś zięciowi i wnukowi dopomóc do odzyskania tego, co stracili.

Nie koniec na tym. Wczoraj bowiem zgłosił się do mnie ów Szmerek z zięciem i doniósł, że pan Landau ofiarował im: rs 1350, wzięwszy pokwitowanie, że nie będą mieli do niego żadnej pretensji.

Ponieważ skrzywdzonych było trzech, a każdy siedział przez pięć miesięcy w kozie, suma więc ofiarowana wygląda tak, jak gdyby każdy z nich przez czas pobytu w kryminale służył u p. L. i brał 90 rs miesięcznej pensji.

Nie do nas należy kwestia posad u p. Landaua, zachodzi jednak pytanie:

Czy 1350 rs jest dostatecznym wynagrodzeniem dla starca, który w służbie u p. L. stracił zdrowie, a mógł stracić i życie?

Czy te same 1350 rs jest wynagrodzeniem dla jego zięcia, który, siedząc w kryminale, stracił swój proceder i w dodatku ogłuchł?

Czy te same 1350 rs jest wynagrodzeniem dla wnuka Szmereka, który również stracił zarobki, a nadto - zdrowie i podobno narzeczoną?

Czy znowu ciągle te same 1350 rs mają stanowić honorarium i dla całej licznej rodziny Szmereka, która straciła gotówkę i musiała wyprzedawać rzeczy?...

A wszystko to dlatego, że p. L. nie wysyła pieniędzy pocztą i nie zna moralnej wartości swoich oficjalistów, choć służą u niego po 26 lat!...

Gdyby istotnie Szmerek okradł pana L., a który z członków rodziny oskarżył go, wówczas familia ta straciłaby 72-letniego ojca, ale zyskałaby 10 000 rs przeznaczone przez L. temu, kto ujawni kradzież. Ale że Szmerek nie okradł p. L. i tylko wraz z zięciem i wnukiem odsiedział w kryminale pomyłkę swego chlebodawcy, więc dostał za to - 1350 rs.

Dziś jest rzeczą wiadomą, że z sumy uważanej za przepadła p. L. odzyskał 146 tysięcy rs. Pieniądze te zwrócił panu L. porządek społeczny. Godziłoby się więc, ażeby p. Landau nie łamał tego społecznego porządku, ofiarowując większe sumy współnikom złodziei aniżeli biedakom, którzy padli ofiarą jego nieogłędności.

Pan Landau ma opinią „solidnego finansisty”, czego zresztą dowiódł, wypłacając natychmiast skradzione mu 150 tysięcy rs. Szczerze jednak życzymy p. L., ażeby dla utrzymania swojej solidności nie wyrzekał się innego tytułu, który przynosi procent szacunku u ludzi.

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 151

Kronika tygodniowa - Kurier Warszawski, rok 1881, nr 151, dnia 9 lipca

Podróż jw. Jenerał -Gubernatora i stanowisko ludności. - O szkołach ogólnych i fachowych. - Orkiestra p. Noskowskiego. - Trudne położenie ociemniałych.

Podróż jw. naczelnika Królestwa Polskiego po zachodniej części kraju była pewnego rodzaju uroczystością. Między innymi na przybycie znakomitego gościa Łódź urządziła wystawę przemysłową, a Ciechocinek sypał kwiaty. Takie objawy szacunku dobrze musiały usposobić od dawna życzliwego krajowi dostojnika. W naturze i w ludzkim sercu każda akcja wywołuje reakcję, nie wątpimy więc, że jw. jenerał-gubernator niejednokrotnie pomyślał:

„Chciałbym też dla tych poczciwych ludzi zrobić coś użytecznego!...”

Jest to refleksja tak naturalna, tak konieczna, że skutkiem tego na całym świecie po objawach sympatii następuje sformułowanie jakichś legalnych żądań, a grzeczność robi się poniekąd wstępem do interesu.

Mam przekonanie, że naczelnik kraju gotów był w granicach możliwości hojnie opłacić spotykające go dowody sympatii i że musiał być niemało zdziwiony, przekonawszy się, iż owacje mają czysto platoniczny charakter.

Wiemy, że rzucano kwiaty, ale nie słyszeliśmy, ażeby co mówiono. Między witającymi, widać, zabrakło ludzi reprezentujących potrzeby okolic, przez które gość przejeżdżał i o których może rad był usłyszeć zdania wychodzące od miejscowej opinii.

Zdania te stanowiłyby pewien rodzaj egzaminu obywatelskiej dojrzałości, na którym można było dotknąć niejednej kwestii.

Naprzód, specjalnie co do Ciechocinka, tamtejsza inteligencja powinna była uprzytomnić sobie złe gospodarstwo w tej miejscowości. Ciechocinek ma obfite źródła solne, z których przy jakim takim ładzie można wydobywać miliony funtów soli rocznie. Tymczasem dziś produkcja soli jest umyślnie ograniczona, dwie tężnie ogromnym wzniesione nakładem - gniją, skarb traci, a w Królestwie Polskim sól angielska albo pruska jest tańsza od ciechocińskiej!...

W tymże Ciechocinku odkryto nie mniej obfite źródło żelaziste. Wiercenie jego pochłonęło kilka tysięcy rubli, utrzymanie mogłoby ściągnąć setki chorych i znowu przynieść skarbowi dochód. Ale... coś się stało i źródło zasypało kamieniami!

Po wtóre - inteligencja wiejska przy podobnym egzaminie mogła była przypomnieć sobie niektóre fakta z zakresu stosunków gminnych.

Już małe dzieci wiedzą o tym, że gminy nasze posiadają liberalną ustawę. Przede wszystkim sprawy ich załatwiać się powinny nie na rozkaz tej lub owej osobistości, ale przez głosowanie. Dalej - wójt nie powinien być sułtanem, ale wybieralnym urzędnikiem. Dalej - pisarz nie powinien być wezyrem, ale płatnym sługą gminy. Dalej - szkoła elementarna powinna znajdować się pod dozorem gminy i jak mówi dzisiejszy jw. minister oświecenia: „powinna utrzymywać ścisły związek z rodziną”.

Tymczasem w rzeczywistości tak nie jest, a prawa, nadane przez władze najwyższe, obchodzą się przez podrzędne figury.

Dzięki temu nasza gmina, zamiast być żywym organizmem, udaje rolę panny Lucylli, a jej opiekunowie - rolę magnetyzerów.

Istotnie, gminy są jakby zahipnotyzowane. Świadomości w nich nie ma. Jeżeli poruszają się, to tylko na rozkaz magnetyzera, wydany za pomocą tajemniczych manipulacyj. Gdy magnetyzer chce, gminy nie słyszą, nawet - rozporządzeń wyższej władzy. Gdy znowu chce, w niektórych organach budzi się tak ostry słuch, że słyszą, jak trawa

rośnie. A gdy znowu chce magnetyzer, gminy odpychają każdą zdrową radę z większą energią niż panna Lucylla czterech mężczyzn.

Ta chyba między panną Lucyllą i gminą zachodzi różnica, że pannę Lucyllę budzą co kilkanaście minut, a nasze gminy od kilkunastu lat znajdują się w stanie hipnotycznym.

Należało więc przy sposobności uprzytomnić sobie nasze biedne histeryczki. Należało przypomnieć sobie, w jaki sposób ludzie podpisują niezrozumiałe dla nich dokumenta - jakim cudem rachunki gminne obchodzą się bez kontroli, a szkoły bez opieki - w jaki nareszcie sposób, wbrew wyraźnej woli rządu, zerwały się wszelkie związki pomiędzy szkołą i rodziną! Tymczasem, o ile wiemy, nie zrobiono nic podobnego, składając tym sposobem wobec naczelnika kraju dowód gruntownej nieznajomości czy też obojętności dla spraw najbliższych.

Ładny popis, nie ma o czym mówić!...

Dla młodzieży gimnazjalnej rok szkolny skończył się mniej tragicznie aniżeli jego poprzednicy. Za jeden błąd w wypracowaniu nie zatrzymywano promocyj ani patentów, o rozwinięciu uczniów decydowali profesorowie, nie zaś rejestra i sławnej pamięci „średni stopień” - a nareszcie tyle rozdano medalów i nagród, ile „za dobrych czasów” - promocyj.

Swoją drogą, nie słyhać o żadnej głębszej reformie. Władze naukowe stoją jakby nieruchome wobec skutków działalności hr. Tołstoja, który na długi czas zamknął wrota do reform. Tak np. dopiero dzisiejsze ministerium zajmuje się: przygotowaniem nauczycieli mechaniki dla gimnazjów!... Wkrótce zapewne będzie musiało robić toż samo z nauczycielami do nauk przyrodniczych, jedynie dzięki temu, że spadły z etatu minister starożytnymi językami karmił państwo, które w jego oczach [nie] cierpiało z powodu braku oświeconych techników, rzemieślników, agronomów i im podobnych.

Oddawszy hołd systematowi hr. Tołstoja w kwestii naszych szkół publicznych, przechodzimy - jak mówi wójt z Czartowskiej ławy - do

porządku dziennego; szkoły te po dziś dzień są dla nas dość obojętne i tylko trzeba cieszyć się nadzieją, że kiedyś może będzie lepiej.

Bliżej nas obchodzą szkoły fachowe prywatne.

Na czele ich stoi: szkoła techniczna Drogi Żelaznej WarszawskoWiedeńskiej, która pod kierunkiem p. Wojny wciąż rozwija się, zarówno w postępach uczniów, jak i w wewnętrznej organizacji. Z początkiem szkolnego roku podzieli się ona na dwie szkoły: ogólną i techniczną, a to w celu lepszego przygotowania nowowstępujących i powiększenia czasu na wykłady fachowe.

Obok niej wspomnieć wypada o znacznie młodszej: szkole technicznej przy Drodze Żelaznej Warszawsko-Terespoiskiej. Dzięki pracy p. Dynowskiego i jego kolegów - instytucja ta doskonali się pomimo niedostatku funduszy i wielkiej odległości od Warszawy. Ostatni ten wzgląd powoduje, że nie tylko nauczyciele muszą być mniej punktualni w przychodzeniu na lekcje, ale i publiczność warszawska traktuje szkołę na Pradze jak sierotę. Nikt jej nie odwiedza, a mało kto wie o jej postępach i potrzebach!

Śmierć śp. Łapińskiego, pierwszego kierownika szkoły rzemieślniczej przy ul. Jasnej, nie wywarła, na szczęście, szkodliwego wpływu. Nowy przełożony, p. Kiihn, pracuje równie gorliwie, a co ważniejsza: rozszerza za pomocą kilku przedmiotów program nauk teoretycznych.

Trzeba Warszawie oddać sprawiedliwość, że i ta instytucja obchodzi ją niewiele. I prędzej podobno doczekamy się przytułku dla pensjonowanych nierządnic, dla złodziei publicznego grosza aniżeli - nowych szkół rzemieślniczych na wzór tej, jaką założył dr Natanson, a utrzymuje kilkanaście osób dobrej woli. Majątki tych osób są niewyczerpanym źródłem rozmaitych instytucyj publicznego użytku, o których zwykle mówi się, że je „utworzyła Warszawa”.

Tymczasem „Warszawa”, to jest: jej kilka tysięcy właścicieli domów, kilkanaście tysięcy majątnych kupców, fabrykantów, rzemieślników, lekarzy i adwokatów, wcale do tego nie przykładają ręki. Wprawdzie, gdyby chcieli, mogliby założyć i utrzymać dziesięć podobnych szkół,

ale - oni nie chcą, a nawet, ażeby nie ulec pokusie, nie zaglądną do szkoły przy ul. Jasnej.

Są to patrioci, dla których kraj powinien się robić sam, jak najwięcej kupować w ich kantorach i sklepach - i - od czasu do czasu - dawać prezenta im, ukochanym synom. Ty zaś, o kraju, który potrzebujesz pomocy od dziatki, sprzedaj na Pocięjowie swoją chwałę, a sam idź do Dobroczynności.

Praktyczność przede wszystkim!

P. Łopuski, przełożony prywatnej szkoły realnej z kierunkiem, chemicznym, zaprowadził u siebie za stosownym upoważnieniem kilka nowych zmian. Naprzód - zwiększył liczbę godzin chemii, co pozwoli uczniom lepiej zapoznać się z tą nauką. Po wtóre, otrzymał koncesję na otwarcie klasy siódmej, której słuchacze przez 9 godzin co tydzień będą pracowali w laboratorium, a nadto mają obeznac się: z miernictwem, niwelacją i budownictwem. Po trzecie - do tej siódmej klasy schodzić ma co roku komisja rządowa, egzaminować i wydawać młodzieńcom patenta, które pod względem praw porównują ich z uczniami odpowiednich zakładów rządowych.

Na tę wiadomość zwracamy uwagę rodziców.

Od czasu kiedy p. Zygmunt Noskowski darował mi bilet wolnego wejścia na koncerta w Szwajcarskiej Dolinie, stałem się - melomanem. Bywam na nich w piątek i świątek, w dzień pogodny i w słońce i nieraz mam tę przyjemność, że orkiestra, złożona z kilkudziesięciu osób, rozrzewnia tylko mnie tudzież dwudziestu innych paszporciarzy. Są bowiem epoki, w których sprzedaje się bodaj czy kilkanaście biletów!...

Uważam za obowiązek po raz drugi zwrócić publiczną uwagę na orkiestrę p. Noskowskiego. Czynię to zaś z kilku powodów.

Naprzód, p. Noskowski jest sam znakomitym kompozytorem. Nie wiem wprawdzie, na czym polega harmonia, co jest kontrapunkt, co „cień” a co „barwa” w muzyce, ale to wiem, że w kompozycji p. N. pt.

Morskie Oko słysząc szum wiatru wiejącego między górami, łoskot potoków, słysząc burzę, spokój - i - nie wiem, co jeszcze. Chwilami złudzenie jest tak wielkie, że gdyby nie głośnie rozmowy sąsiadów, myślałbym, że jestem w Zakopanem, i kazałbym podać sobie pstrąga i owczy serek.

Po wtóre, p. N. jest wybornym instrumencistą czy instrumentatorem. Na dowód czego proszę posłuchać Piosnkę żołnierza Moniuszki albo Zingarelli Górskiego, przerobioną na orkiestrę.

Po trzecie, pan N. zaznajamia nas z utworami polskich kompozytorów. Proszę panów Zarzyckich, Żeleńskich, Grossmanów, Hertzów, Kleczyńskich i innych, niech powiedzą: po ile miesięcy, jeżeli nie lat, każdy z nich czekać musiał, nim jaka orkiestra odegrała jego kompozycję, którą dziś z całą przyjemnością słuchamy po kilka razy na tydzień?

Trudne dotychczas były warunki dla naszych kompozytorów, bo cudzoziemiec tylko w ostateczności ozdabiał sympatycznymi ich nazwiskami swoją muzykalną spizarnię.

Warunki podobne nie zachęcały do pracy, bo i po cóż było zużywać siły na tworzenie tego, czego nikt nie miał słyszeć, chyba przypadkiem.

Myślę, że orkiestra Noskowskiego nie tylko powróci społeczeństwu melodie, które podsłuchał w nim geniusz kompozytorów, nie tylko spopularyzuje ich nazwiska, ale jeszcze zachęci do nowych prac.

Szranki już są otwarte, więc rozwijajcie skrzydła!... Niech się przekona świat, że i nasza muzyka posiada Matejków i Siemiradzkich.

Orkiestra p. Noskowskiego, która, mówiąc nawiasowo, co tydzień doskonali się, powinna by wyrównać nam jeszcze dwie inne szczyty.

Pierwszą z nich jest to, że kiedy pan N. musiał do kompletu sprowadzić 30 niemieckich artystów, w tym samym czasie polskie orkiestry zbierają laury w Cesarstwie. Nie przedsiębrały chyba żaden

dobry muzyk tak odległej podróży, gdyby w domu umiano zużytkować jego zdolności.

Dalej, narzekano na Konserwatorium, że mało kształci specjalistów na trąbach, fletach, kotłach itd. Że w Konserwatorium nie zasypiają gruszek w popiele, mieliśmy dowód na popisie. Zarząd tej szkoły uczy i podobno dobrze uczy, borykając się jednocześnie z brakiem funduszy, skutkiem czego nie ma na przykład za co kupować fortepianów i trąb.

Ale zarząd nie stworzy specjalistów. Któż brałby się do grania na trąbie lub innym orkiestrowym instrumencie, wiedząc z góry, że w kraju nawet na suchy chleb sztuką swoją nie zarobi?...

Dopiero orkiestra p. N. może ściągnąć tułających się w Cesarstwie specjalistów i wywołać odpowiedni ruch w Konserwatorium.

Słowem, orkiestra p. Noskowskiego dla stu powodów jest pożądanym u nas zjawiskiem, a popieranie jej należy do obywatelskich obowiązków.

A propos muzyki.

Nasz Instytut Ociemniałych rokrocznie z wielką pracą kształci także muzyków, którzy grając na fortepianie lub na skrzypcach w miejscach publicznej zabawy zdobywali sobie utrzymanie.

Jest to praca szlachetna i użyteczna.

Wszelako dziś dowiadujemy się z boku, że egzystencja ociemniałych muzyków zagrożona jest w sposób poważny. Biedaków tych od pewnego czasu rzadziej wzywają do bawaryj, restauracyj i ogródków, ponieważ weszły w modę cudzoziemskie arfiarki i tzw. „szansonetki”.

Trzeba się, nad tym zastanowić. Publiczność ma do wyboru jedno z dwojga: albo słuchać wcale dobrej gry ociemniałych i płacić im tylko za muzykę, albo słuchać kiepsko grających arfiarek, gadać im tłuste

koncepta, zrujnować ociemniałych i następnie wspierać ich jako nędzarzy.

Myślę, że ten drugi gatunek muzyki jest diabelnie kosztowny!...

Więc, mili bracia restauratorzy, bawarczycy, ogródkowicze i inni ojcowie rodzin, wyrzeknijcie się harfiarek!

Prawda, że kobieta, osobliwie przy dźwiękach muzyki, jest miłym stworzeniem, nawet wtedy, kiedy trzyma w garści arfę.

Wszelako nikt nie zaprzeczy, że roztropniej jest słuchać gry ociemniałego, ale za to we własnej garści trzymać kobietę bez muzykalnych dodatków...

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 157

Kronika tygodniowa - Kurier Warszawski, rok 1881, nr 157, dnia 16 lipca

Ruchliwość tegorocznej pory ogórkowej. - Co nam pokazała kometa. - Co obiecał, a co zrobił p. Berg - i – co pokazał jego uczeń. - Słótko o posadach z kaucją i o przedsiębiorstwach bez fundamentów. - Pytania pod adresem P. G. N., sprzedającego premiowe pożyczki. - Pamiętnik fizjograficzny, - P. Donato.

Lato w wielkich miastach nazywa się: porą martwą, podczas której drzewa usychają z braku wilgoci, a ludzie - z nudów. Od dawien dawna już w połowie lipca nudziliśmy się wszyscy, a jeżeli nie ziewaliśmy zbyt manifestacyjnie, to tylko z obawy, ażeby otwartych ust nie zasypywał nam piasek, tumanami włóczący się po warszawskich ulicach i ogrodach.

Dziś piasek na dobre zasypuje nam usta szeroko otwarte, nie z nudów, lecz - z podziwu. Rzeczywiście, nastały dziwne czasy, a najstarsi z naszego miasta nie pamiętają tak ożywionej „pory martwej” jak obecna.

Jeszcze nie zgasła na niebie kometa, a już na naszej ziemi zajaśniał p. Donato, wielki kapłan magnetyzmu. Jeszcze p. Donato nie zdążył przekonać się o doskonałej skrusze dra Wolberga, a już p. Berg, aeronauta, wysłał swego ucznia, p. Kulikowa, w podróż na drewnianym koniu po niebieskich szlakach. Jeszcze nie odbudowano drewnianego konia, który w pierwszej podróży nieco przemoczył sobie nogi, a już p. Berg obiecuje pokazać nam „damę w masce”, która, jak gdyby zabrakło innych narzędzi gwałtownego skonu, balonem chce osierocić Warszawę.

Słyszeliśmy, że na koszu, który nam porwie tajemniczą, a zapewne i uroczą nieznaną, będzie umieszczony napis:

„Dama w masce widziana z dołu.”

Upraszam p. Berga, ażeby na tę podróż raczył zarezerwować dla mnie miejsce w pierwszym rzędzie.

Dodajmy teraz świętojańską przeprowadzkę, parę nowych sztuk, dyfteritis, ospę naturalną, krytyki krytyk i odpowiedzi na odpowiedzi, a zrozumiemy, jaki jest ruch w mieście!

Wszystkiego narobiła kometa, o której pewna młoda matka tak rozmawiała z synkiem:

- Jeżeli Staś nie będzie grzeczny, to kometa zje ziemię i Stasia, i ojczulka, i mamę...

Staś spojrział między gwiazdy, ale - nie widząc u komety organów niezbędnych do połknięcia ziemi, mamy i ojczulka, spytał:

- A bo kometa wilk, żeby nas zjadła?...

- A wilk. Widzisz, jaki ma ogon...

- Aha!... A gdzie on ma gębę?

- Gębę ma „z tamtej strony” ogona.

- Z tamtej strony... A co on, ma „z tej strony”?... - spytał ukazując na najjaśniejszy punkt straszycła.

Mama przypatrzyła się uważnie, ale - nie odpowiedziała Stasiowi: co kometa ma z tej strony, najwidoczniejszej?

W każdym razie dla tych, którzy Warszawę uważają za najpiękniejszą, najweselszą i najmędrszą część świata, bolesnym musi być odkrycie, że do takiego miasta niebieski potwór obrócił się nie frontem, ale „tą stroną”.

Trzeba jednak mieć nadzieję, że powoli przyzwyczaimy się do podobnych owacyj, jakie zresztą wyprawiają nam nie tylko nadziemskie, ale i spokrewnione z nimi ziemskie moce.

Nie dalej jak we czwartek czytaliśmy następującą zapowiedź ze strony p. Berga, aeronauty:

„Druga nadpowietrzna podróż w zabudowaniach byłej wystawy na placu Ujazdowskim. Druga wielka letnia zabawa w połączeniu z «Corso» albo przejażdżką prywatnych ekwipaży naokoło bariery - i - nadpowietrzna podróż na jedwabnym balonie, którą odbędą dwaj amatorzy na własne żądanie przy dźwiękach dwu orkiestr wojskowych.”

Program obiecujący, ale - łatwiej obiecywać aniżeli dotrzymać!

Bo, naprzód, żaden balon, nawet należący do pana B., nie odbywa podróży „nadpowietrznych”, tylko zwykłe powietrzne.

Po wtóre - ten, kto nim podróżuje, nie podróżuje „na balonie”, lecz pod balonem.

Po trzecie - wcale nie pokazano nam, jakim sposobem można odbyć „nadpowietrzną podróż” w zabudowaniach (nawet wystawy).

Po czwarte - w „Corso”, czyli przejażdżce dokoła „bariery”, wcale nie przyjmowały udziału „prywatne ekwipaże”.

Natomiast uroczystą przechadzkę „dokoła bariery” zmuszeni byli wykonać wbrew „własnemu żądaniu” „dwaj amatorowie” jazdy balonem.

Po piąte - tyle razy wymienieni amatorowie (a właściwie starzy baloniarze!) mieli wprawdzie „własne żądanie”, ale nie tego, ażeby odbywać „«Corso» dokoła bariery przy dźwiękach dwu orkiestr wojskowych”, lecz tego, ażeby wzlecieć balonem, który... nie udźwignął ich, co obok umiejętności p. Berga stawia duży znak zapytania.

Druga przeto wielka zabawa wcale nie była zabawną, przynajmniej dla amatorów, ludzi wielce drażliwych, których nazwiska p. Berg wystawił na sztych.

Dla załatwienia kwestii sędziwy aeronauta wypuścił między obłoki... swego ucznia, który działając w duchu mistrza, uszczęśliwił nas na pożegnanie widokiem „tej strony” swojej zresztą sympatycznej osoby, co to była ubrana w buty i lekkie płócienne itd.

P. Berg jest niewątpliwie wytrawnym aeronauta, a p. Kulików - wesołym zuchem. Prosilibyśmy jednak pierwszego - ażeby przy następnych wycieczkach nie stawiał w fałszywym położeniu spokojnych ludzi, a drugiego - ażeby nie manifestował tych płóciennych dowodów swojej zręczności, które ani z góry, ani z boku, ani nawet z dołu widziane nie przedstawiają nic zaciekawiającego.

Powyższe uwagi nie powinny jednak krępować „zamaskowanej damy”, jeżeli takowa gdzie istnieje i jeżeli zechce „na własne żądanie, przy dźwiękach dwu orkiestr wojskowych” itd.

Dwaj „amatorowie nadpowietrznej podróży w zabudowaniach wystawy” przypominają mi innego amatora, ale już nie podróży, tylko pracy, który jak oni „na własne żądanie” dostał miejsce, złożył wadium i dziś odbywa po Warszawie „Corso” przy dźwiękach westchnień.

Jest to młody człowiek, Litwin. Czternaście lat służył przy jednej z dróg żelaznych w Cesarstwie, ale ponieważ zakulał na oczy, więc musiał szukać zarobku na innym polu.

Przyszła mu na myśl Warszawa, ta - jak mówił - matka nasza, która wszystkich przytula do piersi. Litwin jechał tu z biciem serca i rzeczywiście po niedługich poszukiwaniach został „przytulony” do pewnej początkującej instytucji!... Ażeby zaś lepiej zacieśnić węzły tej rodzinnej sympatii, zażądano od Litwina kaucji w kwocie 150 rs.

Nieborak złożył kaucję i otrzymał posadę z hałaśliwym tytułem: ekspedytora czy też odbieracza cennych posyłek. Ponieważ jednak cenne posyłki nie trafiały się zbyt często, można powiedzieć: prawie nigdy, więc Litwinek nosił tymczasem - zwykłe listy do pocztowych skrzynek.

Czynności te w innych instytucjach zwykli spełniać woźni, nie składający żadnej kaucji.

Takie „przytulenie” po upływie kilku tygodni wydało się Litwinowi podejrzanym. Poprosił więc o dymisję z urzędu ekspedytora cennych posyłek i - o zwrot kaucji.

Dymisję udzielono mu chętnie, lecz trudniej było z kaucją. Początkująca instytucja prowadziła tak skomplikowane interesa, że wycofanie z nich nawet 150 rs było hazardem...

W tym składzie rzeczy naczelnik instytucji podał Litwinowi projekt:

- Wiesz pan co - rzekł - załóż filię mojego interesu w Wilnie. Dam ci plenipotencję!...

Ponieważ bardzo łatwo jest zakładać „filie interesów” polegających na przyjmowaniu kaucji od urzędników, więc Litwin - zgodził się na projekt. Kazał nająć w Wilnie mieszkanie, wezwał do pomocy jakiegoś kuzyna (który rzucił skutkiem tego niezłą posadę) i zażądał stosownych plenipotencyj.

Ale „naczelnik” - nie miał prawa wydać plenipotencji, więc nie wydał jej...

Srodze zawiedziony Litwin, mając jeszcze na karku kuzyna, począł tym natarczywiej nalegać na zwrot kaucji. Lecz dopiero dzięki pośrednictwu innej „instytucji” odebrał rs 75, zapłaciwszy pośrednikowi około siedmiu rubli „komisowego”.

Zaś za pozostałe 75 rs „naczelnik” ofiarował swemu byłemu oficjalscie od cennych posyłek - rs 25.

Tak wszechstronnie został „oszlifowany” młody Litwin, który pragnął - przytulić się do piersi matki Warszawy!

Może za wiele miejsca poświęciłem opisowi drobnego wypadku. Miły Boże! wszak u nas „szlifują” co roku setki ludzi, nie na jakieś kiepskie ruble, ale na dziesiątki tysięcy!... Nie chodzi tu więc o fakt nadużycia, bo ono jest stare jak świat, ale o całkiem nowe zjawisko.

Od pewnego czasu mnożą się u nas drobne przedsiębiorstwa oparte na następujących zasadach:

1. Naczelnik interesu posiada tyle pieniędzy, ile ich zbierze za kaucje od swoich przyszłych urzędników.
2. Fachowa wiedza naczelnika zasada się na znajomości paryskiego akcentu, tańcowania i bawienia dam.

Pomimo to „naczelnik” z lekkim sercem bierze się do interesów, nawet wymagających nakładu, a co zabawniejsze, gotów wszystkim udzielać porady we wszystkich kwestiach, nie wyłączając: astronomii, medycyny, weterynarii itp.

Prawda, że do niejednej rzeczy biorą się ludzie ubodzy i nieprzygotowani, ale te ciężkie braki wynagradza z czasem ich praca, cierpliwość, przezorność. Na nieszczęście, w wielu naszych przedsiębiorstwach ani pracy, ani przezorności, ani cierpliwości nie ma. Żyje się w nich z dnia na dzień, bierze się z góry zaliczki i - nie wypełnia zobowiązań, zaciąga się długi i - nie myśli o zapłacie. Nacierających interesantów zbywa się grzecznym słówkiem albo odpowiedzią: „Nie ma pana w biurze.” Wierzycieli łagodzi się obietnicami. Dla ludzi miękkiego serca ma się na poczekaniu tyradę o ciężkich czasach i trudnych początkach, a dla twardych - ma się wymysły i pogróżki.

Wszystkie te działania nazywają się „prowadzeniem interesu”. W gruncie rzeczy są one systematycznym szwindlem, który sprawców doprowadzić musi do bankructwa, a naiwnych interesantów do ruiny.

Co zaś jest w tym najciekawszego, że niektórzy ludzie prowadzący zagmatwane interesa nie robią tego z planem, przez obmyślaną z góry przewrotność, ale - przez lekkomyślność. Niejeden z nich jest tak zwanym: dobrym chłopakiem, ale - nie rachuje się z dochodami, lubi żyć hucznie i - wpada w jamę, pociągając za sobą innych.

Potem dziwi się, a niekiedy doświadcza nawet wyrzutów sumienia!...

Wcześniej czy później prasa musi zwrócić uwagę na tego rodzaju przedsiębiorstwa, z których niejedno, czując kontrolę opinii publicznej, może wyrobić się, wejść na właściwą drogę i oddać usługi społeczeństwu. Podobna kontrola jest tym niezbędniejszą, że kraj wchodzi w epokę licznych przedsiębiorstw prywatnych, których gwałtownie potrzebuje, a które źle kierowane staną się nie kolebką, lecz grobem naszej pomyślności.

A więc, panowie - uwaga! Wy, co szukacie posad, dowiedzcie się pierwej: do jakich rąk idą wasze kaucje? Wy zaś, robiący za czyimś pośrednictwem interesa, zbadajcie wprzód: jakiej natury jest to pośrednictwo? Czy w nim miejsca kapitału nie zastępuje „słowo honoru”, a miejsca fachowej wiedzy - letkiewiczostwo?...

Przechodzimy do innego faktu.

Pan G. N. sprzedaje pożyczki premiowe na raty. Tym, którzy zapłacą pierwszą ratę, wydaje bardzo okazałe świadectwa, a za każdą następną ratę - kwit.

Na owym świadectwie znajduje się w końcu takie zdanie:

„Tylko moim własnoręcznym podpisem opatrzone kwity są dowodami.”

Otóż jeden z nabywców podobnego świadectwa zadaje p. G. N. następujące pytania:

1. Dlaczego na kwitach i na świadectwie opatrzonym podobnym warunkiem nie podpisuje się własnoręcznie p. G. N., lecz jego prokurent?
2. Dlaczego osoby żądające, ażeby p. G. N. podpisał się własnoręcznie, są wydrwiwane i wymyślane przez jego urzędników?
3. Czy p. G. N. świadectwa i kwity na pożyczkę premiową, podpisane przez swego prokurenta, uważa za obowiązujące dla siebie?

Prawie w dniu upadku czasopisma pt. „Przyroda i Przemysł” wyszła z druku ogromna i pięknie wydana książka pt. Pamiętnik fizjograficzny.

Jest to zbiór ściśle naukowych badań, dokonanych przez naszych uczonych rodaków nad naszym krajem dla pożytku tegoż kraju. Badania te dotyczą zjawisk meteorologicznych, jakimi są: ciepło i zimno, deszcz, grad, wichur. Dalej - stanu wód w Wiśle i niektórych jeziorach. Dalej - budowy skorupy ziemskiej tudzież jakości roślin i zwierząt z niektórych okolic. Nareszcie badania te zajmują się ludźmi, którzy zamieszkiwali lub zamieszkują ziemie nas obchodzące.

Naród, który nie zna siebie i swoich terytoriów, podobny jest do gospodyni nie znającej zapasów swojej spiżarni. Jest on dzieckiem między społeczeństwami, dzieckiem, które śpi na skarbach nie mając pojęcia o ich wartości, a naraża się na to, że ktoś inny zabierze mu skarby.

My znajdujemy się w tym położeniu, z jakiego wydobyć nas chce grono ludzi, oddających się cichej, ale niespożytej pracy. Ludzie ci nie tylko bezinteresownie poświęcają wielki swój trud dla publicznego dobra, ale jeszcze łożą znakomite koszta na wydanie książki, która może nie zwrócić nakładu.

Redakcją Pamiętnika zajęli się pp. Eugeniusz Dziewulski i Bronisław Znatowicz. Kto chce mieć pojęcie o ich pracy, niech przejrzy książkę.

Pamiętnik fizjograficzny prawdopodobnie rozejdzie się; czy jednak zachęci umysły do nowych badań? czy zrodzi w nich jakieś praktyczne poglądy? pokaże to przyszłość.

Tymczasem cieszymy się, że u nas pomimo nieprzychylnych warunków są jeszcze ludzie godni tytułu: sług nauki.

Nauka prawdziwa, wysoka, wybijająca się nad poziom interesu, to - eliksir wiecznej młodości dla społeczeństw. Nie ci są pewni jutra, którzy mają znakomitych kunsztmistrzów, bogatych handlarzy, szczęśliwych przedsiębiorców, ale dopiero ci, którzy mają wielkich uczonych, których oby nam Bóg dał jak najwięcej!

Ale skończmy z rzeczami ciężkimi.

Już cały świat wie, że bohaterem Warszawy jest od paru tygodni p. Donato, magnetyzer.

Jest to młody, niski i fertyczny brunecik. Podróżuje on z panną Lucyllą, swoim medium, i z p. Cassani, swoim sekretarzem. Oryginalna ta trójka w niemniej oryginalny sposób podzieliła się zajęciami.

I tak: Panna Lucylla śpi za trzy osoby.

P. Cassani - milczy za trzy osoby.

P. Donato zaś mówi za dwanaście osób, śmieje się za siebie, za swego sekretarza i za pannę Lucyllę, ukazując przy tym ładne zęby.

P. Donato wcale nie jest podobny do arcykapłana tajemniczego kultu. Na pierwszy rzut oka robi wrażenie przyjemnego szalawicy, który, jak to wiedzą wszystkie redakcje, mógłby być wybornym dziennikarzem, a w razie potrzeby - tenorem dramatycznym.

P. Donato ma żywe czarne oczy, czarne włosy, buzię jak krew z mlekiem, bystre spojrzenie i obiecujące wąsiki. Z tego powodu wiele

pełnoletnich dam chętnie poddałyby się jego mistycznym działaniom, ale - incognito.

P. Donato samemu sobie daje skromny tytuł uczonego badacza; namiętny zaś dr Wolberg nazwał go - blagierem.

Naprawdę p. D. uczonym może nie jest, a z pewnością nie jest blagierem. Obserwowaliśmy go dość uważnie i każdy z nas przyszedł do wniosku, że p. D. jest człowiekiem dobrej wiary i nadzwyczajnej biegłości w swoim fachu.

Jego magnetyzm czy donatyzm zdumiewa. P. D. po kilku próbach (z osobami odpowiednio wrażliwymi) w ciągu kilkunastu sekund tak ich opanowuje, że robi z nimi, co chce. Paraliżuje im członki, pozbawia czucia, odbiera i przywraca mowę, a nareszcie - wmawia w nich to, co mu się żywnie podoba, nie pozbawiając ich świadomości. Niektóre jego doświadczenia są po prostu przerażające.

Dopóki p. D. manipulował wyłącznie na pannie Lucylli, uważano go za szarlatana, a ją za wygimnastykowaną histeryczkę. Dziś po próbach z mieszkańcami Warszawy nikt już nie wątpi o tym, że p. D. pokazuje dotychczas nie znane nam, a bardzo doniosłe zjawiska.

Podobno przed wyjazdem p. D. ma zamiar wykonać niesłychanie ciekawe doświadczenia:

Naprzód - zmusi naszą arystokrację do tego, ażeby nie rozmawiała między sobą ani po francusku, ani po angielsku, ani po żydowsku, ale - po polsku.

Po drugie - w tęż arystokrację ma „wmówić”, że nie składa się ona ani z półkrwi Francuzów, ani z półkrwi Anglików, ale z rodowitych Polaków.

Po trzecie - p. Donato, mszcząc się na doktorze Wolbergu, który nazwał go blagierem, chce tegoż dra W. zrobić - zapalonym magnetyzerem.

Ostatnie wiadomości. Podobno dr W. już od kilku dni incognito oddaje się magnetyzerstwu. Co się zaś tyczy spolszczenia naszej arystokracji, o tym p. D. - zwątpił.

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 163

Kronika tygodniowa - Kurier Warszawski, rok 1881, nr 163, dnia 23 lipca

Požary i jedyny środek przeciw nim. - Znowu hojność p. Landaua i o możliwych jej następstwach. - Ogłoszenie o „niezależnym bycie” i rada dla szukających pracy.

Przed kilkoma dniami kolega nasz, pan A. R., zadał sobie pytanie: jakie też klęski w roku bieżącym wyrządziły pożary? I w odpowiedzi na to ogłosił w „Kurierze” straszną litanie, która obejmuje około stu nazwisk spalonych miast, miasteczek, wsi i lasów.

Z cyfr pana A. R. wypada, że od dnia 1 maja do połowy lipca samo Królestwo Polskie straciło w ogniu z górą trzy miliony rubli wartości i że w kraju tym około 40 tysięcy ludzi nie ma dziś dachu nad głową.

Czy klęska ta jest zjawiskiem nie przewidywanym? Bynajmniej. Powtarza się ona od kilkunastu lat tak prawidłowo, że już w r. 1875 czy 76 przepowiadano: ile strat poniesiemy od pożarów w latach następnych.

Zbytecznym byłoby dodawać, że przynajmniej od dziesięciu lat cała prasa z godną uwagi jednomyślnością „występuje przeciw pożarom”.

Co najwyżej, udało się parę razy dziennikarstwu wyżebrać dla pogorzalców mizerny zasiłek, który nie tylko nie pokrył strat, ale nawet nie zażegnał nędzy.

I rzeczywiście: jaki bogacz, jaki koncert, jaka składka mogłaby odbudować kilka tysięcy domów tudzież odziać i karmić przez pół roku czterdzieści tysięcy ludzi? Kraj bezsilnym jest wobec ogromu tej stałej klęski, przy której jednorazowy zalew Szegedyna albo trzęsienie ziemi w Zagrzebiu schodzą do rzędu drobiazgów.

Ta jest jeszcze, niestety, różnica między naszą a szegedyńską albo zagrzebską nędzą, że my ze swoją - kryć byśmy się powinni przed światem, bo ona dowodzi niemocy społecznej. Niemoc zaś - nie wywołuje sympatii!...

Oto nasz tegoroczny dorobek: trzy miliony rubli rzuconych w ogień - i - cała armia ludzi pozbawionych podstawy bytu. Ilu z nich wykształci się na żebraków, ilu zniedołężnieje, ilu nauczy się kraść i rozbijać, ilu zginie przed czasem?

A przecie w tych pożarach, które wytrawiają nasz społeczny organizm, niemało także traci skarb; myślę nawet, że setki tysięcy rubli rocznie.

Periodyczne jak bieg słońca klęski ogniowe są tym boleśniejsze, że społeczeństwo posiada zupełną ich świadomość. Alboż nic wiemy, co można zrobić dobrego za miliony rubli, bezpowrotnie tracone? Alboż nie rozumiemy, w jak opłakany sposób nędza demoralizuje ludzi, którzy wczoraj jeszcze posiadali chatę, pościel, bodaj dziurawą sukmanę, a dziś - mają upał i deszcze nad głową, a kość jałmużny w zębach?

Czy zresztą nie wiemy, że gdyby inaczej budowano chaty - gdyby mazano gliną ich dachy - gdyby zaprowadzano straże i narzędzia ogniowe - i gdyby w końcu - ubezpieczano się od klęski pożaru, to bez porównania mniejszy byłby jej rozmiar i skutki?

Wszystko to wiemy, lecz i któż nam zaprowadzi tak rozległe reformy? Z pewnością nie politycy z Grodziska, którzy dziś na przykład stawiają przeszkody do zawiązania straży ogniowej, choć podobno były już na ten cel zebrane pieniądze...

Gdzie są pieniądze i kto w Grodzisku będzie nosił owe medale, przeznaczone za pięcioletnią służbę w straży, jeżeli tamtejsi mężowie stanu tak skutecznie oponują przeciw ministerialnym rozporządzeniom?

Wobec pożarów kraj podobny jest do robaka rzuconego w szklanę. Co robak wypełza po szkłe parę milimetrów w górę, to znowu spada; co społeczeństwo wypracuje i zaoszczędzi przez zimę, to pożary zjedzą mu w lecie. I tak wciąż!

Przed kilkoma dniami zgłosił się do redakcji niejaki p. Piotr Wiśniewski, nie żaden początkujący literat, ale zwyczajny dozorca powązkowskiego cmentarza.

- Co pan sobie życzysz? - spytaliśmy go.

- Przyszedłem tu do łaski panów z jedną biedą...

- Co panu za bieda? Czy umarli włączą się po nocach?

- I... nie, proszę łaski, ale mi ludzie już nie chcą dawać zarobku, bo mówią, że wielki pan.

- A cóżeś to wygrał na loterii?

- I to nie, ale - złapałem dla pana Landau sto tysięcy rubli, więc inni mówią, że dużo od niego zarobił i że już pewnie nie będę dbał o dusze zmarłych.

- A możeś pan istotnie dużo zarobił i teraz innym odbierasz chleb?

- I to nie - odparł dozorca. - Dawał mi pan Landau z początku dziesięć rubli, potem piętnaście, a potem - dwadzieścia pięć. Ale nie wziął, ze strachu, żeby się te sto tysięcy rubli nie zawstydzily, i dziś - taki jestem biedny jak dawniej. Jeszcze nawet biedniejszy, bo mi ludzie nie dają roboty koło grobów i mówią: „Dostyc z ciebie, boś ty kupę zarobił od pana Landau...”

A żeby już raz skończyć z hojnością p. Landau, dodajemy: że pan L. owej kobiecie, która wydała sprawców kradzieży, zamiast obiecanych 10 000 rs, ofiarował 200 rs - i że p. L. tym, co ścigali złoczyńców, nie dał nic.

Pan Landau umie robić interesa. Zrobiwszy interes na Panu Bogu, który pozwolił mu odzyskać prawie całą sumę uronioną, zrobił następnie interes na tych, którzy pomogli mu do odzyskania majątku, a dziś robi interes na mnie, który w ciągu paru tygodni zmuszony jestem pisać mu już drugą reklamę!...

Może kto sądzi, że powyżej zacytowane dowody wspaniałomyślności pana L. stanowią sprawę prywatną, której nie należy rozmazywać po dziennikach.

Otóż myli się ten ktoś.

Czyny pana L. mają charakter działalności publicznej: sieją bowiem demoralizację nienawiść.

Przysłuchajmy się na przykład rozmowom w szynczkach, bawaryjkach i garkuchniach.

- Ho! ho! - mówią w jednym miejscu. - Ja, gdyby mi wpadł w ręce taki grosz, nie puściłbym go. Bo i po co?... Żeby mi dali 10 rubli znaleźnego albo i nic?... Przecież tak zrobił Landau...

- Co bogacz, to nic nie wart - mówią w innym miejscu. - Dasz mu do garści majątek, a on ci za to ciśnie parę rubli jak psu ochłap. Przecie tak w oczach zrobił Landau...

- Żyd zawsze cię okpi! - odpowiada trzeci. - Żebyś mu się jak najlepiej wysługiwał, to się na tym nie pozna. Oto macie, jak zrobił bankier z tymi, co mu znaleźli!...

Gdzieś w kąteczku siedzą dwaj złodzieje, którzy podzielili się świeżo zdobytym łupem, starszy zaś szepce do młodszego:

- A wydaj mnie, kundlu, wydaj!... Tak ci zapłacą jak bankier babie, co zdradziła swoich... Głupia! on jej dał 200 rubli, choć od tamtych się i w a j ę c y mogła dostać tysiąc...

Z szynczków, bawaryjek, garkuchni legenda o chciwych bogaczach, niesumiennych Żydach, źle wynagradzanych usługach rozchodzi się do lepierek, na poddasza, do suteryn...

I otóż padła nowa kropla nienawiści do Żydów, przybył nowy powód do pilnego ukrywania występków i - do słabego ich ścigania...

Gdy zaś potem kogo obedrą, społeczność dziwi się i mówi o „złych instynktach” ciemnego ludu. Ależ, kochane społeczeństwo! ten ciemny lud jest tylko rolą, w którą p. Landau w naszych oczach rzucił ziarna międzywyznaniowej niechęci, lekceważenia zobowiązań, niepłacenia za usługi, niewynagrodzenia krzywd.

W tych właśnie czasach zarząd Kolei Terespolskiej ogłosił 500 rs nagrody temu, kto wykryje sprawców zbrodni wykolejenia pociągu. Może między występnyimi znajduje się taki, który za 500 rubli wydałby swoich kolegów. Na szczęście dla nich. p. Landau dał mu publiczną lekcję rozumu i koleżeńskiej solidarności.

Niech więc Kolej Terespolska cofnie swoją dziecinną obietnicę. Na takie plewy, dzięki panu L., już się nasze wróble nie złapia!...

Aż z wołyńskiej guberni doszła do nas protestacja przeciw następującemu faktowi.

Pomiędzy ogłoszeniami jednego z dzienników znajdował się taki anons:

**BYT NIEZALEŻNY
OSOBOM INTELIGENTNYM, TAK NA WSI, JAK W MIEŚCIE,
WSKAZUJE SIĘ ZAJĘCIE POBOCZNE (?!)
PRZYNOSZĄCE OD 60 DO 100 RS MIESIĘCZNIE. ADRES ITD.**

Otóż jakiś Wołyniak, szukający „pobocznego zajęcia” z dochodem 60-100 rs, nie tylko wysłał list pod wskazanym adresem, ale nadto, na żądanie wynalazcy „bytu niezależnego”, posłał mu rs 5 - za sekret.

Czy mu odkryto sekret „niezależnego bytu z pobocznym zajęciem i pensją 60 do 100 rs miesięcznie” - i - jaki był ów sekret? nie wiem. W każdym razie Wołyniacy po wyprawieniu pięciu rubli zaczęli domyślać się figla i z niemałym pośpiechem wysłali do mnie list z prośbą, ażebym: Warszawę, cały kraj, a nawet cały świat - ostrzegł przed pułapką noszącą tytuł: „Byt niezależny, z zajęciem pobocznym”, itd.

Mnie ścisnęło się serce. Miły Boże! jaka u nas musi być bieda, jeżeli dla chwilowego odstraszenia jej - jeden sprzedaje, a drugi kupuje sekret „niezależnego bytu” itd.

Wnet jednak pocieszyłem się myślą, że nie mniejsza bieda musi być i w Petersburgu, gdzie - jak głoszą wieści - pewna Francuzka z półświata puszcza się na loterię, zapewniając wygrywającego, iż: „będzie mógł robić z nią wszystko... co się nie sprzeciwi prawu”.

Jeżeli taki jest warunek, to - nawiasowo mówiąc - zrobi z nią niewiele.

Ale o to mniejsza. W Petersburgu ludzie z biedy puszczają się na loterię, a u nas obiecują gruszki na wierzbie w formie: „niezależnego bytu z pobocznym zajęciem”. Przez chwilę pytałem się: co znaczy owo „potoczne zajęcie”? Czy polega ono na przemycaniu towarów, czy na fałszowaniu banknotów, czy może na pełnieniu urzędu „lektora” przy - jakiej pełnoletniej damie, której już nikt nie chciałby wygrać na loterii?...

Niebawem jednak zawstydziłem się mojej płochości. Istotnie, co mi tam do lektorów, sekretarzy, kuzynów i innych biedaków, okupujących za pomocą „pobocznego zajęcia” - „niezależny byt” z pensją 60 do 100 rs?L.

W sprawie tej nasuwa się nierównie ciekawszy punkt.

Dlaczego Wołyniak, na prosty anons, posłał nieznanemu osobie rs 5 za „sekret niezależnego bytu”?

Oto dlatego, że u nas jest wielu ludzi, którzy szukają pracy i - nie mogą jej znaleźć. Taki zaś człowiek gotów zaryzykować 5 a nawet 10 rubli za najmniejszy błysk nadziei, że pracę znajdzie.

Więc u nas istotnie nie ma „pracy”?

A nie ma, bo nie tylko jest zajęta każda posada, ale jeszcze na każdą posadę czeka kilkunastu kandydatów.

Więc tym sposobem u nas są już zaspokojone wszystkie potrzeby społeczne?

Bynajmniej. Jest mnóstwo nie zaspokojonych potrzeb, wprost dlatego, że - brakuje ludzi.

Tak, brakuje ludzi i między kandydatami do posad, i między tymi, którzy starają się o tytuł kandydata do posady, i między tym legionem, który na wszelkie tony żąda „pracy”, innymi słowy: utrzymania.

Dziwne to zjawisko, w którym z jednej strony leży stos nie tkniętych zajęć, a z drugiej - tłum ludzi szukających zajęcia, pochodzi stąd, że:

„u nas rzadko kto umie wymyślić sobie zajęcie samodzielne”.

Każdy czeka, ażeby mu dano do ręki pracę, a nikt jej nie umie stworzyć. Każdy czepia się jakiegoś biura, naczelnika, prezesa, ale nikt nie umie wejść na pole leżące odłogiem i tam założyć własne biuro, a siebie zrobić prezesem.

Objaśniając to, ludzie mówią, że: „brak nam sprytu”. Ja zaś myślę, że brak nam czego innego. I tak.

Każdy, kto „szuka pracy”, myśli tylko o sobie. Chce mieć taki a taki dochód, takie a takie stosunki, takie a takie wygody.

Tymczasem cóż się dzieje w społeczeństwie? Oto w społeczeństwie płacą prawie wyłącznie za użyteczność. Więc ten, kto chce być płatnym, mieć niezależny byt, musi być użytecznym, musi zaspakajać jakąś społeczną potrzebę.

Któż z was, o „panowie szukający pracy”, myślał kiedy, ażeby przede wszystkim stać się użytecznym? Kto z was badał najsilniejsze potrzeby społeczne? Kogo z was uczono: w jaki sposób zaspokoić owe potrzeby?...

W społeczeństwie człowiek ma o tyle rację bytu, o ile jest przydatny dla innych. Tymczasem ideał wszystkich jest ten, ażeby cały świat służył nam, my nikomu.

Jest to najstraszliwszy egoizm, który ogromną masę jednostek skazuje na zagładę.

A zatem wy, którzy szukacie pracy! oto bezpłatna recepta na znalezienie jej: „Nie myślcie o tym - mówi Chrystus - co będziecie jedli albo pili, ale - szukajcie królestwa Bożego” - czyli: starajcie się być użyteczni innym.

Upewniam zaś, że każdy, kto będzie szukał nie pensji, ale użyteczności, pozyska ów byt niezależny, do którego dziś na próżno wzdycha.

Pierwszego zaś, który na tej drodze znajdzie, czego szukał, upraszam, ażeby w nagrodę doniósł mi o tym listownie.

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 232

Kronika tygodniowa - Kurier Warszawski, rok 1881, nr 232, dnia 16 października

Wstępne konsyderacje. - Czy dużo straciła Warszawa na mojej nieobecności. - Najświeższe nasze tryumfy. - Czy kupowanie starych gratów jest zasługą obywatelską, czy też kwestią osobistego gustu. - Ciężkie ruchy Kasy Gubernialnej i – historia pewnego Żydka wobec podwójnej konieczności. - Brak domowych nauczycieli, stąd – Złe widoki na przyszłość i potrzeba kursów pedagogicznych.

Słyszę, że jakiś dr Tanner (przepraszam „nasz znany Tanner”...) przez 40 dni pościł i - schudł. Dziwna rzecz. Ja pościłem przez dwa miesiące i mówią mi, że utyłem. A zdaje się nawet, że dokonałem trudniejszej sztuki niż znakomity doktor: on bowiem wstrzymywał się tylko od pokarmów, ja zaś od czytania dzienników...

Prorokowano mi, że gdy oderwę usta od krynicy wszelkich ludzkich wiadomości - mogę zdziecinieć. Jest to prawdopodobne; nie powiem jednak, ażeby po powrocie na miejsce znalazł świat - trudniejszym do odgadnięcia niż dawniej. Zmiany więc, jakie we mnie zająć mogły, musiały być dwustronne!

Inna jeszcze troska męczyła mnie podczas dziennikarskiego postu. Oto - miewałem przecucia, że z chwilą, gdy złożę pióro, w kraju zalegnie wielka ciemność i ustanie wszelki ruch. (Przecucia takie niepokoją wszystkich prawie literatów...)

Toteż niekiedy wśród nocy zrywałem się z pościeli, nasłuchując, czy nie doleci mnie trzask walącego się społeczeństwa?... Zdawało mi się (jak zresztą nam wszystkim literatom), że wyjeżdżając na letnie mieszkanie zabrałem spokój i porządek społeczny do mego kufra, zaś do torby wszelką śmielszą ideę.

Szczęściem (za co niech będą dzięki Opatrzności!), nie zdarzyło się nic podobnego. Po powrocie znalazłem nie tylko nietkniętym porządek w kraju, ale nawet zafroterowaną podłogę w mieszkaniu. Co zaś najbardziej mnie ubodło, przekonałem się, że w dziennikarstwie pozostał ten sam co i pierwiej duch inicjatywy, ten sam zapał do licznych projektów, ta sarna wiara w wielkich tenorów, a nawet, że przez cały czas mojej nieobecności społeczeństwo odniosło kilka tryumfów.

I tak. Zaraz z pierwszych numerów pism, jakie mi wpadły w rękę, dowiedziałem się, że chciwi łupu Anglicy najechali Wołyń w celu wykupienia szkieleł, porcelany, brązów i innych historycznych zabytków z XVI wieku. Szczęściem, dzienniki w porę ostrzegły naród o niebezpieczeństwie i tak energicznie przedstawiły mu ważność szkieleł, porcelany i brązów dla publicznego dobra, że aż ktoś z krajowców wystąpił do licytacji z Anglikami na śmierć lub życie i owe nieocenione zadatki naszej przyszłej pomyślności wykupił za grube pieniądze.

Naturalnie - że kupno szkieleł, porcelany i brązów zapisane zostało między czyny niemałej wagi, zaraz na drugim miejscu po hymnach na cześć nieśmiertelnego tenora. Od tej chwili możemy być spokojni. Przyjazd do Warszawy takiego tenora i kupno na Wołyniu takiej porcelany są opatrznościowymi manewrami, które z tumanów dziejowej burzy wyprowadzają nawę ojczystą na spokojniejsze wody. Dziś przekonaliśmy już świat, że umiemy cenić genialny śpiew nawet wówczas, kiedy na nas skóra trzeszczy, i że w kwestii starej porcelany zwyciężamy nawet Anglików.

Gdy jeden z moich przyjaciół sprawił nowiuteńkie meble, kiedy drugi wynajął salon tak rozległy, że można by zamienić go na dom przedpogrzebowy, kiedy nareszcie ja sam u mego trzeciego przyjaciela i kolegi, p. Juszczyka, sprawiłem dwa i pół garnitury, o tym nikt nie napisał! A przecież i te meble, i ten salon przyniosły niewątpliwą korzyść ich nabywcom, a moje garnitury uratowały społeczeństwo - naturalnie, od widoku zneglizowanego człowieka.

Ale kiedy ktoś na Wołyniu zrobił sobie kosztowną przyjemność przez nabycie starej porcelany, zaraz o tym doniosły pisma!...

Dlaczego?

- A bo, widzisz, pamiątka przeszłości...

Przebóg! czyli tej przeszłości tak już mało mamy w głowach i piersiach, że dla przypominania jej sobie musimy aż przelicytowywać Anglików i za wszelką cenę kupować stare graty?...

- Ale bo - widzisz - takie rzeczy obchodzą cały kraj...

Jakie rzeczy?... Czy rzeźbione lub malowane półmiski, na których nikt nie jada, czy kufle, w które nie ma co wlewać, czy z zewnątrz ozdobne, a wewnątrz puste szkatułki?...

Co przyjdzie milionom chłopów, krociom rzemieślników, tysiącom uczniów, setkom uczonych z tego, że gdzieś tam ktoś w oszklonej szafie będzie dusił szkła, brązy i porcelanę - po kilkaset rubli sztuka?

- Ale bo, widzisz, ten nabywca „może” swoje zbiory oddać do muzeum, gdzie zdolni rzemieślnicy „może kiedy będą mieli sposobność” zapoznać się z nowymi formami, wyrabiać piękne rzeczy i - brać za to pieniądze...

A!... jeżeli nabywca odda swoje zbiory do muzeum, zamiast chować je w kącie, o sto mil odległym od ludzkiego oka, w takim razie - dokona czynu publicznej użyteczności. Ale dziś nie mamy jeszcze powodu błogosławić go za to, że „kupił brązy i porcelanę dla siebie”, bo w takim razie musielibyśmy stworzyć osobną rubrykę dla tych wszystkich dobrodziejów ojczyzny, którzy w każdej chwili „kupują” - „dla siebie” już to tuzin chustek, już pół tuzina skarpetek...

A dalej, kto wie, czy owe brązy i szkła, dobre dla bogaczy angielskich, nie są dla nas zbyt kosztownym nabytkiem? Wszak dzisiaj za niewielkie pieniądze kupują się najdokładniejsze podobizny rozmaitych arcydzieł. Może więc i lepiej zrobi ten, kto zamiast

ofiarowywać do muzeum jeden talerz za 100 rs, sprzeda ów talerz bogatym Anglikom, a za 100 rs kupi kilka wybornie naśladowanych przedmiotów sztuki i one ofiaruje do muzeum.

Nie zgadzacie się na takie poglądy?... To nie. Ja zostanę przy swoim, wy przy swoim, a - kasa gubernialna także przy swoim,

O kasie tej pisano już, i ja przed kilkoma miesiącami zetknąłem się tam z szeregiem niezwykłych manipulacyj.

Ktoś ma opłacić podatek. Naturalnie, idzie do kasy i jeżeli posiada czerstwą imaginację, wyobraża sobie, że 1. zapłaci podatek, 2. weźmie na niego kwit i 3. najwyżej za pół godziny będzie z powrotem.

Otóż zawiedzie się ten myśliciel.

Przede wszystkim bowiem w przedpokoju zapyta go woźny: za co chce płacić? i zawiadomi, że: trzeba do kasy podać odpowiednią notatkę.

Po wtóre - notatkę trzeba napisać na miejscu, bo i któż by wracał do domu dla podobnej marności?...

Po trzecie - notatkę z pieniędzmi trzeba oddać w kasie.

Po czwarte - trzeba czekać...

Po piąte - trzeba czekać...

Po szóste, po siódme i po dziesiąte, trzeba znowu czekać na kwit...

Czekałem, i wiem, jakie ponure myśli opanowują wtedy człowieka. Siedząc na ławce pełen trwogi i patrząc na stosy ksiąg, które wyglądały spoza drucianego przepierzenia, wyobrażałem sobie, że już umarł, że czekam na wyrok sądu szczegółowego i że przez te pół godziny... godzinę... dwie godziny... wyszukują w wiekuistych księgach - moich doczesnych sprawek i ważą mój los...

Piekielne ognie, wrząca smoła, diabły z bydlęcymi ogonami i - wieczność, nudna jak buchalteria potrójna, stały mi przed oczyma duszy. A gdym się ocknął przerażony i chciałem uciekać, błędny mój wzrok zawadził przypadkiem o ścianę, na której wisiało zawiadomienie, że: „kto przed wzięciem kwitu wyjdzie z sali, zapłaci 25 rubli kary”.

Zrozumiałem, że trzeba siedzieć.

W tej chwili spostrzegłem Żydka, który zachowywał się w sposób niezwykły. Był blady, drżały mu usta. Niekiedy zrywał się z ławki i krokiem wyrażającym niecofnione postanowienie szedł prędko ku drzwiom. Lecz ile razy spojrzął na złowrogie ogłoszenie, cofał się ode drzwi złamany, wracał się i padał na swoje miejsce z wyrazem silnego wewnętrznego skupienia.

Odgadłem, że toczy się jakaś walka między uczuciem utajonym w piersi tego człowieka i - siłą wyższą zawartą w ogłoszeniu.

Nagle starozakonny podniósł się znowu z ławy, w kornej postawie zbliżył się do ściany, na której wisiało ogłoszenie, i - schyliwszy przed nim głowę, rzekł półgłosem:

- Za przeproszeniem - ja zaraz wrócę!...

Potem już śmiało wyszedł, a w tej chwili i mnie oddano kwit.

Niezbyt dawno pewien wiejski szlachcic prosił mnie o wynalezienie „dobrego nauczyciela” dla jego synka. Ponieważ wiem, że interesant nieźle zapłaci i że nauczycielowi będzie u niego niezgorzej, więc - podjąłem się komisju.

Gdziem był w tym interesie, gdziem szukał, kogom pytał o „dobrego” nauczyciela - o to mniejsza. W rezultacie doszedłem do wniosku, że obecnie u nas brak jest nauczycieli. Chyba jakiś biedny uczeń, wydany ze szkoły za nieopłacenie wpisu, decyduje się jechać na wieś. Ludzie zaś dojrżeli, a tym bardziej wykwalifikowani i mający

poważne rekomendacje - przeciążeni są pracą i takie mają zarobki w Warszawie, jakich nie da im wieś.

Skąd wniosek, że w Warszawie można, choć dużym nakładem, kształcić dzieci, ale na prowincji - nie podobna. Prowincja ze swoimi milionami obywateli musi zostać tym, czym była: półsenną, apatyczną, bezmyślną dostarczycielką ziemniaków i wełny - jałowym polem, na którym bujnie kwitną tylko chwasty zatargów, wist lub preferans i - oczekiwanie na lepsze czasy!

Tymczasem wyglądana przyszłość nie nadchodzi, ale za to świat cwałuje naprzód. W Szwajcarii, w Niemczech, Francji nie ma prawie domu, w którym by dzieci nie uczyły się czytać, pisać i rachować; nie ma gminy, która by nie posiadała doskonałej szkoły z metodą pogładową. Miliony książek, rysunków i modeli, rozrzuconych pomiędzy lud, obznajmniają go ze skarbami przyrody, ze sposobami ich użytkowania, z wynalazkami ludzkiego geniuszu.

Tam umysł od dzieciństwa nasiąka wiedzą jak gąbka wodą, ćwiczy się we wzorowych szkołach i stowarzyszeniach. A kiedy bieda zmusi go do opuszczenia ojczyzny, wychodzi z niej zaostrzony i zahartowany i spada na barbarzyńskie kraje jak topór.

Później dziwimy się, że Niemiec albo Francuz, gdy przyszedł do nas nędzarzem, został magnatem, a jeżeli przywiózł ze sobą pieniądze, kupuje kopalnie, o których nie wiedzieliśmy, lub wznosi fabryki, o jakich nie mieliśmy pojęcia.

On może to robić, bo ma na oświatę, bo w jego kraju myślą nie tylko o hodowaniu bydła, ale i o przyszłości młodych pokoleń, bo tam nie tylko troszczą się o to, ażeby dziecko miało cały trzewik i pełny żołądek, ale i o to, ażeby miało wiedzę i ład w głowie.

Z drugiej strony, ileż to jest w naszym kraju takich zadań, których nie możemy rozwiązać sami, lecz mamy nadzieję, iż je rozwiążą nasi następcy?

Gdy dzisiejsze rolnictwo wydaje nędzne plony, mówimy, że przyszłość da nam światłej szych gospodarzy małych i wielkich, a oni - będą więcej zbierali niż my.

Gdy rękodziela znajdują się w upadku i ani mogą marzyć o walce z zagranicą, mówimy, że podniosą je nasi następcy. Gdy wielki przemysł znajduje się w obcych rękach, pocieszamy się, że opanują go ci nasi, dla których dziś - dopiero strugają się kołyski.

Gdy patrzymy na potęgę naukową obcych i dziwimy się obfitości ich praktycznych wynalazków, duch nadziei szepce nam, że kiedyś dogonią ich „nasze dzieci”.

Ile razy spojrzymy na bezmiar naszej ciemnoty [i] poczynamy tracić wiarę we własne siły, tyle razy przychodzi nam na myśl, że ci, którzy po nas nastąpią, będą liczniejsi, mędrsi, ruchliwsi, mocniejsi i że oni poruszą tę piramidę powszechnego zastoju, która nas tak dławi!...

Jacy oni?... Dzieci!... A skądże one mają być doskonalsze od nas, kiedy ich nie ma kto uczyć?... Czy już porodzą się z zębami i rozumem?... Czy po dojściu do pełnoletności zstąpi na nich Duch Święty, ażeby zapłacić te luki, które zostawi im nasza niedbałość jako jedyne dziedzictwo?

Sprawa zatem nauczycieli domowych posiada niezmierną doniosłość, znakomicie większą aniżeli przyjazd genialnego tenora. Ale co jest ważniejsze, że kwestię tę możemy już dzisiaj rozwiązywać.

Naprzód bowiem poszukiwanie nauczycieli domowych, a w dalszym ciągu miejskich i wiejskich, wciąż wzrasta i wzrastać będzie. Są więc posady nie zajęte, które z konieczności muszą się dobrze opłacać. A jakkolwiek obecne położenie, np. nauczyciela wiejskiego, nie jest świetnym, to przecie jest chyba lepsze od doli prowincjonalnych rzemieślników i drobnych rolników.

Nie trzeba tylko zbyt wysoko podnosić głowy, ukończywszy siedm klas, i nie myśleć o ministerialnej tece ani o przenicowaniu świata, ale o skromnej, uczciwej i pożytecznej służbie dla ogółu.

Po wtóre - mamy już jakie takie podręczniki pedagogiczne, przy pomocy których możemy lepiej uczyć dzieci, aniżeli uczono nas.

Po trzecie - jest mnóstwo młodych ludzi, którzy pokończyli po kilka klas lub całe gimnazja i nie wiedzą, do czego się wziąć. Jestem zaś przekonany, że pewien procent z nich byłby dobrym materiałem na nauczycieli nie wiejskich, ale domowych.

O cóż więc chodzi? O to, ażeby znalazła się instytucja, która zgromadziłaby w sobie i owych kandydatów na nauczycieli, i podręczniki pedagogiczne, i niezbędne informacje co do uzyskania świadectwa od dyrekcji naukowej, i nareszcie - rodziców, którzy potrzebują nauczycieli.

Nade wszystko zaś w instytucji tej: powinny odbywać się wykłady z zakresu pedagogiki.

W Warszawie nie brakuje pedagogów obeznanych z postępem nauki, na nich więc leży obowiązek zorganizowania kursów pedagogicznych. Potrzebne koncesje powinni wyrobić ludzie wpływowi, a pieniędzy dostarczy społeczeństwo.

Ale trzeba by się do tego wziąć zaraz, bo czas ucieka, a młode pokolenie dziczeje.

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 238

Kronika tygodniowa - Kurier Warszawski, rok 1881, nr 238, dnia 22 października

Ogólne i specjalne skutki wichru. - Uroczystość rozpoczęcia biegu tramwajów i narodzenia się wyrazu „kolejnice”. - P. Prezydent jako szachista; opis jego partii z Towarzystwem Desauskim. - Szczęśliwe zakończenie walki o piwo między p. Jungiem i drem Weinbergiem. - Miniona działalność Komisji Sanitarnej i przyszłe skutki instrumentu zwanego „uzdrawiaczem”. - O niedogodnościach letnich wakacji w Rymanowie. - Tajemnice pobytu Gambetty w Warszawie.

Tydzień, który udało się nam przeżyć, był obfity w wypadki: meteorologiczne, higieniczne, polityczne i społeczne, nie licząc policyjnych, bo te - nigdy nas nie zawodzą.

Do wypadków meteorologicznych należy - wielki uragan, który w Anglii tłukł okręty, ale w Warszawie, zarówno jak i w innych słowiańskich dzielnicach, poprzestał na zrywaniu szyldów i łamaniu gałęzi, już poprzednio kwalifikujących się do obcięcia. Drobne te szkody są wymownym świadectwem od dawna znanej prawdy, że nasza wzajemność słowiańska trzyma się, dzięki Bogu, mocno pomimo wszystkiego, co mówią nieprzyjaciele.

Swoją drogą wicher był silny. Słyszałem, że w samej Warszawie zdmuchnął on pewną liczbę serc, takąż samą liczbę kapeluszy, a jakiemuś mężowi młodej i podejrzliwej damulki nie pozwolił wrócić do domu wcześniej, aż - na drugi dzień rano. Okoliczność ta stała się nawet powodem sceny małżeńskiej, zakończonej przecie w sposób o tyle pokojowy, o ile zgodny z radami Kościoła i wymaganiami prawa.

Nie dosyć na tym. Tyle razy wymieniony wicher ułatwił stróżom zamiatanie ulic, a dorożkarzy skłonił do natrętniejszego upominania się na piwo przez cały następny tydzień.

Powiadają dalej, że jeden z „naszych współczesnych”, który ma zwyczaj nie domykać ust, idąc pod wicher - wydawał rzewne tony fletowe. Dodają nareszcie, że gdyby nie obcisłe stroje dam, to ludzie dojrzali mieliby w tym pamiętnym dniu wiele ukontentowania, a młodzi - byłiby pochopniejszymi do sakramentu małżeństwa.

Do wypadków warszawsko-społecznych należy przede wszystkim doniosły fakt otworzenia komunikacji tramwajowej albo, jak chce mieć p. Prószyński, kolej-nicowej. Wyraz ten wydaje mi się o tyle trafny, że istotnie nasza konna kolej była nicowana przez prasę. Przez chwilę zdawało się nawet, że między dwiema tymi potęgami dojdzie do zerwania i walki; prasa bowiem pisywała artykuły coraz krótsze, a zarząd „kolei-nicowanych” odpowiadał jeszcze krócej. Szczęściem, zażegnano burzę - i - pewnego dnia - świat ujrzał budzące szacunek figury przedstawicieli prasy w objęciach wagonów konnych, przystrojonych w wieńce i chorągiewki, symbole sławy i niewzruszoności zasad.

Cała ta olimpijska grupa była naprzód podziwiana przez Żydków na Muranowie, później przez tak zwanych „łobuzów” na placu Zygmunta, następnie przez kamelie z Nowego Świata i wreszcie - utonęła w znanych ze słowiańskiej gościnności salonach Doliny Szwajcarskiej, gdzie już do szczętu rozwiały się chmury nieporozumień.

Od tej chwili tramwaje oddają usługi publiczności, choć co prawda, nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać osoby, która by się do nich docisnęła. Jest to znak, że towarzystwo będzie robiło dobre interesy, gdy w zadawalniający sposób rozwiąże dwa następne zagadnienia arytmetyczne:

Jeżeli 56 wagonów nie wystarcza do obsłużenia Warszawy, to - ile jeszcze potrzeba ich sprowadzić z zagranicy?

Jeżeli na 56 wagonów przypada 47 koni, to - ile koni można użyć do jednego wagonu?

W każdym razie p. prezydent Warszawy robi wrażenie wytrawnego szachisty, który grał od razu trzy partie i grał je znakomicie. Pierwsza dotyczyła tramwajów v. „kolejnic” i tę wygrał najłatwiej, choć „wież” jest za mało, a „konie” kiepsko chodzą. Drugą partię, trudniejszą, bo z Towarzystwem Gazowym Desauskim, także wygrał. Trzecia z kanalizacją jest w połowie wygrana, ale - trzeba ją prowadzić do końca, bo może być remis!

Partia z Towarzystwem Desauskim była z tego względu ciekawą, że polegała na wprowadzeniu w błąd strony przeciwnej. Prezydent zapowiedział: „dam ci mata” przez dorobioną „królowę”, czyli za pomocą nowej fabryki gazu, w co Towarzystwo Desauskie z góry - uwierzyło!...

Wysunął tedy prezydent „pionka” nazywającego się: zerwaniem kontraktu, ale Towarzystwo Desauskie wzięło go „pionkiem” nienaruszalności kontraktu. Wysunął drugiego „pionka” w postaci specjalisty z Frankfurtu czy 7. Kolonii, tego pod eskortą policyjnych „laufrów” wpakował aż do fabryki Towarzystwa Desauskiego, a następnie pchnął naprzód całą czeredę „pionków” i „koników” w postaci komisji gazowej. Towarzystwo Desauskie traci głowę i „roszując” w „Gazecie Polskiej” ogłasza chęć niżenia ceny za gaz. Prezydent z komisją i dyrektorem oblicza koszt nowej budowy, ogląda plan, a nareszcie: „szach królowi!” - posyła ultimatum żądając niżenia ceny za gaz. Towarzystwo - oddaje za przegraną.

Tak więc nie dostało Towarzystwo „mata” za pomocą nowej fabryki gazu, ale podpisało lepsze dla miasta warunki, o co właśnie chodzi.

Odegrał się też w minionym tygodniu ostatni akt dramatu pt. Cnota wynagrodzona, czyli: piwo p. Junga wobec analizy dra Weinberga.

Dr Weinberg (jak wiadomo) analizował piwo z szynków, które (jak znowu o tym wszyscy wiedzą) odznacza się szpetnymi własnościami. Nic więc dziwnego, że uczony ten znalazł piwo złym; szkoda jednak, że nie hamując krewkości temperamentu posunął się o krok za daleko i imputował p. Jungowi, że takowy, zamiast jęczmienia, używa do swoich wyrobów - kartoflanego syropu.

Te kartoflano-syropowe gromy dra Weinberga wywołały skutek płomyków Ducha Świętego. Sędziwy przemysłowiec, który robi dobre piwo, ale podobno mówi kiepsko po polsku, pod ciosami analizy dra W. tak się rozruszał, że: napisał własnoręczny artykuł do dzienników wyborną polszczyzną, wzywając niebo, ziemię i policję na świadków swojej niewinności, a siebie i swoje piwo oddając pod opiekę i analizę wszystkim doczesnym i wiecznym mocom.

Stało się, jak żądał. Olimp municypalny wysłał trzech aniołów w postaci pp. Milicera, Pawlewskiego i Znatowicza, którzy za pomocą najrozmaitszych barw, pian, ciężarów gatunkowych, fosforów, smaków i posmaków dowiedli, że: piwo p. Junga jest robione uczciwie.

Wobec takiego oświadczenia dr Weinberg musiał ustąpić i uczynił to w sposób metodyczny. Naprzód zrobił rzut oka na różnicę pomiędzy szynkiem i browarem, następnie w krótkim poglądzie na własną biografię przypomniał epokę, w której on sam: „własnymi rękami sztuki na mielcuchu przerabiał, w kadzi zacierowej orał i piwo w kotle gotował”. Ująwszy sobie tym retorycznym zwrotem serce pana Junga, a stosownym komplementem dwu chemików, z wielkim ferworem zaatakował trzeciego z nich, p. Pawlewskiego - i - zakończył rzecz skromną uwagą, że bądź co bądź - jego pogład na piwo szynkarskie przyczynił się do wyświeatlenia poważnej kwestii społecznej.

Krótko mówiąc, z tej zawilej sprawy wszyscy wyszli dobrze, a najlepiej p. Jung, który nie tylko otrzymał sławę znakomitego piwowara, ale jeszcze zdobył ostrogi dziennikarskie. Na nieszczęście, nowy nasz kolega zapomniał uświetnić wypadku tego braterską ucztą, przy której moglibyśmy ocenić: o ile periodyczne utwory jego browaru - stoją na wysokości jednorazowego wybuchu jego literackiej muzy?

„Kwestia społeczna” Weinberg - Jung et Comp. wprowadza nas na szeroko dziś rozlane po Warszawie morze - stosunków higienicznych.

Wiadomo, że dzięki szkarlatynie, ospie, dyfterytowi i kilku innym plagom, w mieście naszym umiera dziś więcej osób, aniżeli się rodzi. Stan taki, trwający mniej więcej od lipca, wywołał wielki ruch w sferach municypalnych. Ojcowie miasta spostrzegłszy, co w ich owczarni dokazują epidemie, naprzód osłupieli - i - nic nie robili z osłupienia. Potem - ochłonęli i znowu nic nie robili, następnie zauważali, że naprędce nic robić nie można, i tym razem nic nie zrobili, aż w końcu wpadli na myśl, że samo się to jakoś wyrówna, i znowu nic nie robili, skutkiem roztropnego wyczekiwania.

Nareszcie dzięki wdaniu się policji, zwołane zostało konsylium sanitarne, złożone (o ilem słyszał) z kilku niespecjalistów i paru właścicieli kamienic, reprezentujących tu nader ważny element poczucia obywatelskich obowiązków.

Słuszność nakazuje wyznać, że komisja, pragnąc wynagrodzić spóźnienie, ogarnęła wcale szeroki horyzont stosunków sanitarnych i na kilku pierwszych sesjach zajęła się niezbędnymi dla zdrowia - reformami pocztowymi. Wydało się jej bowiem, że tak ciężko nawiedzone miasto powinno przynajmniej być wolne od opłaty jednokopiejkowych kart, na których lekarze donosiliby o pomyślnym rozwoju szkarlatyny.

Załatwiwszy się z tą kwestią, komisja doszła do wniosku, że dla dobra ogółu należy uformować komendę dezynfekcyjną. Ponieważ zaś chorych w mieście bywa co dzień po kilkudziesięciu i każdy z nich mógłby zaledwie przez parę minut doświadczać błogich skutków odwaniania, proponujemy więc, ażeby komenda ta otrzymała nazwę: latającej komendy dezynfekcyjnej.

Zbytecznym byłoby dodawać, że ceremonia dezynfekcji dzieli się na dwie operacje, z których jedna dotyczy osób, druga miejsc.

Określono też, które osoby i w jakich miejscach mają być odwaniane.

Zauważano nareszcie, że ponieważ każdy fach musi posiadać odpowiednie narzędzia, więc i dezynfekcyjna komenda winna być zaopatrzoną w stosowny przyrząd, podobny do sikawki. Maszynę taką

lekarze nazywają pulweryzátorem, który to wyraz niczego nie uczy, a co gorsze, jest cudzoziemski. Proponuję więc, ażeby sanitarna sikawka, mająca przywrócić zdrowie i wesołość miastu, została nazwana: „uzdrawiaczem”. Nie wątpię, że taki „uzdrawiacz”, we właściwych miejscach i umiejętnie stosowany, po upływie niejakiego czasu przywróci w zaludnieniu miasta równowagę, którą, niestety! zerwała nienormalna śmiertelność.

Co będzie jednak, jeżeli najskrupulatniejsze stosowanie „uzdrawiacza” do mieszkań nawiedzonych przez epidemię nie wyda oczekiwanego rezultatu i nie wyniszczy chorób? Wówczas powiemy, że zaraza kryje się - w bieliźnie, i musimy mianować komendę do prania bielizny, a dalej - do kąpania i mycia osób, których niechlujstwo sprzyja rozwojowi choroby.

A jeżeli i to nie pomoże, co wtedy będzie?... Ha! zapewne damy spokój odwanianiu, opieraniu, myciu i kąpaniu wszystkich mieszkańców miasta, ale natomiast zaczniemy rozmyślać o sposobach: nauczania ludzi tego, ażeby sami się myli i swoje mieszkania oczyszczali, dając, co najwyżej, ubogim narzędzia i materiały potrzebne do dezynfekcji.

Otóż sądzę, że tą kwestią należałoby się zająć. W sprawach sanitarnych nie wychodzimy z zaklętego koła: czy to mówiąc o kanalizacji, czy o dezynfekcji osób i mieszkań, czy o komendach i narzędziach. Sęk jest w tym, że żadna w świecie komenda nie podoła skutkom zakorzenionego i powszechnego niechlujstwa. Tu potrzebne jest działanie jakiegoś stowarzyszenia czy stowarzyszeń, które by zrobiły artykuł wiary z czystości fizycznej, czystości tej nauczwały i obmyślały najtańsze i najdokładniejsze sposoby osiągnięcia jej.

Policja, co najwięcej, powinna by czuwać nad skutkami działalności takich towarzystw i - okładać karami niechlujów. Niechlujstwo bowiem jest do pewnego stopnia rozbojem, dzięki któremu ofiary padają nie od pałki i noża, ale od miazmatów starannie pielęgnowanych przez osoby lubujące się w brudach.

A propos higieny, miło mi zauważyć, że w wysokim stopniu praktyczny projekt dra Markiewicza, o wysyłaniu ubogich chłopców miejskich na wakacje na wieś, w najzacniejszym sercu hrabiny Stanisławowej Potockiej znalazł odgłos - dość niepraktyczny.

Szanowna pani ta ofiarowała na przyszłe wakacje wiejski swój dwór dla przyjęcia pewnej liczby uczniów z Warszawy. Szlachetny to zamiar, godny naśladowania przykład!... ale cóż z niego, kiedy dom hrabiny leży w Rymanowie, w Galicji, a każdy jadący stąd uczeń musiałby dopłacić najmniej 10 rubli za paszport!...

Gdyby dostojna przedstawicielka arystokracji raczyła uwzględnić nasz głos, to ośmieliłbym się zrobić jedną uwagę. Czy nie będzie lepiej, jeżeli pani hrabina otworzy dom swój w Rymanowie dla ubogich uczniów ze Lwowa, Krakowa, Tarnowa itd., a uczniów warszawskich pozostawi hojności arystokracji miejscowej? Któż bowiem zapewni, czy która z naszych bogatych dam, zachęcona przykładem rymanowskiej pani, nie umyśli zaprosić do Królestwa uczniów z Galicji, co razem z zaprosinami poprzednimi utworzyłoby dość oryginalnego kadryla?...

Ale dajmy spokój mieszaniu się do cudzej ofiarności, tym więcej, że nam jeszcze pozostał ważny fakt.

Podobno był w Warszawie Gambetta!...

Nie wiem, czy to prawda, ale - kilku moich przyjaciół widziało bardzo poważne znaki na niebie i ziemi. Mianowicie na niebie zauważyła pewnego wieczora dym, w obfitych kłębach unoszący się nad jedną z pierwszorzędných restauracyj. Dzięki odnośnym stosunkom poinformowali się, że dym wychodził z kuchennego pieca i że w tym lokalu była przygotowywana kolacja z szampanem, w duchu doraźnego zjednoczenia wszystkich stronnictw.

Jakoż tego samego dnia, po zachodzie słońca, dostrzeżono na ziemi przedstawicieli najrozmaitszych opinij, którzy pojedynczo, po dwóch, po trzech wsuwali się do domu, skąd dym szedł. Po czym jedni wieszali paltoty na kołkach klerykalno-arystokratyczno-ziemiańskich,

drudzy na postępowo-demokratyczno-mieszczańskich, a byli i tacy, którzy kładli paltoty wprost na ziemi, jeżeli dla swego konserwatyzmu albo radykalizmu nie mogli znaleźć właściwego miejsca na wieszadłach.

Wszyscy jednak szli wspólnymi schodami, na najwyższym zakręcie których miał (jak mówią) stać sam Gambetta. Co zaś ważniejsze, że szli nie po to, ażeby jego zobaczyć, ale ażeby się jemu pokazać, co znowu stało się - podobno - z następnej racji.

Ma Gambetta w Paryżu niebezpiecznego współzawodnika w osobie niejakiego La Croix. Bywało - co Gambetta wymyśli z polityki jednej nocy, to na drugi dzień już to samo pisze mu La Croix w paryskim „Kurierze Porannym”. Albo - wyjdzie Gambetta na mównicę i prawi tam pięć godzin, aż wnet po nim wychodzi La Croix i mówi siedm godzin bez zajknięcia, jakby wodę lał. Na mowach Gambetty niektórzy ludzie mdleli, ale na mowach La Croix'a niektórzy wprost chorowali, i to dość ciężko.

Otóż jednego dnia rzekł Gambetta do La Croix'a:

- Mój kolego i bracie, skądś ty się, u licha, taki wziął?
- Prosto z Warszawy! - mówi La Croix.
- Proszę! A gdzieżeś ty się tak gadać nauczył? - pyta Gambetta.
- My tak wszyscy gadamy - mówi La Croix.
- Proszę!... A którądyż to się jedzie do tej Warszawy? - pyta Gambetta.
- Można Drogą Bydgoską, a można i Wiedeńską, jak komu wypadnie - mówi La Croix.

Na drugi dzień po tej rozmowie Gambetta zniknął i nie opamiętał się aż w Warszawie na kolacji.

O tej kolacji, a właściwie o polityczno-oratorskich studiach Gambetty, opowiadał mi jeden z moich przyjaciół, który był w salonie, to jest bywał w salonie, głównie podczas ustawiania krzeseł, podawania herbaty, zmieniania talerzy.

Oto, co mówił.

Pokazano Gambecie plikę gazet i przekonano go liczbą wierszy, że u nas najwięcej pisze się o polityce zagranicznej.

- No, a jakże ze sprawami wewnętrznymi? - pyta Gambetta.

- To głupstwo! - rzekł mu jeden. - Bierze się sól karlsbadzką i - jertigl...

Gambetta pokręcił głową i następnie prosił obecnych, ażeby mu wyłożyli swoje poglądy na politykę zagraniczną. Wystąpiło ze trzydziestu oświadczając, że gdyby mu taka liczba poglądów nie wystarczyła, to można jeszcze zawołać paru gości z dolnych salonów albo kilku przechodniów z ulicy.

Gambetta powiedział, że trzydziestu wystarczy. Po czym owi zaczęli go objaśniać: z prawej strony, z lewej strony, naprzód i w tył. Przyszły pierwszy minister Francji w ogóle nic nie mówił; a gdy wzięto się do wykładania mu jego własnej polityki, był widać tak zdumiony trafnością uwag, że co chwilę brał się za głowę i szeptał:

- Jezu!... Jezu!...

Potem odpoczął, oblał sobie głowę zimną wodą, napił się trochę szampana zabarwionego czerwonym winem i prosił, ażeby go zapoznano z mówcami.

Tu zdarzył się niezwykły wypadek: w sali znajdowało się tylko trzydziestu przedstawicieli zasadniczo różnych stronnictw, ale na karcie zapisano przeszło trzysta głosów. Gambetta zwrócił uwagę, że panowie ci mogą się powtarzać, ale umilkł, gdy mu odpowiedzieli chórem, że każdy może o tej samej rzeczy mówić bodaj dziesięć razy,

za każdym razem zupełnie co innego, a to w celu dopełnienia stronnictw brakujących.

Przy wyborze tematów zgodzono się, że wypada mówić tylko o rzeczach abstrakcyjnych, przy których najlepiej uwydatnia się siła argumentacji, nie sztuka bowiem grać na namiętnościach!... Jakoż wybrano tematy następujące: O różnicy między ciepłym i letnim. O podobieństwie między zimnym i gorącym - i inne w tym duchu.

Tu dopiero nasz talent zajaśniał w pełnym blasku. Mowy płynęły jak kaskada, układając się w niezliczone kombinacje. To dwaj oratorowie mówili jednocześnie, a każdy o czym innym; to spierali się i polemizowali z sobą o rzecz, na którą każdy zgadzał się w zasadzie. Czasami oponent z góry zbijał mowę, której jeszcze nie słyszał; czasem, gdy jeden mówił, drugi zatykał sobie uszy, a gdy tamten nagle urwał, ten zaczynał, sam nie wiedząc o czym, choćby od połowy nie dokończonego wyrazu, i ciągnął rzecz dalej.

Jeden wypowiedział nawet całą mowę od końca.

A wszystko płynnie, bez błędu, z jednakowym sensem.

Kiedy skończyło się posiedzenie, Gambetta ledwie zipsał; potem schwycił za kapelusz i prędko wybiegł, zdaje się, wprost na kolej. Obecni wyprowadzili z tego wniosek, że Gambettcie tak zaimponowała nasza inteligencja, iż z zazdrości nie zdążył nawet podziękować za kolację.

Nikogo to nie zdziwiło, już bowiem dawno przestaliśmy oglądać się na Francję w ogóle, a na Gambettę w szczególności.

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 244

Kronika tygodniowa - Kurier Warszawski, rok 1881, nr 244, dnia 29 października

O podobieństwie między znikającym Towarzystwem Opieki nad Zwierzętami - I – Rodząca się nauka rzemiosł dla więźniów. - O tym, co się u nas stało w październiku.- Wnioski dla inteligencji. - Znowu o resursie dla rzemieślników. - Burmistrze w miasteczkach i burmistrzostwo w szpitalach. - Słódko o robiącym bokami Towarzystwie Muzycznym. - Koncertowe wspomnienia chłopca.

Jeżeli, czytelniku, nie nasyciłeś się jeszcze takimi frykasami, jak: polityczne wiadomości z ostatniej poczty, artykuły wstępne, rozporządzenia rządowe, nowiny krajowe i miejskie i im podobne - to zapraszam cię do postnej kuchni.

Na zupełną mogę ofiarować dwie - pogłoski. Oto naprzód - słyhać, że Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami „zwija interes”, czyli - przestaje opiekować się zwierzętami, podobno z braku poparcia ze strony ludzi. Po wtóre zaś, ma być zaprowadzona nauka rzemiosł, ale - w kryminałach.

No - jakaż zupa?... Nie możecie w niej dopatrzeć smaku? Więc pomogę wam, naśladując tych grzecznych restauratorów, którzy na pytanie:

- A co to za pomyjki?... odpowiadają z uśmiechem:

- To jest - doskonały rosółek z drobiu!

Czy Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami było instytucją złą, szkodliwą albo brzydką?...

Bynajmniej, a nawet przeciwnie, było instytucją streszczającą w sobie wcale szlachetne uczucia.

Bo i któryż uczciwy człowiek nie doznał przykrości na widok opuszczonego psa, co ledwie stojąc na nogach, pije wodę z rynsztoka? Kto na targu praskim nie żałował nieszczęsnych wołów, chudych, głodnych, zalęknionych, grzęznących po kolana w błocie? Kto nie litował się nad nędzną krową albo nad wątłym i okaleczonym koniem, którego biciem zmuszano do dźwigania ciężaru nad siły?...

Nie dość na tym, ponieważ oprócz uczucia litości nad dręczonym zwierzęciem, każdy z nich miał jeszcze tę wiedzę, że: człowiek, im troskliwiej pielęgnuje nieme stworzenia, tym większy ciągnie z nich pożytek. Że syta krowa da więcej mleka, tęgi koń lepiej pracuje, czerstwy wół ma posilniejsze mięso, strzeżony pies jest mniej niebezpieczny w razie wścieklizny.

Zatem i uczucie, i rozum sympatyzowały z celami Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Zatem my wszyscy posiadaliśmy kwalifikacje na członków tego Towarzystwa, które jednak upadło. Upadło - dla „braku ogólnego poparcia”!...

Skąd to pochodzi?

Oto z tej racji, że Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami pomimo szlachetnych celów stanowiło pewnego rodzaju kontrast wobec niemniej szlachetnych, ale - ważniejszych potrzeb społecznych.

- Jak to! - mówił niejeden. - Więc współczucie dla głodnego psa albo chorego konia tworzy sobie specjalną instytucję w tej samej chwili, kiedy setki opuszczonych ludzi ginie z braku opieki? Więc kilkadziesiąt świątłych osób naradzają się nad sposobami zabijania wołów wówczas, gdy nikt nie myśli o trudnościach, jakie spotykają w życiu setki tysięcy rzemieślników i miliony chłopów?...

Takie przeciwstawienie miłosierdzia dla zwierząt obojętności dla ludzi, tyle przynajmniej nieszczęśliwych co one, w niejednych oczach wyglądało jak żarty z człowieczego rodu. I z tej właśnie przyczyny Towarzystwo nie znalazło w społeczeństwie poparcia. Robiło ono takie wrażenie jak piękne jabłko przyczepione do potrzaskanego

drzewa, któremu należało przede wszystkim podierać gałęzie, a dopiero później przyozdabiać je.

Wypadek ten powinien być nauką. Społeczeństwo ma tysiące potrzeb materialnych i moralnych, ale dopóki nie zaspokoi najważniejszych, dopóty będzie odpychało najpiękniejsze. Robi ono jak głodny człowiek, który gdy nie może doprosić się o suchy kawałek chleba, odrzuca ofiarowane mu błyszczące piórko.

Nieledwie takim samym przeciwieństwem społecznych potrzeb zdaje się być pogłoska o „nauczaniu rzemiosł w więzieniach”.

- Jak to! - zawoła niejeden. - Zatem mamy troszczyć się więcej o kształcenie złodziejów i rozbójników aniżeli o uczciwych ludzi? Kto pracuje nad nauką kilka lat, nie jest pewny, z czego będzie żył; ale kto kilka lat odsiedzi w kryminale, dostanie w nagrodę rzemiosło... Po cóż więc troszczyć się o wychowanie dzieci, jeżeli każde z nich, byle popełniło cięższy występki, otrzyma edukację fachową w więzieniu!...

Krótko mówiąc: dobrze jest, ażeby przestępca, zamiast próżnować, pracował w więzieniu; dobrze jest, ażeby wyszedł z niego udoskonalonym. Ale źle jest, że dbając o zbrodniarzy, nie dość pamiętamy o tym wielomilionowym tłumie, który walczy z biedą i nie może doczekać się ani poparcia, ani oświaty, nawet takiej, jaką otrzymuje kajdaniarz.

Wszystko to, rozumie się, piszę pod adresem inteligencji, czyli: majątnych i ukształconych klas narodu. Czas wielki zająć się ubogimi i ciemnymi w epoce, która proteguje zwierzęta i chce uczyć - zbrodniarzy!...

Czas wielki, bo tak zwane „niższe klasy” z roku na rok dziczeją. A na dowód tego przytoczę choćby listę występków, jakie zdarzały się w ciągu kilkunastu dni bieżących miesiąca.

I tak.

W dniu dziesiątym w lasach olkuskich zabito strzelca Soleckiego.

W dniu dwunastym w Sławęcinie (powiat koniński) podpalono folwark.

Okolo tegoż czasu był dokonany napad na karczmę w Konarach (powiat jędrzejowski), połączony z rabunkiem i udręczeniem karczmarki.

W tych również czasach w Trzeszczanach (powiat hrubieszowski) skradziono sreber za 3 600 rs.

W nocy z siedemnastego na osiemnasty trzynastu uzbrojonych opryszków napadło na plebanią w Ulanach (powiat łukowski), gdzie skradli 4000 rs.

W ciągu dwudziestego, dwudziestego pierwszego i dwudziestego drugiego miało miejsce w Warszawie siedm bójek z ciężkimi okaleczeniami.

Nieco wcześniej pod Krośniewicami, w powiecie kutnowskim, parobek zabił dzierzawcę łopata, a dwudziestego drugiego we wsi Klikowie (gubernia radomska) zastrzelono Alfreda Lipskiego, właściciela majątku.

Złowroga ta litania jest drobną częścią tego, co stało się w październiku, a cóż dopiero w ciągu roku!

W każdym razie już i ta drobnostka ilustruje pewnik, że nienawiść, nieposzanowanie osób i chęć zysku, choćby kosztem największej krzywdy bliźniego, robią u nas postępy...

W co obróci się społeczeństwo, jeżeli podobne wypadki pójdą naprzód, krokiem coraz szybszym? Co się stanie z tysiącami rubli i srebrnymi naczyniami, jeżeli jedna noc wystarczy do zagrabienia ich? Gdzie będą folwarki, jeżeli zaczną je coraz częściej podpalać?... Co się stanie z inteligencją kraju, jeżeli na usunięcie jej wystarcza strzał przez okno albo łopata parobka?...

Dzieje się w tym wszystkim straszna rzecz, którąśmy od kilku lat przewidywali. Nie myślano o losie "ciemnego gminu", nie chciano walać rękawiczek o jego łachmany, i otóż dziś - te same łachmany przychodzą do naszych pieniędzy, sreber, ba! nawet do czupryn!...

Już tych, którzy w ciągu kilkunastu lat stali się hultajami, nikt nie przerobi. Ale pozostają dzieci, które trzeba ratować od zabójczych wpływów, trzeba poprawić. Wszakże p. generał-gubernator wezwał inteligencję wiejską do zakładania ochronek. Gdzież one są? Czyż dla naszej inteligencji za mało jeszcze zbójców; czy jeszcze nie widzą grozy w tym fakcie, że dziś ludność wiejska poczyna ukrywać złodziei i podpalaczy?...

Prawo, policja, sądy nic tu nie poradzą, jeżeli złe przybierze tak szerokie rozmiary. Już dziś przepełnione są więzienia; za kilkanaście lat wypadnie chyba kościoły przerabiać na kryminały.

Tyle do inteligencji wiejskiej. Bogate i oświecone mieszczaństwo ma także twardy orzech do zgryzienia.

Oto, jak uczy statystyka sądowa, większa część skazanych w Warszawie za występki, szczególnie przeciw własności, należy do klasy rzemieślniczej. Popycha ich do tego bieda lub złe nałogi, a w każdym razie niedostateczny wpływ czynników kształcących i umoralniających.

Sami rzemieślnicy dobrze to rozumieją.

Od paru tygodni noszę przy sobie list pewnego czeladnika, który w imieniu kolegów prosi mnie, ażebym: wystarał się o koncesję na stowarzyszenie rzemieślnicze.

Miły Boże! gdybym to ja mógł...

Czytelnik wzruszy ramionami. Na co rzemieślnikom towarzystwo? zapyta się. Czy ono przysporzy im zarobki - czy da tańsze produkty i wygodniejsze mieszkania - czy zabezpieczy starość?...

Zapewne, gdyby utworzyło się towarzystwo samych ludzi ubogich i pochłoniętych przez pracę na chleb codzienny, to - niewiele by zbudowali. Inaczej jednak rzecz się ma, gdyby rzemieślnicy znaleźli jakiś punkt zborny, w którym stykaliby się z ludźmi wyższego wykształcenia i większych materialnych środków.

Wtedy można by pomyśleć o tworzeniu sklepów dostarczających taniej odzieży, o budowie tanich lokalów, o kasie emerytalnej, o fachowych odczytach i o szkołach rysunku, bez którego rzemieślnik nie może więcej zarabiać.

Nim to nastąpi, należałoby raz wykonać, a przynajmniej starać się o urzeczywistnienie projektu resursy rzemieślniczej. Mając taką instytucję, człowiek pracujący nie potrzebowałby przepłacać w bawariach za liche jadło i jeszcze gorsze trunki - zabawiłby się tanio i uczciwie, znalazłby jakąś fachową książkę, a nareszcie zetknąłby się z inteligencją, od której jest dziś tak odsunięty, jak gdyby mieszkał w innej części świata.

Przy wykonywaniu podobnych projektów trafiają się przeszkody; rzemieślnicy więc muszą o tym pamiętać. Ale są wypadki, w których przeszkody podobne nie istnieją, tylko zła wola wytwarza nowe, najtrudniejsze do pokonania.

Wiadomo na przykład, że w razie wybuchu ognia w małym miasteczku miejscowe narzędzia pożarne oddają zwykle usługi dosyć wątpliwe, ponieważ beczki są dziurawe, a sikawki popsute.

Tymczasem z drugiej strony dowiadujemy się, że kasy miejskie otrzymują co roku fundusze na - reperację sikawek i beczek. A gdzie te fundusze?... Czyliż pożarne beczki są już tak dziurawe, ale to tak - dziurawe, że przez nie wypływają nawet zapomogi rządu?... A może ojcowie naszych miasteczek siebie samych reperują, uważając, może i słusznie, siebie za najbardziej dziurawy statek?...

Dbać o siebie, ale dobrze dbać o siebie, jest to nie lada cnota, z tym wszystkim smutnie wygląda miasteczko, które w braku

bezpieczeństwa od ognia pociesza się widokiem rumieńców swego burmistrza!...

Idea burmistrzostwa kryje się podobno i w łonie naszych dobroczynnych instytucyj. Przed niedawnym czasem dr Markiewicz odkrył zdumionej Warszawie, że od paru lat daje rząd po 2000 rs na utrzymanie „instytutu szczepienia ospy”, którego to instytutu nie widziało u nas ludzkie oko.

Szczepi się wprawdzie ospę dzieciom u Dzieciątka Jezus, ale w tym samym ambulatorium, w którym się co dzień opatrują mnóstwo najrozmaitszych chorób. Tym sposobem dziecko nie umiera wprawdzie na ospę, tylko - skutkiem zarażenia się - na szkarlatynę albo na dyfteritis!...

W podobnych wypadkach nie mamy już do czynienia z trudnością uzyskania koncesji, lecz - z... zimną krwią jednostek, które mogą jeszcze mieć pretensją do wdzięczności ogółu.

Bah!... a te dzieci?...

Skończyło tedy Towarzystwo Muzyczne pierwszy okres swojej egzystencji bankructwem... albo mówiąc grzeczniej - niedoborem moralnym.

Dzieje tej spółki są godne uwagi.

Kiedy się zawiązała, zbiegało się na jej sejmy rzesze samych Demostenesów. O muzyce rozprawiano tak wściekle jak w parlamencie angielskim o sprawie irlandzkiej. Wypowiadano piękne mowy (a jakie gorące!...), rzucano na siebie podejrzenia, dzielono się na konserwatystów i progresistów, wymyślano sobie, a nawet (słuchajcie!) wyzywano się na pojedynki...

Tylko - z przeproszeniem - składek nie płacono, z tej zapewne racji, ażeby królestwa muzyki nie zaśmiecać pieniędzmi.

Po paru leciech idealnej gospodarki okazało się, że choć ani jeden człowiek nie zmarniał w pojedynku, to jednak wielu ubyło skutkiem pospolitej u nas epidemii: znudzenia się. Dziwnym zaś trafem piękne mowy - nie mogły pokryć niedoborów!

Dziś - nikt nikomu nie wymyśla, tym mniej nikt nie chce dawać gardła za pomyślny rozwój muzyki. Nikt też nie mówi jak Demostenes, a co gorsze - ledwie kilkadziesiąt osób głębokim ziewaniem ożywia zebrania sejmowe, mające decydować o istnieniu Towarzystwa. Z całej zaś pełnej wspomnień przeszłości utrzymała się jedna tylko tradycja: niepłacenia składek.

P. Z. Noskowski rozpoczął drugi okres dziejów Towarzystwa, w którym: na słuchanie muzyki podczas zimy chce ściągać członków za pomocą - muzyki podczas lata. Czy mu się to uda? zobaczymy, a również zobaczymy, jakich muzykalnych środków użyje - do ściągnięcia składek?

Ja bo znam jedną tylko słowiańską melodię, która dość łatwo windykuje wszelkiego rodzaju należności. Nazywa się ona „kozakiem”...

Życzę Towarzystwu, ażeby odrodziło się jak feniks ze swoich popiołów; muzyka bowiem po jedzeniu, picciu, odzieniu i tym podobnych szczegółach - jest także zaspokojeniem potrzeby. Potrzeby wprawdzie duchowej, ale wrodzonej nawet prostaczkom, na których oddziaływa równie silnie, jeżeli nie silniej, jak i na „inteligentów”.

Wprowadzono raz na koncert pewnego chłopca, który tak opowiadał doznane przez siebie wrażenia.

- Jeść to ta w onym korcerzu dają nienajgorzej: chleb, krupnik... Ino spać - twardo, a nawet i ten drugi korcer to widzi mi się, że stoi trochę za daleko!

- Na jakim żeś ty był koncercie, człowieku?...

- Widzi pan, tak było. Zaprowadzili mnie do hańtego ogrodu, co jest przy ulicy, jak się patrzy do Wilanowa. Wlazem se tam, oglądnałem się, ale - jakim zobaczył tyle państwa, takim się zawstydził.

Wtedy ten pan, co mnie sprowadził, mówi: „I... nie wstyduj się ta, Bartek, siadź se ta gdzie ci wypadnie, i rób se, co ci się ino podoba.” No - zatem ja się wścibiłem w środek państwa, alem tak usiadł, żeby patrzeć ludziom w oczy, nie na plecy, żeby w Warszawie wiedzieli, jako i prosty chłop wie- jak, co i komu...

Naraz - wzięli ci mnie z tyłu grać na skrzypkach. Mówię panu, że grali tak serdecznie, aż mnie mrowie przeszły, aż musiałem ci się, z pozwoleniem, podrapać... Potem zaczęli trochę skoczniej, ale zawdy tak ładnie, aż ci mnie rozebrało do flaków... Siedzę se tylko, patrzę se na jedną tam panienkę i myślę se:

„Oj!... żeby ja tak był ślachcic, jak nie jestem, i żeby tu tak trochę siana...” Mówię panu - łzy mi pociekły z żalości. Aż ci tu naraz jak nie hukną na trąbach i na bębnach, rychtyk jak wojsko... ech!... mój ty miły Jezu!... Taka ci mnie wtedy ochota na wojaczkę porwała, że se myślę: „Będzie, co będzie!...” i - jak się nie zamachnę, jak nie świsnę jednego przez łeb, aż ci trzy stołki przewrócił ze trojgiem państwa... No - i kazali mi potem iść za strażnikiem do drugiego korceru, tu gdzie targ bywa koło kościoła. Tam już siedzieli ludzie prostsi, w izbie ciepło, dali mi jeść...

To ino mi markotno, że mnie bez parę dni przetrzymali i że w gminie ściapnęli ze mnie zapłaty aż trzy ruble. Takim se wtedy pomyślał: „Co ładne, to ładne, ale to zawdy nie dla chłopu, bo człowiek nie ma ani tyle czasu, ani tyle pieniędzy, jak na te rzeczy potrza!...”

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 249

Kronika tygodniowa - Kurier Warszawski, rok 1881, nr 249, dnia 5 listopada

W jakim celu ojcowie gminy Unewel chcą zabrać.....się do... garderoby swoich małoletnich. - Znaczenie „okręgów ogniowych”. - Rysunki Napoleona Ordy. - Moja skrucha wobec 10 RS P. E. J. - O tej kolei, co odbiera „dodatki”, i o tej, która zakłada sklep spożywczy. - Sądy dziennikarskie „o wydawaniu za książeczkami”, o handlu mięsem i o narodowości kapitałów.

Gmina jest małym państwkiem, które posiada rozległą władzę zarówno nad posiadłościami, jak i nad dwu- i cztero-nożnymi mieszkańcami swoich terytoriów.

W jaki sposób nasze wiejskie gminy sprawowały dotychczas władzę nad powierzonym ich troskliwości inwentarzem? o tym wiemy tak mało, jak gdyby autonomia gminna należała do mitów. Natomiast dużo słyszeliśmy o ich posłuszeństwie dla władz powiatowych i o dość oryginalnej konstytucji tych państweczek, których naczelnicy, czyli wójci, nie umieli czytać ani pisać, kanclerze, czyli gminni pisarze, dosyć często przyozdabiali osobami swymi ławy sądów kryminalnych, a sejm, czyli zgromadzenie gminne, głosował nad każdą sprawą nie rozumiejąc żadnej.

Dopiero w 1881 roku jedno z tysiąca trzechset państweczek Królestwa zdobyło się na samodzielny akt władzy. Mianowicie gmina Unewel, powiatu opoczyńskiego, zabroniła: palić papierosów małoletnim do osiemnastu lat, nadmieniając: że ten, kto przekroczy zakaz, otrzyma za pierwszym razem 3, za drugim 10, a za trzecim 15 - plag gotowizną.

Zakaz ten postanowiony został nie tyle w chęci zrujnowania handlujących tytuniem, ile ze względu, że: znaczny procent wiejskich pożarów powstaje dzięki papierosom „ćmionym” przez wyrostków. A

może ojcom gminy Unewel, w powiecie opoczyńskim, wydało się rzeczą nieprzystojną, ażeby małoletni wkraczali w przywileje dojrzałych obywateli kraju. Wiadomo bowiem, że u nas nieograniczona możność palenia tytoniu stanowi jeden z najcenniejszych atrybutów.

Bądź co bądź, tyle razy wymieniona gmina, po piętnastoletniej autonomii, zwróciła bystre oko na postęпки swojej młodszej generacji, która nie tylko niszczy tytoniem własne zdrowie, ale i zagraża dobrobytowi ogólnemu. Nie uciekając się zaś do filozoficznych metod uszlachetniania serc i kształcenia umysłów, zagroziła swawolnikom plagami, z zasady, że temu, kto nie ma ani rozsądku na drugim pięttrze, ani dobrych instynktów na pierwszym, należy przede wszystkim - wyreperować suteryny.

Niezbyt dawno w pewnej wsi pod Warszawą spotkałem trzech pastuszków, mających razem około trzydziestu lat życia i jedną parę spodni, którzy mocno „obciągali się papierosami” i - „rżęli w karciecia”. Przy czym jeden z nich wykrzyknął do drugiego:

- Ej! nie szachruj ty, skurczybyku, bo ci nasobaczę jak strażnik!...

Z czego wnioskuję, że gdyby nasze podmiejskie gminy, naśladowując przykład Unewelu, leżącego jak wiadomo w powiecie opoczyńskim, umyśliły kiedy zreformować swoje młode pokolenia, musiałyby wydać najmniej trzy zakazy. Jeden dotyczyłby „ćmienia papierosów”, drugi grania w karty, a trzeci - „sobaczenia jak strażnik”.

W kwestii zmniejszenia skutków pożaru płodniejszą niż 10, a nawet 15, plag wydaje mi się dyspozycja p. gubernatora plockiego, który podzielił powiaty na „okręgi ogniowe”, z zastrzeżeniem, iż: wsie i miasteczka, należące do pewnego okręgu, mają się wzajemnie ratować w wypadku pożaru. Innymi słowy, w guberni plockiej zapanował ten nie znany w naszym kraju obyczaj, że: gdy Gaweł dotknięty jest klęską ognia, wówczas sąsiedzi jego Piotr i Paweł muszą śpieszyć mu na ratunek.

Nie pierwszy raz w tym miejscu reklamuje p. Tołstoja, gubernatora plockiego, który naprawdę dobrze zasługuje się społeczeństwu. Tworząc na przykład „okręgi ogniowe” p. Tołstoj wynalazł najlepszy sposób zażegnania tej apatii, z jaką wiejski lud przypatruje się płonącemu mieniu sąsiada.

Na tę obojętność ludu dla nieszczęścia pisma nasze niejednokrotnie zwracały uwagę, upatrując w niej złą wolę. Tak nie jest. Nasz chłop nie rwie się do „cudzego ognia” z dwu powodów: naprzód, nie wie, jak ratować, a po wtóre, sądzi, że śmierć, choroba, nieurodzaj, pożar są indywidualną własnością tych, których dotyczą. Nikt za ciebie nie umrze, nikt cię nie wyprowadzi z choroby i nikt też nie uratuje cię od ognia, człowieku!... - oto niektóre zasady chłopskiej filozofii.

Dopiero gdy taki człeczyna, stojąc przed izbą z rękami za pazuchą, zobaczy, jako inni lecą na ratunek jego sąsiadowi, gdy pozna narzędzia, gdy uwierzy w ich skuteczność i nauczy się manewrować nimi, dopiero wówczas ruszy się on sam. W przeciwnym razie zawsze będzie miał odpowiedź:

- A ja tam po co, kiej mnie nikt za łeb nie ciągnie!...

„Okręgi ogniowe” p. Tołstoja i straże ochotnicze - oto dwa czynniki, które gdyby były zaprowadzone w całym kraju, mogłyby tego zmniejszyć liczbę pożarów. Pociuszajmy się więc nadzieją, że z czasem nie tylko te, ale i inne środki, jak np. rozumne budowanie domów, zostaną u nas zastosowane i że widoki opalonych murów zamiast miasteczka, a stosu węgla zamiast wsi będą należały do miłych wspomnień przeszłości, której szczątki skwapliwie uwieczniać będzie jakiś następca Napoleona Ordy.

W tym miejscu, dla publicznego użytku, wspomnieć muszę, że w Niemczech i Szwajcarii każda piękna okolica, oryginalna budowla albo ruiny starego zamku są po kilkadziesiąt razy przerysowywane i że - na przykład - za niecałe dwa guldery nabyć można przeszło sto widoczków rozmaitych ładnych miejscowości, wraz z wyczerpującymi ich opisami.

Widzącemu te rzeczy mimo woli przychodzi na myśl, że owi Niemcy i Szwajcarowie muszą bardzo kochać swój kraj i że my, „pod wieloma względami lepsi od innych”, niewiele dbamy o doczesną ojczyznę, skoro nasi malarze i rysownicy wolą rysować obce polowania aniżeli własne krajobrazy.

Skutkiem tak osobliwego nastroju, pomimo całego legionu „narodowych chwał” władających pędzlem i ołówkiem, prawie nie posiadaliśmy rysunków dawnych polskich budowli, gdyby poza obrębem zastępu młodych sił nie znalazł się blisko 70-letni starzec Napoleon Orda. Dopiero ten człowiek, już w zgrzybiałej starości, począł obchodzić kraj wzdłuż i wszerz, rysując wszystko, co uważał za piękny zabytek.

Dzięki jemu, mamy obecnie 200 litografowanych widoków z tej części świata, którą syn b. inspektora lwowskiej policji nazwał pół-Azją, a która według zdania innych mądrych ludzi, mianowicie literatów francuskich, nie posiada ani kawałka muru, tylko gliniane chałupy bez kominów.

Przed kilkoma tygodniami wydał Orda szóstą serię swoich rysunków, obejmującą 30 widoków z Galicji i ziem krakowskich. Większą ich część, niestety! tworzą malownicze ruiny, których my, dzisiejsi, nie tylko nie jesteśmy w możności podtrzymać, ale nawet cegły z nich zużytkować nie umiemy.

Orda jest ojcem rysowników ilustrujących piękności własnego kraju, rysowników, którzy się jeszcze nie porodzili. On przedstawia zamki i pałace, tamci może zechcą spopularyzować między swoim narodem godne uwagi krajobrazy, a na ich tle widoki typowych chat i dworców.

Prace Ordy miałyby jeszcze większą wartość, gdyby - były tańsze, a więc dostępnejsze dla ogółu. Niestety, jest to niepodobne, ze względu na znaczne koszty wydawnictwa.

Galicyjskie krajobrazy przypominają mi awanturę, w którą wdeptałem się bez potrzeby.

Kiedy rozeszła się wieść, że hrabina Potocka z Rymanowa zaprasza do siebie na wakacje kilkunastu ubogich uczniów z Warszawy, zarzuciłem projektowi temu niepraktyczność; wydawało mi się bowiem, że koszt tak odległej podróży będzie zbyt wielki i że lepiej uczynimy wysyłając czterech chłopców bodaj do Grodziska aniżeli trzech za te same pieniądze do Rymanowa.

Zdanie takie wielce oburzyło mego przyjaciela pana E. J., który zarzucił mi, że myśląc o kosztach, zapominam o korzyściach moralnych, jakie odnieść by mogły dzieci z odbycia dalszej niż do Grodziska podróży. A ponieważ wspomniałem o wydatkach na paszporty, więc mój szlachetny przyjaciel pan E. J. „machnął” 10 rs na paszport dla jednego z przyszłych wędrowców do Rymanowa, przypuszczając tą swoją wspaniałomyślnością silny atak do mojej wcale pustej kieszeni.

Jednocześnie pan E. J. chciał i publiczność zachęcić do składek na paszporty.

Wyznaję, że jestem zawstydzony. Mój przyjaciel ma rację, że należy, obok względów ekonomicznych, pamiętać i o moralnych; aczkolwiek ja wciąż będę twierdził, że w naszym bardzo biednym kraju względy ekonomiczne stać muszą na pierwszym planie.

Nie to więc martwi mnie, ale raczej to, że moja własna ekonomia w sprawie wysyłania dzieci do Rymanowa zapomniała o arytmetyce!...

Rzecz prosta. W projekcie dra Marldewicza przewidziano, że utrzymanie miesięczne chłopca na wsi będzie kosztowało 30 rs, do której to sumy ja doliczałem 10 rs na paszport, w wypadku podróży do Rymanowa. Tymczasem jest jasne jak słońce, że chłopiec wysłany do Rymanowa wyda tylko na paszport i na kolej w Królestwie (galicyjskie bowiem drogi przewiozą go darmo), zaś na życie i mieszkanie w Rymanowie nie wyda nic, te bowiem koszta przyjmuje na siebie hrabina Potocka. Tym sposobem podróż chłopca do Rymanowa wypadłaby nawet taniej aniżeli wakacje w Królestwie, gdyby tu przyszło płacić za mieszkanie i życie.

Wobec tego cofam mój ekonomiczny pogląd na sprawę wakacyj w Rymanowie i radzę memu szlachetnemu przyjacielowi p. E. J., ażeby albo także cofnął swoje 10 rs na paszport, albo przeznaczył je na jaki inny użytek.

Wypadek podobny memu zdarzył się zarządowi pewnej kolei żelaznej:

Był czas, że na kolei tej podmaszynista zastępujący maszynistę pobierał „dodatek” w kwocie 24 i pół kopiejek dziennie. Ponieważ zaś podmaszyniści często zastępowali maszynistów, więc na każdego z nich wypadła w końcu dosyć okrągła sumka.

W tym miejscu proponuję, ażebyśmy piękny czyn kolei uczcili za pomocą okrzyku:

„Chwała zarządowi, który powiększa zarobki swoim oficjalistom!”

Bardzo dobrze, ale teraz następuje część druga. Po niejakiem bowiem czasie kolej spostrzegła się, że jej hojność wyrażająca się w formie „dodatków” polega na arytmetycznym błędzie - i - dla celów ekonomicznych - postanowiła: nie tylko zaprzestać wypłaty „dodatków”, ale jeszcze: strącić z pensji podmaszynistów sumy im wypłacone. Dzięki temu pensja podmaszynisty, wynosząca teoretycznie rs 360 do 400, w praktyce schodzi prawie do połowy tej sumy. Zapomniałem bowiem dodać, że podmaszyniści płacą jeszcze karę za zużycie do manewrujących lokomotyw nadetatowej ilości węgla, co trafia się ciągle, ponieważ maszyny są stare, a pole manewrów powiększa się z każdym rokiem.

Tak więc niechcący stałem się podobnym do zarządu pewnej kolei. Ja popełniłem błąd arytmetyczno-ekonomiczny i kolej popełniła błąd arytmetyczno-ekonomiczny. A ponieważ za mój błąd zapłacił przyjaciel p. E. J. rs 10, więc kolej, nie chcąc być gorsza ode mnie, za swoją omyłkę każe płacić... także swoim przyjaciołom.

Ta tylko istnieje między nami różnica, że p. E. J. nie jest podmaszynistą, tylko „akcjonariuszem”, i że mój „akcjonariusz” zapłacone przez siebie 10 rs może w każdej chwili odebrać.

Myślę, że kolej zechce mnie i w tym wypadku naśladować, zwracając pobrane przez siebie pieniądze... Obawiam się tylko, ażeby nie ograniczyła się na zwróceniu ich - „akcjonariuszom”.

Już widzę, jak zarząd kolei machnął ręką i mówi:

- Dajcie mi tam spokój, dziennikarze. Wobec was robić źle czy dobrze oficjalistom znaczy to samo, bo na wszystko jednakowo wymyślacie!...

Zarząd miałby rację i zaraz tego dowiodę.

Zarząd innej kolei postanowił dla swoich oficjalistów założyć sklep spożywczy, w którym kupując ludzie ci mogliby robić niejakię oszczędności.

Zdawałoby się, że projektowi temu nie można nic zarzucić. A przecież - jeden z dzienników nie wahał się wystąpić z gwałtowną krytyką projektu, którego główną część nie dość silnie zaakcentował, ale drugorzędne szczegóły przedstawił w jaskrawym świetle.

Podobne wystąpienia są nie na miejscu, osłabiają bowiem powagę dziennikarskiej krytyki. W najlepszych zamiarach trafiają się szczeliny, przez które wypłynąć mogą zabawne sytuacje, i te - chwytać można. Ale dramatyczne traktowanie szczegółów drugorzędnych, zasłanianie tym sposobem jądra kwestii i co za tym idzie: potępienie rzeczy zasługującej na poklask, jest dziennikarskim błędem, który może odstraszyć dobre zamiary, a uzuchwalić złych.

Co bowiem obchodzi człowieka niezamożnego, ile osób siedzi w sklepie, jeżeli on w tym sklepie dostanie produkt tańszy i lepszy aniżeli w innych? Co nareszcie jest złego w wydawaniu produktów nie za gotówkę, ale „na książeczki”, jeżeli handel całego świata opiera się na systemie kredytu?

Gdyby kolej dla dobra swoich oficjalistów założyła instytucję np. okradania podróżnych, wówczas zapewne cel nie usprawiedliwiłby środków. Ale ten, kto dla ułatwienia bliźnim oszczędności zaprowadza system „książeczkowy”, rachmistrzów, buchalterów itd., nie jest jeszcze zbyt wielkim grzesznikiem i gniewać się na niego nie ma za co.

Myślę, że każdy oficjalista kolejowy woli brać zapasy „na książeczkę” aniżeli choćby - spłacać „dodatki”... Jest więc między czynami różnica, którą należy uwydatniać w piśmie.

Już to w ogóle dziennik, o którym mowa, lubi sądzić primo impetu, szczepiąc tym sposobem wśród publiczności poglądy nie zawsze praktyczne, jak się to zdarzyło w kwestii mięsnej.

P. Luceński napisał w „Echu” artykuł o mięsie. W pierwszej części na przestrzeni paruset wierszy szanowny radca stanu, cytując zdania uczonych, usiłował zapewnić czytelników o „pożyteczności mięsa”, w co bez trudu uwierzylibyśmy mu na słowo i o czym zresztą byliśmy przekonani pierwiej jeszcze, nim ukazał się ten gruntowny artykuł.

Ale w dalszych wywodach autor zstąpił z hymnu do prostej powieści i dając za wygraną filozofii, powtórzył za p. Łapińskim taki fakt:

„że mięso z tych wołów, za które my płacimy 16 i 17 kopiejek funt, w Wiedniu kosztuje najwyżej 12 kopiejek”.

Z czego by wypadało, że Warszawa, licho wie za co, nadpłaca rocznie najmniej sześćset tysięcy rubli!...

P. Luceńskiemu taki naddatek słusznie wydaje się zbyt dużym, więc - myśli, jakby go zmniejszyć, i w tym celu proponuje, ażeby naśladować Wiedeń i -

Założyć za miastem stajnię dla bydła i rzeźnię.

Założyć w samym mieście halę i piwnice.

Utworzyć małe towarzystwa do zakupu bydła i towarzystwa te wspierać stosownym kredytem - a nade wszystko -

Utworzyć wielkie towarzystwo, które swoimi kapitałami i ilością zakupów nadawałoby ton handlowi mięsem, nie pozwoliłoby drobnym spekulantom na wyzyskiwanie publiczności.

Ponieważ zaś kraj nasz, jak to widzimy, nie posiada dostatecznych kapitałów, więc - należy sprawę tańszego karmienia Warszawy powierzyć jakiejś bogatej spółce kapitalistów zagranicznych.

Ten ostatni punkt nie podobał się naszemu dziennikowi. Zapominając o znizeniu ceny mięsa, pamiętał tylko o narodowości kapitałów i zawołał:

- Chcecie zgermanizować kraj!... Już i tak mamy mnóstwo Niemców, Desauskie Towarzystwo itp. A wy chcecie jeszcze żywienie Warszawy oddać obcym?...

„Gwałtu!... póki życia, nie będę!” - musiał sobie pomyśleć p. Luceński i umilknął jak trusia.

Tymczasem krytyk jego nie ma racji. Bo gdzie idzie o oszczędzenie ludności 600 000 rubli, tam nie godzi się pytać: kto jej do tego pomoże?

Inna rzecz sprzedać się Niemcom, a inna rzecz posługiwać się ich kapitałami, gdy nie mamy własnych. Niemiec jest niebezpieczny, to prawda; ależ ogień, proch, nóż są także niebezpieczne, a; - jednak oddają usługi.

Nie trzeba zatem kląć niemieckich kapitalistów, ale trzeba mieć rozum do korzystania z ich usług za umiarkowany procent i do pożegnania ich we właściwym czasie.

Jestem pewny, że ani p. Luceński, choć radca stanu, nie sprowadzi do nas niemieckich kapitałów, gdy przyjsć nie zechcą, ani najzwawszy

dziennik nie odstraszy ich, gdy przyjść muszą. Są to tylko projekt a i sądy o projektach. Pragnąć jednak należy, ażebyśmy w braku tańszego mięsa posiadali przynajmniej trzeźwiejsze poglądy na handel mięsem. Taka bowiem kwestia prawie wcale nie nadaje się do idealnego traktowania.

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 255

Kronika tygodniowa - Kurier Warszawski, rok 1881, nr 255, dnia 12 listopada

Pani Sara Bernhardt w roli ambasadora, który „płaci długi”. - Zgodna praca pp. Rozenbluma i Jeleńskiego dla Kas Pożyczkowych wobec „moralnej odpowiedzialności” warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. - Słówko o „magdalenkach” i o magdaleniarzach. - „I znowu... smutno!...”

Warszawa rozplywa się w oczekiwaniu; wkrótce w tej ojczyźnie jednokonnych tramwajów ukazać się ma urocze zjawisko - Sara Bernhardt!...

Pani, a podobno panna - Sara Bernhardt jest, jak twierdzą jej przyjaciele, nie wiem już którym z rzędu cudem świata. Jest nie tylko genialną aktorką, ale jeszcze - maluje, rzeźbi, ubiera się fenomenalnie, jeździ balonem namiętnie, pisuje komedyjki i jest tyle ostrożną, że sarna w nich nie gra. Prócz tego jest ona piękna jak hiszpański anioł, chuda jak rosół w taniej kuchni i - czuje niepokonany wstręt do miłości, czegom jednak nie sprawdzał.

Z dwoma ostatnimi przymiotami mogłaby nie chwalić się w Warszawie. My, północni barbarzyńcy, nie lubimy kobiet abstrakcyjnych, tylko - użyteczne, i przekładamy rozsądek w formach soczystych nad geniusz, któremu towarzyszą fizyczne braki. Zdaje się jednak, że znakomita artystka wynagrodzi te niedostatki - doskonałym paryskim akcentem, który do skończenia świata będzie miał u nas przywilej odkupywać wszystkie grzechy, nawet te, jakich nie odpuszcza się kobiecie.

Pani Sara pokaże nam wszystko, co ma najlepszego - w swoim repertuarze. Na scenie teatru będzie zachwycać nas nieporównaną grą, a w swoich prywatnych salonach błysnie nam przed oczy: rzeźbami, obrazami, krzeselkiem, na którym siedziała w balonie, dwunastoma

tuzinami sukien według najoryginalniejszego modelu, a zapewne i innymi częściami swojej zajmującej garderoby, nie pomijając najniebezpieczniejszych dla młodzieży.

Wszystko to zrobi pani Sara nie dla pieniędzy, nie dla sławy, nie dla zaimponowania ludożercom, ale - przez patriotyzm.

- Chcę spłacić Polakom dług, zaciągnięty u nich przez Francję! - zwierzyła się genialna artystka pewnemu reporterowi z Wiednia. I zapewne wieść o kapitaliku, jaki wiezie do nas pani Sara w celu „zapłacenia długu”, zrodziła pogłoskę, że w Warszawie jakiś bank francuski ma zamiar - otworzyć filię. Nie domyślano się, że ową filią będzie jedna z najpiękniejszych cór Francji.

Lękam się bardzo, czy pani Sarze Bernhardt uda się zasłonić spódniczką rumowiska stu bitew, jej, której wiotką postać pierwszy lepszy tamburmażor nakryłby - swoją bermycą. W każdym razie pani ta oddała własnej ojczyźnie dwie kapitalne usługi. Naprzód, Francja w łatwy sposób uwolni się od długów, które jej od dawna ciężą, a po wtóre - sama bez wysiłku odzyskać może należności od swoich znowu wierzycieli. Wystarczy bowiem, ażeby najznakomitsza niemiecka aktorka udała się do Paryża, w celu „spłacenia Francji długu zaciągniętego przez Niemcy w 1870 roku”, i - zgoda o Alzację!...

Wobec takiego rezultatu wielka artystka lepiej zrobi wyrzekając się polityki i spłacając tylko dług naturze - swego geniuszu. Długi zaś międzynarodowe niech zostawi czasowi, który rzeczy te umarza w sposób najprzyjemniejszy dla obu stron: dla tej, która nic nie płaci, i dla tej, która nic nie odbiera.

Kasy pożyczkowe dla rzemieślników funkcjonują podobno bardzo dobrze, rozumie się: o ile istnieją. Widać to nawet z ogłoszeń warszawskiego lombardu, w którym dziś na jednego żądającego pieniędzy przypada po kilkanaście rubli, dawniej zaś na jednego rubla przypadało kilkunastu żądających.

Kasy pożyczkowe, jak wiadomo, otworzone zostały już w dwu cyrkulach; brakuje więc bagatelki: kapitału dla siedmiu lub ośmiu

pozostałych! Braku tego nic zapełni ofiarność publiczna, nie można się łudzić, słusznie więc p. Rozenblum przedstawił nową kombinację tej treści:

Kasy zaciągną u osób prywatnych pożyczkę na mały procent do wysokości połowy swego kapitału, a za pewność tej sumy odpowiadać będą tylko - kapitałem własnym.

Kombinacja posiada dobrą i złą stronę. Dobra polega na tym, że fundusz obrotowy kas mógłby się znakomicie powiększyć bez odwoływania się do publicznej ofiarności. Złą jest ta strona, że gdyby dłużnicy kasy byli niesumienni, czemu przeczą fakta, lub gdyby zarząd instytucji był niedbałym, czego nie podobna przypuścić, wówczas kasy bardzo prędko straciłyby nawet dzisiejszy fundusz, święty fundusz, bo pochodzący z ofiar.

W rezultacie widzimy, że propozycja p. Rozenbluma była praktyczna i że, sądząc z tego, co wiemy, należało ją przyjąć. Tymczasem odrzucono ją dlatego, że Towarzystwo Dobroczynności lękało się „odpowiedzialności moralnej”, w razie gdyby trafiło się co złego.

Chwalebna jest ostrożność, ale do pewnej granicy. Jeżeli więc sprawa wygląda tak, jak nam ją przedstawiły dzienniki, to chyba szanowne Towarzystwo ze swoją teorią „odpowiedzialności moralnej” przekroczyło już ową granicę.

Wobec tego można by zapytać się, na ile „moralnych rubli” ceni Towarzystwo swoją „moralną odpowiedzialność” i czy kapitał ten nie dałby się użyć do zapełnienia luk w jego własnym budżecie? Towarzystwo, ofiarowując kasom pożyczkowym, zamiast kapitałów p. Rozenbluma, swój fundusz „moralnej odpowiedzialności”, widocznie ocenia go na rzeczywiste ruble i kopiejki. Czy zatem nie robi więcej, niż mu nakazuje obowiązek, i wiążąc tak okazałą sumę w kasach pożyczkowych, czy nie wyrządza krzywdy sekcjom bliżej go obchodzącym?

Wolę przypuszczać co innego. Kasy pożyczkowe są najmłodszym dzieckiem Towarzystwa Dobroczynności, które niby dobra matka jak

oczka w głowie strzeże ostatniej córki. Prezenta pozwala jej przyjmować, na guwernerów zgadza się; ale gdy jaki obcy zuchwalec chce sięgnąć - dalej, niż na to pozwalają konwenanse, mówi mu:

- Przepraszam, nie można!...

- Ależ - rzecze na to konkurent - ja pukam nie do apartamentów pani, tylko jej córeczki!...

- Tak, ale na mnie ciąży „odpowiedzialność moralna” za Skutki - szepce zarumienione Towarzystwo, modląc się w duszy, ażeby p. Rozenblum zaatakował raczej jego kasę swoim obrotowym kapitałem.

Na takie dictum p. Rozenblum odparł, że jego kapitał już nie jest rozporządzamy, i poczyna atakować młodą instytucję z innej strony.

Wobec gry, w której kawaler chce i panna chce, ale nie zgadza się mama, jeden z najgorliwszych promotorów i członków zarządu kas, p. Jeleński, wystąpił z nową kombinacją.

Ogłosił on w „Kurierze Porannym”, jak sam mówi - „prośbę” do naszych potężnych instytucyj finansowych, ażeby one datkami wsparły zakład, ratujący w biedzie rzemieślników.

Słyszałem zdanie: że zapewne instytucje finansowe nie dadzą nic, ponieważ nie mają żadnej racji do uwzględniania czyichkolwiek „prośb”.

Okrągłe to słówko, ale nie wytrzymuje krytyki. W odezwie p. Jeleńskiego mieszczą się przecie dwie rzeczy: prośba, którą można uwzględnić lub nie - i - instytucja, w imieniu której przemawia. Nie o to więc chodzi, czy kto rozkazuje, czy prosi ale o to: czy rzecz, o której mówi, zasługuje na poparcie i czy nasze towarzystwa i banki poprzeć ją chcą i mogą?

Nie śmiem kłaść nacisku, drażliwa to bowiem sprawa: radzić akcjonariuszowi, ażeby otworzył kieszeń, która zwykle bywa podatniejszą u ludzi ubogich. W każdym razie p. Jeleński postąpił jak

rycerz, ofiarując, choć na jednym punkcie, przymierze tym, z którymi dotychczas walczył, wprawdzie z rozmaitym powodzeniem, ale zawsze w kilku edycjach.

Odezwa p. Jeleńskiego do „kapitalistów” podoba mi się bardziej niż inne. P. Jeleński, zakładający najlepsze w Warszawie czytelnie, pracujący przy spisie jednodniowym i innych obywatelskich komisjach, troszczący się o kredyt dla rzemieślników; zachęcający kapitalistów, ażeby pomagali uboższym, spełnia piękną rolę. Gorączka interesów publicznych, która go trawi i stanowi jego rzeczywistą chlubę, staje się w tych wypadkach motorem czynów, o których nikt nie wątpi, że są użyteczne. I gdyby tylko był cierpliwszym w rozstrzygnięciu społecznych kwestyj!...

Wielkie kwestie społeczne są jak motek splątanego jedwabiu, którego rozcinać nie wolno, lecz trzeba rozplątywać. P. J. niecierpliwi się, naukowe obserwacje zastępuje własnym uczuciem, targa nici, z których każda kończy się w czyimś sercu lub w czyjej głowie - i - zbacza od roli, w jakiej widzimy go dziś: ad roli łagodnego pośrednika między pracą i kapitałem.

Miejmy jednak nadzieję, że z czasem to przejdzie i że punktem zwrotu w popędliwej działalności p. Jeleńskiego stanie się chwila, w której dotychczasowi jego antagoniści uścisną rękę wyciągniętą do zgody w imieniu klas pracujących.

W tym miesiącu, w listopadzie, nastąpiła widać epoka cudów: Jeleński „prosi” plutokrację o poparcie w sprawie instytucji rzemieślniczej, a instytucja, utworzona i utrzymywana przez arystokrację, odwołuje się do poparcia - demokratycznych czytelników „Kuriera”

Mówię o „Magdalenkach”, dla których o pomoc zapukał przed kilkoma dniami hrabia St. AL

Co to są „Magdalenki”?

Są to osoby, dla których „nieopatrzny przykład lub namiętność stały się przyczyną upadku”, a które cofnęły się z niebezpiecznej drogi do portu położonego przy ulicy Żytnej, gdzie zawsze mają dozór i opiekę, ale, jak mówi hr. St. AL, nie zawsze wiedzą, co będą jutro jadły.

Na świecie zdarzają się dziwne wypadki.

Niekiedy rozmówana a niedoświadczona dziewczyna wykrada się z domu rodziców z kochankiem, który, wywiózłszy ją do Warszawy, porzuca następnie na ulicy. Opuszczona chodzi bez celu cały dzień; chce jej się jeść, dławi ją trwoga, rada by odpocząć. W nocy stójkowy ostrzega ją, ażeby wracała do domu, bo już późno i może dostać się do cyrkułu.

Ale ona nie ma domu, więc głodna, zmęczona, śpiąca, przyjmuje opiekę pierwszego, który na dziś zabezpieczy ją od aresztu.

Na drugi dzień to samo, na trzeci, czwarty... Aż nareszcie nieszczęśliwa znajduje stałe mieszkanie tam, gdzie po cenach przystępnych handlują ludźmi.

Niekiedy w takim mieszkaniu spotyka [się] żonę, którą własny mąż sprzedał za kilkaset rubli, czasami dziewczynę, której ordynaryjna złość wyjednała patent na niewolę i hańbę, obok nich dziesiątki innych.

Tu pędzi życie wiecznie zadłużona, w połowie pijana, odarta ze czci, wstydu, z praw przysługujących nawet zwierzętom. Uciec nie ma gdzie, wszystkie drzwi przed nią zamknięte. Musi więc być przedmiotem targu i uciechy dopóty, dopóki nie otworzy dla niej gościnnego przytułku szpital albo więzienie.

Dla tego rodzaju nędzy dom przy ulicy Żytnej jest rzeczywiście deską ocalenia. Szkoda tylko, że publiczność, którą wzywają do składek, wie o nim bardzo mało.

Nie dosyć bowiem wskazać przewodniczki zakładu; trzeba jeszcze powiedzieć coś o jego wychowankach, a właśnie tę część pomiął autor odezwy i co roku pomija ją zarząd instytucji, która, mieszcząc się w Warszawie, stanowi dla Warszawy jakby nowoodkrytą ziemię.

Muszę przy tym zwrócić uwagę szan. autora na złudzenie, jakiemu uległ. Odwołuje się on o pomoc przede wszystkim do „tych, których namiętność stała się przyczyną niejednego upadku”.

Otóż mam honor zawiadomić, kogo należy, że „ci” nie dadzą ani grosza, chyba... że wolno im będzie składać datki na rachunek przyszłych uwodzeń i naturalnie od tego kapitału pobierać lichwiarskie procenta z góry.

Jeżeli więc ktoś da, to chyba uczciwy ogół warszawski, który nie tylko nie staje się przyczyną niczyjego „upadku”, ale przeciwnie, sam co dzień „upada” i wykręca nogi, już to na drutach okalających wirydarz na Zielonym placu, już to na chodniku ulicy Marszałkowskiej, około wiadomego instytutu.

Ale trzeba na to, ażeby dom przytułku uchylił rąbek swoich tajemnic!

Radzi byśmy wiedzieć, ile co roku ocala się nieszczęśliwych kobiet, czego one się uczą w zakładzie, i - jakie są formalności. niezbędne do wejścia na drogę cnoty?

Znałem pewną starą damę, która przez cały dzień robiła pończochę, a na każdą nową wiadomość odpowiadała jednym wyrazem: „nieszczęście!”

Bywało mówią do niej:

- Proszę pani starszej, deszcz pada...

- Nieszczęście!...

- Proszę pani starszej na obiad.

- Nieszczęście!

- Proszę pani starszej, pani młodsza ma syna.

- Nieszczęście!...

I tak zawsze.

W niektórych wypadkach nasze dziennikarstwo podobne jest do tej „starszej pani” i na pewne wiadomości odpowiada zawsze jednakowym frazesem:

„I znowu jeden z obywateli ziemskich pozbył się dziedzictwa przodków, rozkolonizowując swój majątek. Smutno!...”

„I znowu kawałek naszej ziemi przeszedł w ręce obcych. Żałosny wypadek!...”

„I znowu Niemcy w naszym kraju zdobyli posterunek. Okropnie!...”

Co to jest? Dla kogo to przeznaczone? kogo to uczy? Czemu zapobiega?...

Czy sądzimy, że Niemcy ulękną się naszego „i znowu...” i przestaną wykupywać majątki? Czy przypuszczamy, że wykrzyknik: „smutno!...”, „okropnie!”, zapobiegnie procesowi rozkładu, odbywającemu się w pewnych sferach? Czy nareszcie choroba wywłaszczania nas z terytoriów jest takim drobiazgiem, że na każdy jej objaw wystarczy słówko „i znowu...” podobne do frazesu „na zdrowie”, który mówimy czasem, gdy ktoś kichnie?...

Dlaczego dzienniki i tygodniki ogólne i specjalne traktują kwestię wywłaszczenia w sposób półsenny? Dlaczego nikt nie zmierzy całej obszerności tej choroby, nie wykaże jej przyczyn, nie oznaczy końca?

Wytarta jak szewcki stołek formuła ubolewań nad wyprzedają majątków - na umyśle czytelnika wywołuje taki skutek jak niemniej wytarte kalendarzowe formuły: „słońce wstępuje w znak byka” albo:

„w znak strzelca". Zamiast nich trzeba raczej postawić jakieś określenie faktu, choćby niedokładne na początek, trzeba się spierać, wyjaśniać i tym sposobem rozbudzić publiczną uwagę, która w tej kwestii usnęła jak „starsza pani" nad pończochą, robioną przez ćwierć wieku.

Moim zdaniem, należy przede wszystkim już nie wylewać suchych łez nad tymi, którzy wyprzedają „ziemię przodków". Między tymi ludźmi a ziemią, której się pozbywają, widocznie pękł węzeł, łączący rolnika z rolą. Oni nie mogą, nie chcą czy nie umieją gospodarować. Serce ich odwraca się od warsztatu, który na przykład dla chłopca stanowi przedmiot dumy i pragnień. Oni w „dziedzictwie przodków" nic nie robią, nic nie znaczą, niczego nie ulepszają, na nic nie są przydatni. Oni, opuściwszy wieś, która jest dla nich więzieniem, mogą być znakomitymi uczonymi, technikami, artystami, wreszcie członkami obu resurs, ale nigdy gospodarzami. Oni są tym dla swego majątku, czym dla człowieka dziurawy surdut, którego nie może się pozbyć i na którego wiekuiste łatanie wychodzi mnóstwo pieniędzy bez pożytku.

Po co więc udany żal prasy? Jeżeli w ogóle w naszej własności większej mają zajść jakieś reformy, toć wstępem do nich musi być usunięcie się ze wsi bankrutów lub abnegatów. Z jakiej racji mamy bliźnim krępować wolność zajęcia się tym, co lubią, i porzucenia tego, co im już stoi kością w gardle? Kto nam daje prawo przykuwać ludzi mających długi do przedsiębiorstwa, które wymaga kapitałów? Niech idą tam, gdzie im lepiej!...

Ale kto kupi ich majątki?...

Czy ja wiem. Kupi ten, kto będzie miał pieniądze: naprzód Niemiec, potem Żyd, potem taki, który o tyle zna się na rolnictwie, o ile handlował świńmi. I tak dopóty, dopóki zdradzony i opuszczony przez swoich kęs ziemi nie dostanie się w żelazną rękę chłopca.

Czy może i wtedy będziemy wzdychali: „Znowu... smutno"?

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 272

Kronika tygodniowa - Kurier Warszawski, rok 1881, nr 272, dnia 3 grudnia

Materiały do rabusiowskiej epopei u nas. - Jedna z przyczyn bandytyzmu. - Sobowtóry „naszych ekonomistów” nad Nową i ich majaczenia na temat poprawy finansów. - Modelowy Polak Sankowski. - Sienkiewiczowski Latarnik i pensjonarskie „latarnice”.

Przed kilkoma miesiącami garść Anglików, mieszkających na południowym krańcu Afryki, uroczyście pogrzebała angielską chorągiew, na znak smutku, z powodu słusznego zresztą pokoju z Boerami. Gdyby u nas istniał zwyczaj urządzania ulicznych maskarad, chyba musielibyśmy w tych czasach wyprawić uroczysty pogrzeb: publicznej spokojności.

W mojej wyobraźni symbolem publicznej spokojności jest: nerwowa staruszka, która regularnie odmawia pacierze, boi się lada hałasu i hoduje - na przykład - kury, znoszące co dzień mnóstwo jaj.

Taką pocziwą staruszkę zrobiłbym ze słomy, wcisnąłbym jej na nos mosiężne okulary, przyczepiłbym do fartucha pęk kluczyków - i - pochowałbym niebogę!

Królestwo jej już nie należy do tego świata. Dziś dobra gospodyni, zamiast kluczyków, powinna by nosić za fartuchem rewolwer, a zamiast gdaczących kur - hodować tygrysy, które by strzegły jej domu.

Rzeczywiście, kiedy czytam opisy - nie kradzieży, nie pojedynczych zabójstw, bo to są drobiazgi, ale - napadów i bitew, przychodzi mi na myśl: Grecja, południowe Włochy, Bośnia, Albania i im podobne szczęśliwe kraje, gdzie: „wieczny maj pomarańcz złoci drzewa”, a bandyci należą do uprzywilejowanych klas narodu. W spróchniałej Europie podobnych wypadków już ze świecą nie znajdzie.

Jeszcześmy nie ogadali „bitwy” pod Józefiną, gdzie jeden bohaterski szlachcic walczył z oddziałem 14 bandytów, a już w Warszawie, na Podwalu, oddział 5 bandytów napada na wysiadającego z tramwaju mieszczanina. Jeszcze „Gazeta Policyjna” nie zdążyła potwierdzić faktu napaści dokonanej między zamkiem i I cyrkułem, alie poczta przynosi wiadomość, że w Krasininie, o małą milkę od Lublina, kilku obywateli ziemskich stoczyło regularną potyczkę z lubelskim oddziałem rozbójników.

Ten ostatni „bój” (nie wiemy bowiem, co nam jutro przyniesie) zasługuje na uwagę.

Szlachta jest już tak oswojona z podobnymi niebezpieczeństwami, że kiedy bawiących się w Krasininie zaalarmowano, nie stracili ani na chwilę zimnej krwi. Znalazł się zaraz między nimi jakiś strategik, który „rznących w karciecia” szlachciców podzielił na dwa korpusy. Jeden korpus został na miejscu do obrony domu, drugi zrobił wycieczkę na bandytów, wyłamujących wrota w spichlerzu. Rozpoczęto ogień. Od pierwszych kul pada ciężko ranny dzielny młodzieniec, p. Łabęckl. Ale w szlachcie już zagrała krew i jej ekspedycyjny korpus, choć uszczuplony, odparł bandytów, z których dwu położył na placu.

Pobici, rycząc jak zagniewane lwy, pierzchnęli do! lasu jak chyzocnogie łanie!

Istna epopeja, która dowodzi, że szlachta, zawsze nietęga w buchalterii, wobec kul nawet dziś nie okazuje fałszywej skromności. Na teraz jest i to dobre, bardzo dobre. Gdyby szlachta była płochliwą, wówczas przed pospolitymi - złodziejami musiałaby uciekać z dziedzictw!

Taka dziwna nastąpiła epoka, że ziemianin musi być żołnierzem, jak za Piastów.

Skutki podobnego stanu rzeczy łatwo przewidzieć. Bandy zbójckie mnożyć się będą dopóty, dopóki szlachta i chłopci nie zaopatrzą się w broń. Bitwy staną się coraz częstsze, coraz częściej strażnicy będą

znajdowali „niewiadomych ludzi wiszących na drzewach”, aż nareszcie złodzieje, pomiarkowawszy, że zamiast rubla, można dostać kulą w łeb, wezmą się do zajęć mniej romantycznych, ale i mniej niebezpiecznych.

Innej rady ja przynajmniej nie widzę. Tam, gdzie jest społeczeństwo zagrożone, solidarnie musi się wziąć do wytępienia złego.

Pan Bóg mieszka zbyt wysoko, ażeby dla obrony większej czy mniejszej posiadłości miał zsyłać anielskie pułki.

Kiedym się namyślał nad przyczynami bandytyzmu w Królestwie, wpadły mi pod rękę dwa roczne sprawozdania lubelskiego sądu okręgowego. Cyfr jest niewiele, ale te, jakie są, są wymowne.

I tak.

W roku 1879 było 2478 osób oskarżonych o występki, a skazanych tylko 362, czyli: 15%.

W roku 1880 było znowu 2428 oskarżonych, ale już 856, czyli 35%, skazanych.

Ponieważ liczba skarg była jednakowa w obu latach, lecz cyfra skazanych w 1880 r. była przeszło dwa razy większa niż w 1879 r., więc: występność guberni pozostała ta sama, ale surowość sądów w 1879 była dwa razy mniejsza niż w 1880. Sądy zatem wyrokują dziwnie niejednostajnie, a to musi wpływać na zamęt.

Nie koniec na tym.

Jeżeli weźmiemy stosunek skazanych do ilości mieszkańców, wówczas okaże się, że:

W guberni lubelskiej w r. 1879 przypadał jeden skazany na 2218 mieszkańców, a w r. 1880 jeden na 938 mieszkańców.

Tymczasem w Anglii, Francji, Belgii, Holandii i w Prusach, gdzie jest wielki ład, dobrobyt, oświata, gdzie nikt nie słyszy o bandach, i skazany przypada średnio na 51 mieszkańców.

Z czego wynika, że w guberni lubelskiej publiczna czujność w 1879 roku była 43 razy mniejsza, a w 1880 - 18 razy mniejsza aniżeli w zachodniej Europie.

Nic zatem nadzwyczajnego, że u nas i bezpieczeństwo jest znacznie niniejsze aniżeli w zachodniej Europie.

Smutny stan, ale desperować nie ma czego. Pewien bezstronny obserwator naszych stosunków, rozmawiając o zjawisku bandytyzmu u nas, tak zakończył:

- Nic złego, społeczeństwo nie zbabieje, zahartuje się.

W tej pozornej ironii kryje się głęboka prawda. Nic tak ludzi nie hartuje, nie zbliża, nie rozbudza, jak wspólne niebezpieczeństwo.

W ciągu kilkunastu lat minionych, kiedy całą Europą wstrząsały burze, my rozprawialiśmy tylko o sposobach z bogacenia się i ukształcenia, zapominając, że na świecie są jakieś niemiłe przygody. I gdyby dalej poszło w tym sposobie, to po upływie jednego pokolenia zbabielibyśmy tak, że lada Niemiec pędziłby kijem przed sobą kilkunastu Polaków.

Byliśmy zahipnotyzowani widokiem rubli; bandytyzm stanie się dla nas opatrnościowym dmuchnięciem w oczy, wezwaniem do męskiej czujności.

Lekarstwo niemiłe, ale też i choroba - nieładna!

Wyznaję, że nieraz z zazdrością porównywałem rosyjskie dzienniki z naszymi. Prawie każdy z nich jest wielki jak obrus na dwanaście osób - i - kiedy nasze najwięcej miejsca poświęcają zagranicznej polityce albo teatrowi, tamte większą część szpalt wypełniają kwestiami wewnętrznymi, ekonomicznej i moralnej natury.

Wobec tego człowiek czułby się bardzo upokorzonym, gdyby nie smutna pociecha, że i w rosyjskich dziennikach obok znakomitych artykułów trafia się tyle sieczki i ciepłej wody co i u nas, że i tamtej prasie nie brak publicystów, którzy usiłują rozstrzygać najważniejsze kwestie społeczne, nie mając pojęcia o prawach rządzących życiem społeczeństw.

Oto jeden z takich dziwolągów nadnewskich „ekonomistów”.

Wiadomo, że skarb państwa, dotknięty deficytem, wciąż obmyśla środki nie tylko do nagromadzenia gotowizny, ale jeszcze do podniesienia kursu rubla, czyli - zmniejszenia ilości papierowych pieniędzy.

W tym składzie rzeczy jeden z petersburskich dzienników, bodaj czy nie „nasze (znane” „Nowoje wremia”, podał projekt krótki - ale jędrny.

„Trzeba - mówi dziennik - przelać do kasy państwa fundusze instytucyj dobroczynnych wynoszące około 200 milionów rubli - i - od razu stajemy na nogi. Kasa główna wyda instytucjom jakieś nowe papiery, które umarzać się nie będą, wycofa od nich gotówkę (nb. także w formie papierów) i co roku wypłacać im będzie procenta na utrzymanie.”

W tym fenomenalnym projekcie rzucają się w oczy trzy bardzo rogane punkta.

Naprzód - z operacji tej, przeprowadzonej uczciwie, nic by państwu nie przybyło: czy 200 milionów rubli znalazłyby się w kasie głównej, czy w kasach instytucyj dobroczynnych. Jest to przełożenie z jednej kieszeni do drugiej, z tym dodatkiem, że kasa państwa wzdęłaby na swoje barki kłopot: obracania cudzymi funduszami, wypłacania co roku należnych instytucjom procentów, nade wszystko zaś musiałaby ponosić z tego powodu nowe wydatki, przynajmniej na utrzymanie urzędników.

Na uczciwej zatem operacji tego rodzaju państwo nic by nie zyskało, a kasa główna - straciłaby.

Po wtóre - a może szanowny ekonomista myśli o szwindlu, o zagarnięciu cudzych funduszków?

To już byłby projekt całkiem nieekonomiczny, a nade wszystko przeciwspołeczny. Instytucje dobroczynne są „osobami moralnymi”, które posiadają swoją własność i prawo rozporządzania nią, przynajmniej w tym stopniu, w jakim je posiada - dajmy na to - redakcja dziennika.

Co by zaś powiedzieli redaktorowie (i współpracownicy, nawet z „ekonomicznej branży”), gdyby podano projekt przelania ich funduszków do kasy państwa? Zapewne, skutkiem jeneralnego zubożenia, chcieliby się schronić pod skrzydła instytucyj dobroczynnych, których fundusze, niestety! już zostały „przelane” do kasy państwa, w następstwie mądrej rady dziennikarzy, zapominających o przysłowiu: „Nie czyn drugiemu tego, co tobie niemiło.”

Po trzecie - instytucje dobroczynne odegrywają rolę kołków zatykających dziury w społecznym okręcie. Im liczba tych kołków jest większa, tym mniej rąk trzeba używać do wylewania ze statku napływającej wody. Im więcej instytucyj dobroczynnych i większe ich dochody, tym w państwie człowiek czuje się pewniejszym, energiczniej pracuje, więcej wytwarza, mniej szkodzi społeczności i na mniejsze wydatki naraża państwo.

Lecz wyobraźmy sobie, że nagle instytucje dobroczynne tracą swoją własność lub prawo rozporządzania nią. Jakiż utworzy się zamęt: ilu chorych i starców umrze pod płotem, ile dzieci wyrośnie na złoczyńców?... A dalej - kto zechce robić zapisy, nie będąc pewnym, co się z nimi stanie?

Tak więc głęboki ekonomista znad Newy dla pokrycia deficytu, który wyrównać można tylko przez zwiększoną produkcję i oszczędność, chce zepchnąć swoje i nie swoje społeczeństwo w nową kałużę nędzy,

występku, egoizmu. Już i dziś jest wiele złego, które powściąga i jako tako łąta publiczność. Cóż by się zaś stało, gdybyśmy ową ofiarność przecięli w brutalny sposób, pozbawiając własności te społeczne organa, które same jedne oddają ogółowi bezinteresowne usługi!

Czyby potem nie przyszła kolej na wszelką własność?

Tej samej miary publiczności, co o własnych sprawach niewiele wiedzą, nie wahają się jednak od czasu do czasu udzielać nam rad i kreślić idealnych wizerunków takiego Polaka, który by zasłużył na ich sympatię.

Otóż los zadrwił okrutnie, dając im żywy przykład takiego Polaka w osobie - Sankowskiego.

Ów nieszczęsny Sankowski jeszcze przed kilkoma tygodniami miałby prawo do miłości tych panów i byłby niezawodnie stawiany za wzór wszystkim innym.

Naprzód - posiadał on majątek w zachodnich guberniach i strwonił go bardzo prędko, co jest pierwszym szczeblem do dobrego. Potem był ochotnikiem w Hercegowinie i Bośni, co jest bardzo dobrze, a nawet podobno liwerantem armii, co jest wybornie.

Następnie miał bufet przy kolei żelaznej, a gdy i ten stracił, chciał sobie strzelić w łeb.

Taki Polak jest zawsze bardzo pożądanym np. dla „Nowego wremieni”. Sankowski jednak zrobił krok dalej i jak pierwiej wyrzekł się własnego zagona dla Hercegowiny, tak później wyrzekł się własnego zdania na rzecz niejakiego p. Miernikowa.

Co się dalej stało z Sankowskim - wiadomo. Panowie zaś Suworin i inni tym razem nawet nie podnieśli kwestii jego pochodzenia, zapewne czując, że ów niedoszły samobójca i morderca maszerował traktem wykreślonym właśnie przez nich.

Takie to bywają nieoczekiwane skutki recept, które dyktuje namiętność nie chcąca słuchać o prawach rządzących ludzką istotą. Podobnie dziwne kombinacje dużo powinny by dać do myślenia tym znowu naszym quasi publicystom, którzy nie posiadając nauki p. Katków, posiadają jednak ich wiarę we własną nieomylność i ich popęd do rozstrzygania kwestyj, których nawet z daleka nie znają.

Niezbyt dawno Sienkiewicz napisał bardzo piękną powiastkę pod tytułem Latarnik.

Treść jest taka, że jeden z wychodźców, po kilkudziesięcioletniej włości, dostał wreszcie posadę dozorczy morskiej latarni. Urząd jego polegał na tym, ażeby w nocy zapalać światło, lecz starzec był krzepki, więc zdawało mu się, że już do końca życia nie ruszy się ze swojej pustej wyspy, skąd tylko patrzył na przygody, nie czując ich na własnym karku.

Ale i tu zdarzyło mu się nieszczęście. Nieznany przyjaciel nadesłał mu Pana Tadeusza, a stary tak rozrzewnił się wspomnieniem ojczyściej mowy, tak się zatopił w czytaniu książki, że zapomniał zapalić latarni i dostał dymisję; popadł znowu w nieszczęście przez Pana Tadeusza.

Ponieważ nie jestem „od krytyki”, więc może nie wspomniałbym o pięknym utworze Sienkiewicza („Niwa” z listopada rb.), gdyby nie dziwna okoliczność, że Latarnik posiada już drugą część w miejscowych stosunkach.

Ta druga część odegrała się nie nad Atlantykiem, ale nad pewną rzeczką w Królestwie, nie w morskiej latarni, ale w żeńskim gimnazjum, zaś bohaterkami jej nie są starzy tułacze, tylko - młodziutkie uczennice szóstej klasy, same Polki.

Panienki te, jeszcze przed ukazaniem się powiastki Sienkiewicza, jakby natchnione proroczym duchem odgadły, że: Pan Tadeusz narobi komuś kłopotu. I takiego nabrały wstrętu do Pana Tadeusza, że gdy zadano im na wypracowanie z języka polskiego napisać treść naszej epopei - odmówiły.

Niektórzy sądzą, że spośród owych panienek nie wyjdzie chyba żadna Kanopnicka, żadna Orzeszkowa. Ja nie będę takim pesymistą pamiętając, że życie ludzkie jest pełne kontrastów. Wszak, niedaleko szukając, Fryderyk Wielki za młodu potępił Makiawela, nim przewyższył go na starość, i uciekał z pierwszej bitwy jak zając, choć potem został jednym z najznakomitszych wodzów.

Tak, panienki! zwykle nie wiemy za młodu, co nam się później podoba. Radzę więc, ażebyście przeczytały w „Zarii” przekład Sienkiewiczowskiego Latarnika i stamtąd dowiedziały się, że wasz język znajdzie was, choćbyście przed nim uciekły na drugą stronę oceanu.

A jeżeli nie znajdzie, tym gorzej, rozumie się, nie dla niego.

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 277

Kronika tygodniowa - Kurier Warszawski, rok 1881, nr 277, dnia 10 grudnia

Niespodzianka pod tytułem: Kolęda dla gospodyń. - Kalendarze Ungra i Szustra. - Strażak. - Nieprawdopodobna historia dra Markiewicza. - My, Niemcy i Wschodnia Słowiańszczyzna.

Najważniejszym wypadkiem ostatnich dni, nadającym się do dziennikarskich rozmyślań, jest naturalnie: Kolęda dla gospodyń przez autorkę 365 obiadów.

Kolęda obejmuje: zaćmienia w r. 1882, ewangelie na wszystkie święta, przepisy gospodarskie tudzież rejestrzyk bielizny do prania na każdy miesiąc, dalej jarmarki, a nareszcie wielką liczbę artykułów dotyczących: kuchni, spiżarni, pracy kobiet, filozofii, nerwowych cierpień, dramatu i poezji.

Między innymi znajdują się tam i aforyzmy, na przykład:

„Czarninę, zamiast mąką, zaprawiać miodownikiem, a będzie wyborna.”

„Kobiety to anioły, które przez bramy rajy na dno piekła nas prowadzą.”

I tak dalej.

Największą jednak osobliwością Kolędy jest dołączające się do niej premium w formie butelki soku i słoika gruszek w occie. Jeżeli każdy egzemplarz książki posiada tego rodzaju dodatek, to naprawdę wypada się lękać, że autorka w roku bieżącym dołoży do swego wydawnictwa.

W każdym razie Kolęda jest książką fachową i pożyteczną. Szczerze pragnąłbym doczekać tych czasów, kiedy u nas nie tylko "gospodynie", ale także szewcy, krawcy, ślusarze, stolarze otrzymają specjalne noworoczники, obejmujące tyle przynajmniej nowych i praktycznych wiadomości, ile znajduje się ich w kalendarzu autorki 365 obiadów.

Błagam jednak przyszłych wydawców kolęd dla: „budujących lokomotywy” - „żelazne mosty” - „fortepiany” - „kasy ogniotrwałe” itd., ażeby, przysyłając mi do reklamy swoje edycje, nie dołączali do nich premii, z którymi, dalibóg! nie wiedziałbym, co robić i gdzie je postawić?

Była kiedyś epoka, w której zajmowanie się kuchnią i spiżarnią należało do złego tonu. Wówczas znikła rasa znakomitych gospodyń i tradycja polskich potraw. Panny na wydaniu nie umiały przepowiedzieć: czy pewna kura zaniesie lub nie zniesie jaja? ale natomiast i karteczowały ludzi panięńskimi wiadomościami z zakresu: słownikarstwa, chronologii i encyklopedii.

Była to epoka romansów George Sand, bladych dziewic i katarów żołądka. Przeciw niezdrowym prądom owego czasu pani Ćwierciakiewiczowa podniosła sztandar 365 obiadów i - zrobiła pierwszy krok do ocalenia kraju.

Dziś każda młoda gospodyni, jeżeli nie potrafi ugotować nawet lanego ciasteczka, to przynajmniej posiada w swojej biblioteczkę wydawnictwa - wskrzesicielki naszych gospodarskich tradycji. Jest to więc zapowiedź lepszych czasów: dla żołądka przez kuchnię i dla społeczeństwa - przez żołądek.

Zasłużyłbym na nazwę niewdzięcznika i wroga własnej przyszłości, gdybym nie wspomniał, że w tych również czasach dostał się do mego „kantoru” Kalendarz Ungra i Ścienny Kalendarzyk Szustra. I tych nie potrzebuję zalecać, ponieważ znane są ludziom dawniej aniżeli moje kroniki. Dodam więc tylko, że kalendarzyk Szustra jest rzeczywiście praktyczny, a w Kalendarzu Ungra czuć wielką staranność redakcji

działu literackiego. Przy tym każdy z nich rozdaje się darmo, naturalnie dobrym znajomym.

W szeregu kalendarzy zupełnie nowym zjawiskiem jest: Rocznik-Strażak z dewizą: „Bogu na chwałę, ludziom na pożytek” - wydany w Piotrkowie.

W naszej zatęchłej atmosferze dziennikarskiej, gdzie w braku lepszego zajęcia ludzie kłócą się o drukarskie błędy, plagiaty, o potrzebę zakazów przeciw żydom i tym podobne brednie, skromny Strażak jest jakby powiewem świeżego powietrza.

Przede wszystkim znajduje się tam opis ochotniczych straży ogniowych, to jest tych kółek zacnych i dzielnych ludzi, którzy dla dobra bliźnich poświęcają swój czas, siły, zdrowie, niekiedy życie.

Jedna mała tabliczka cyfr, wzięta z tej książki, uczy nas więcej o stosunkach kraju aniżeli całe stosy jałowych polemik quasi ekonomicznych i społecznych.

Może na przykład chcecie wiedzieć, jakie klasy społeczne interesują się publicznym dobrem?

Otóż, ze szczegółowych wykazów podanych przez 14 miast i miasteczek, okazuje się, że w nich między stoma ochotniczymi strażakami liczy się:

właścicieli domów.....15%
urzędników, adwokatów, lekarzy, aptekarzy itp....21%
kupców, przemysłowców i rzemieślników59%
wyrobników.....5%

Z czego widać, że w kraju naszym jeszcze lokatorowie nie biorą się za łby z karnienicznikami, czeladnicy z majstrami, wyrobnicy z kapitalistami, nieoświeceni z oświeconymi - ale wszyscy pracują zgodnie: „Bogu na chwałę, ludziom na pożytek.”

A może interesuje was pytanie: jakie wyznania w naszym kraju poczuwają się do obywatelskich obowiązków?

Podział strażaków ze względu na wyznanie dostarczono tylko z 12 miast, w których na stu czynnych członków znajduje się:

prawosławnych1%
protestantów.....7%
starozakonnych.....16%
katolików76%

A możeby które z pism zajęło się dowodzeniem: potrzeby usunięcia Żydów ze straży ogniowych?...

Niektóre straże, jak nas uczy Rocznik, mają już swoje pieśni; do takich należą: piotrkowska, makowska i sochaczewska.. Straż łączycka zdobyła się dopiero na sygnały na trąbce.

Strażak pomieszcza dalej specjalnie strażacką komedyjkę. Wchodzą do niej: Chwatek, czeladnik szewcki, zuch co się zowie - Podbitek, jego majster, wielki miłośnik kufla - pani Lucyna, miła wdówka itd. Treść zaś jest ta, że młode wdowy bardzo lubią wychodzić za strażaków, słusznie sądząc, iż ten, kto wydobywa dzieci z ognia, również potrafi dobrze - być wzorowym małżonkiem.

Wreszcie na końcu znajduje się „rozmowa podsłuchana” między Pompką, nocnym stróżem i Saprycmanem, faktorem. Może myślicie, że rozprawiają o potrzebie j u den hecy? Bynajmniej! Mówią sobie, w sposób o tyle przyjacielski, o ile nudny, że na świecie jest bieda, że lepiej być czynnym (słonkiem straży ogniowej aniżeli honorowym, a najlepiej żadnym, i - że w strażach bywa więcej naczelników aniżeli pracowników.

Przypatrzwszy się Strażakowi, nie mogę powstrzymać się od życzenia, aby prowincja przyjęła jak najszerzy udział w naszym

życiu umysłowym, którego jedynym browarem jest dotychczas Warszawa.

Ludzie na prowincji mają jakieś lepsze serca i trzeźwiejsze głowy. Ich piśmienniczym utworom brakuje tylko form - naszym, zaś, niestety! zaczyna brakować treści...

W ciągu krótkiej dziennikarskiej kariery zdarzyło mi się spotkać osoby, które z najlepszą wiarą i intencjami zapewniały mnie, że moje sądy w sprawie klas pracujących - tylko szkodzą klasom pracującym, że moje poglądy na przyczyny demoralizacji włościan tylko - mącą ludziom w głowach i że nareszcie mój głos, doradzający sprawiedliwe traktowanie Żydów przez chrześcijan i chrześcijan przez Żydów, tylko - jątrzy obie strony przeciw sobie nawzajem i przeciw mnie samemu.

Słowem: przedstawiano mi, zawsze z zupełnym przekonaniem, że cała moja publiczna działalność tylko szkodzi, zaciemnia i rozdrażnia i że za wszelkie, zresztą niemożliwe u nas, wybuchy ciemnoty i nienawiści - ja powinien bym odpowiadać!

Podobne zdania wydawały mi się niesłychanie dziwnymi i sądziłem, że w tym mieście tylko ja jeden jestem takim osobliwym człowiekiem, który w oczach pewnych statystów robi wówczas źle, gdy robi dobrze, i - powinien odpowiadać za to, że robi dobrze.

Ale Pan Bóg skarał moją pychę, bo otóż znalazł się nierównie zasłużeńszy człowiek, któremu na mocy tego, że robił dobrze, wytoczono kryminalny proces!

Tym fenomenem jest dr Stanisław Markiewicz.

Jeżeli od kilkunastu lat zabierał ktoś w dziennikach głos nad sprawami publicznego zdrowia, jeżeli ktoś popularyzował zasady higieny; jeżeli ktoś ogłaszał, co w ucywilizowanych krajach robi się, a czego się nie robi w sprawach sanitarnych; jeżeli ktoś potężnie dzwonił na potrzebę kanalizacji, na wzmocnienie sanitarnego dozoru, jeżeli ktoś zwracał uwagę na opuszczone niemowlęta, zaniedbanych terminatorów,

przeciążonych pracą gimnazjalnych uczniów - to z pewnością tym ktosiem był... dr Markiewicz.

Człowiek wielkiej nauki i serca pełnego zapału wdarł się na zaniebane u nas pole higieny publicznej i orał je - unquibus et rostro. Walczył bronią cytat, rozumowań, cyfr, dowcipu. Słowem: na wszelkie sposoby przekonywał wszelkich ludzi, że powinni dbać o zdrowie i że - nie powinni własnymi rękoma szczepić dokoła siebie ognisk zarazy.

Kiedy wybuchła u nas w roku bieżącym epidemia ospy i dyfterytu, dr Markiewicz zawiadomił o tym całą publiczność, nie wyjmując inspektorów lekarskich, jeszcze w dniu 29 sierpnia, w nrze 191 „Gazety Warszawskiej”. Głos jego był tak donośny, że zwrócił uwagę miejscowych władz policyjnych i sanitarnych. Dzięki jemu zwołaną została sanitarna komisja i - obostrzono dozór nad chorymi, naturalnie - w parę miesięcy później.

I otóż temu samemu doktorowi Markiewiczowi inspekcja lekarska wytoczyła proces: „o rozszerzanie chorób zaraźliwych”!!

W jaki sposób dr Markiewicz: „rozszerzał choroby zaraźliwe”? Ha! chyba w taki, że je leczył i że upominał się o ustanowienie przeciw nim zaradczych środków. Inspekcja lekarska twierdzi, że: „nie doniósł o nich inspektorowi”. A skądże inspekcja dowiedziała się o istnieniu tych chorób, jeżeli nie z jego artykułu?...

Pierwsze środki zaradcze przeciw ospie i dyfterytowi zarządził, jeżeli się nie mylę, nie urząd lekarski, ale - generał Buturlin. Otóż, gdyby zapytano generała: kto mu nasunął myśl ratowania miasta: czy dr Markiewicz, czy urząd lekarski? odpowiedź byłaby ciekawa!...

Gdyby sędzia pokoju nie odrzucił skargi lekarskiego urzędu, dr Markiewicz musiałby zapłacić znaczne grzywny za to, że publicznie ogłaszając swój artykuł o ospie, nie doniósł o niej urzędowi sanitarnemu!... Światły sędzia uwolnił doktora od kary pieniężnej, odgadując zapewne, że tę samą kwotę można by użyć na „cele sanitarne”, niekoniecznie w formie kary. Czyliż dr Markiewicz, dla

uniknięcia sądowego skandalu, nie wolałby ofiarować urzędowi lekarskiemu kilkudziesięciu rubli - na szpitalu albo na dom podrzutków?

Jeżeli ma istnieć kara za tego rodzaju „występki” sanitarne, to niechże już idzie do kas sanitarnych, nie sądowych.

Nie wiem, czy jest to chwilowy kaprys, czy spóźnione spostrzeżenie faktu, dość, że kilka petersburskich dzienników zwróciło uwagę na - niebezpieczeństwa niemieckiej kolonizacji.

W rozprawach tych uderzyły mnie głównie dwa zdania.

„Nowoje wremia” zawiadamia swoich czytelników, że Niemcy rozsiadają się w guberniach zachodnich i małoruskich nie tylko gęsto, ale i z pewnym systemem. „Nowosti” zaś twierdziły kilka tygodni temu, że my, Polacy, nie mamy powodu lękać się Niemców i że tylko udajemy obawę.

Oba dzienniki mają słuszność.

„Nowoje wremia” ma słuszność z tego powodu, że istotnie w guberniach zachodnich i małoruskich Niemcy okazują pewien system w kolonizacji. O ile na przykład mnie wiadomo, to na żyznych ziemiach południowej Rosji Niemcy, już mający swoje gospodarstwa, solidarnie płacą dobrowolną składkę na wykupywanie gruntów dla ich dorastającego potomstwa. Jest to nauka dla Polaków, Małorusinów i Wielkorosjan, z której każdy w swoim zakresie powinien by skorzystać. Niemniej jest to straszny fakt, który dowodzi, że Niemcy przeskoczyli już nasze plemię i wzięli się do ekonomicznego podboju między Małorusinami.

U nas Niemcy wsiąkają także w społeczny organizm, dzięki następującym przyczynom.

Niemcy mają spółki i kapitały do wykupywania ziemi u nas, podczas gdy nasi rolnicy nie posiadają ani potrzebnych im instytucyj kredytowych, ani spółek do parcelowania majątków i osadzania na

nich włościan, ani rolniczych stowarzyszeń w celu podniesienia gospodarstw.

Niemcy mają szkoły techniczne i wykwalifikowanych przemysłowców i majstrów; my nie mamy takich szkół, a więc brak nam odpowiedniej ilości przemysłowców i majstrów.

Niemcy cieszą się zaufaniem i mają wpływy; my jesteśmy pozbawieni i jednego, i drugiego. Dzięki temu mamy mniej szans do utrzymania jakiegoś przywileju albo ulgi aniżeli Niemiec.

Pomimo to my nie wzdychamy wcale do wypędzenia Niemców z kraju lub do ograniczenia ich praw, jak przypuszczają „Nowosti”. Chcemy tylko mieć takie same prawa i przywileje jak oni, a resztę - zrobimy sami.

Dalej „Nowosti” mają słuszość, że my nie boimy się Niemców. Oni już weszli do nas, już są tu, już z nami walczą. My także wzięliśmy się za bary z germańskim kolosem, więc bać się - za późno! Dla nas minęła pora przewidywań i obaw - nastąpiła epoka walki i dziś tego się chyba tylko obawiamy, ażeby: „niebo nie spadło nam na głowy!...”

W tej walce oni mają za sobą większą liczbę, wyższą oświatę, kapitały, porządek, bardziej rozwinięte zwyczaje ekonomiczne. A jednak!... przyszłość należy do cierpliwych. I my ich nie pokonamy, i oni nas nie zetrą; jest to walka ze skałą - kropli wody, która tylko chce wydrążyć sobie miejsce, i wydrąży je.

Co nam najwięcej dodaje otuchy, to okoliczność, że Niemcy lekceważą nas, my zaś szanujemy ich i uczymy się od nich. Oni są wielkim, godnym podziwu państwem; my chcemy tylko żyć i - będziemy żyli. W naturze mały kamień ma taką samą rację bytu jak i wielki kamień.

Na jedną przecie rzecz nie zwróciły uwagi ani „Nowosti”, ani „Nowoje wremia”. Oto uznaliśmy, że tu, na tym gruncie, położenie Niemców jest korzystniejsze. Co gorsza: nikt się temu nie dziwi!

Może tym odkryciem zasmuci się „Nowoje wremia”.

Dla nas jest ono starym pewnikiem i dla tego spokojnie patrzymy w przyszłość!

Niech też „Nowoje wremia” zrozumie, że ekonomiczną walkę z Niemcami, za całą wschodnią Słowiańszczyzną, prowadzimy dziś my jedni i że naszymi sprzymierzeńcami są... Kto?... Francuzi!...

Tak już daleko zaszły sprawy, a oto dowód, pierwszy z brzegu.

W guberni chersońskiej, w miejscowości Krywoj-Rog, a więc w punkcie całkiem dla nas obojętnym, polski inżynier-górnik S. Kontkiewiaz odkrył i wyznaczył obfite pokłady doskonałej rudy żelaznej. Cztery czy pięć lat donosił o tym rosyjskim kapitalistom i - żaden z nich nie poświęcił ani kopiejki na eksploatację. Niewiele już brakowało, ażeby Niemcy, zagarniający powierzchnię ziemi, nie sięgnęli do jej wnętrza...

Szczęściem, znalazła się kompania francuska, która zakupiła grunta i rozpoczęła pracę, z góry zastrzegając, że posługiwać się będzie nieniemieckimi żywiołami.

Gdzie byli wtedy i o czym pisali współpracownicy „Nowego wremieni”?

Rzeczywiście, niezmiernie bogactwa rosyjskich terytoriów, przy małej ludności i braku kapitałów, ocalone być mogą od ekonomicznego najazdu Niemców tylko przy udziale potężnych kapitałów francuskich.

Toteż przez wdzięczność już dziś - wymyśla się tym sprzymierzeńcom, co znowu jest w duchu „Nowego wremieni”.

Kronika tygodniowa, Kurier Warszawski 1881, Nr 283

Kronika tygodniowa - Kurier Warszawski, rok 1881, nr 283, dnia 17 grudnia

Wspomnienia Wiednia. - Tamtejsi ludzie przed pożarem Ringteatru i tamtejsi policjanci po pożarze. - Martwe środki ostrożności i żywy człowiek. - Słuszne i niesłuszne strony opinii Wł. Sabowskiego. - Potrzeba służby teatralnej - Wymusztrowanej. - Jutrzejszy odczyt p. A. Makowieckiego.

Jak raz trzy miesiące temu byłem w Wiedniu. 14 września, po godzinie ósmej wieczorem, zobaczyłem kolejowych tragarzy wiedeńskich, ubranych w koszule w białe i szafirowe pasy, ludzi czerstwych, sytych, zadowolonych, którzy z tym samym spokojem dźwigali na ramionach olbrzymie kufry, z jakim - przypinali damie rozerwaną woalkę albo przysłuchiwali się krzykliwemu gderaniu publiczności.

Uderzyło mnie to, że zniecierpliwieni długą zwłoką w wydawaniu pakunków - wiedeńczycy wrzeszczeli jak czajki, ale nie gniewali się; grozili tragarzom policją, sądem, piekłem i - dziwili się, jeżeli oczekiwany kuferek przyszedł do nich natychmiast.

Zdawało mi się, że w tym osobliwym dworcu nie tylko służba i celnicy są grzeczni z obowiązku, ale i publiczność ma obowiązek udawać niegrzeczną i rozdrażnioną.

Toteż pewien przysadzisty kupiec, który w jednej sekundzie pienieł się i siniał z gniewu, zaraz w następnej, spostrzegłszy, że nikt na niego nie zważa, najtkliwszymi pocałunkami obdzielał swoją żonę i dzieci, które przyjechały po niego na dworzec. A potem znowu wrzeszczał:

- Podajcie mi tu natychmiast mój kuferek i - walizkę tego pana, bo on jest - Amerykaninem!...

Tragarz spojrział przez ramię na Amerykanina, ale - kufrów nie oddał, bo jeszcze na nie kolej tnie przyszła.

Po godzinie nudów wsiadłem do ajnszpenera. Ponieważ nie wiedziałem, dokąd jechać, więc miałem do woźnicy tak długą, piękną mowę, że biedak aż podrapał się za ucho. Tymczasem rada wojenna, złożona z kilku poddworcowych próżniaków, wytłumaczyła mi, że ja chcę jechać albo na Praterstrasse, albo na Hauptstrasse, fiakr zawołał kilka razy „aha! ha!” a stojący w cieniu policjant - przypatrzył się numerowi jednokonki.

Tego samego dnia o dziesiątej w nocy byłem już w Wiedniu jak w domu, a kelnerzy, szwajcarowie, sztubenmedcheny i gospodarze hotelu usiłowali mnie przekonać, że: ja chcę pójść do piwiarni Drehera, wypić zajdel i zjeść kilka par frankfurterów. Żadnym zaś sposobem nie mogli zrozumieć tego, że ja chciałbym zjeść parę oryginalnych kiełbasek wiedeńskich i wypić najlepszego piwa.

Od tej chwili przez dwa tygodnie przypatrywałem się wiedeńczykom, odkrywając główne rysy ich charakteru. Widziałem, jak tam wszyscy co dzień wszystko myją: powozy, szyby, podłogi. Widziałem tłumy śmiejące się: na ulicy, w teatrze, na koncercie Straussa, na Wurstelpraterze. Nawet ten śmiał się, który, wraz ze swoim psem, ciągnął wózek jarzyn. Uśmiechał się także w wyszarzanym surducie nędzny człowiek, któremu jeść się chciało, a żebrać - nie było mu wolno.

Czy mogłem przypuścić, kręcąc się wówczas między tymi ludźmi chędogimi, wesołymi i dziwnie uprzejmymi, że w kilka miesięcy później spadnie na nich tak straszna klęska jak - pożar Ringteatru?...

I kto mi zaręczy, że aktorem tego widowiska ze krwi i ognia nie był który z moich wiedeńskich przyjaciół?...

Może szwajcar, który każdej nocy otwierał mi bramę, podawał zapaloną świecę i klucz do numeru i w czapce na bakier, klepiąc mnie po ramieniu, mówił:

- Gute Nacht, mein Herr!... Gute Nacht!...

A może - ta sztabenmedchen, w podeszłym wieku i bufiastym czepcu na głowie, która aż załamała ręce z rozpaczy, gdym jej powiedział, że w całym numerze nie ma mojego parasola za guldena i dwadzieścia centów?...

A może ten zahlkelner od Drehera, który co wieczór witał się ze mną tak serdecznie i - robiąc mi reklamę między gośćmi - nieznacznie pokazywał... palcem na czoło?...

A może ta miluchna nadzorczyńni z freblowskiego ogródka, która z wdziękiem wiedenki i anielską cierpliwością przez całą godzinę usiłowała mi wytłumaczyć organizację początkowych szkółek?...

A może, a może, a może?... Któż wie? Obok ilu ja ludzi przechodziłem w tym mieście, z iloma zwiedzałem jego muzea, z iloma przy jednym stole piłem doskonałe piwo, obrzydliwe wino austriackie i jadłem - Rindfleisch mit Sauerkraut gemischt!...

Kiedy przypominam sobie te rzeczy i obok nich zestawiam tragedię z Schottenringu, ledwo mogę zdobyć się na jedno życzenie:

- Niech was Bóg pocieszy, dobrzy i tak sympatyczni ludzie! Nie miało też na kogo, ale na nich, spaść podobne nieszczęście!...

Pamiętam także typ wiedeńskiego policjanta.

Czy w okrągłej czapce z daszkiem stał on na zbiegu ulic, czy w błyszczącym hełmie i galowym mundurze pilnował wejścia do cesarskiego pałacu, czy pieszo, czy na koniu, policjant wyglądał zawsze zimny, groźny, jak posąg komandora.

Na jego skinienie zatrzymywały się szeregi rozpędzonych powozów. Na jego widok bledli filuci, poważnieli ulicznicy; kamelie Kartnerstrasse robiły miny zakonnice.

Pewnego dnia upił się przeciętny wiedeńczyk z cyrkułu Wiedeń i wsadziwszy za kapelusz gęsie pióro, szedł od Obstmarku do Opeirnhauasu, z zamiarem zrobienia grubej awantury. Na początku Elizabeth-Brucke rozpiął marynarkę i wsadził obie ręce w kieszenie; w połowie mostu wrzasnął: „Hoch der Kaiser!...” Wtem spoza blaszanej ściany pewnego budyneczku na prawo mignął mu kaptur policjanta - i niebezpieczny wichrzyciel umilkł jak trusia. Wyjął ręce z kieszeni, w najlojalniejszy sposób zapiął marynarkę, zapomniał na śmierć o gęsim piórze w kapeluszu i już zupełnie trzeźwy szepnął w stronę budyneczku:

- Meine Ehre!...

Dziś wszechpotężna wiedeńska policja, która jeszcze przed dwoma tygodniami nosiła w swoich kapturach bezpieczeństwo stolicy i poszanowanie konstytucji przez lud, dziś policja ta straciła bezpowrotnie urok. Lada terminator już zrozumiał, że w fałdach jej posągowych płaszczów ukrywają się safandule, w których pedanteria i chęć utrzymania spokojności stłumiła nawet ludzkie uczucia.

Obawiam się, że po takiej lekcji wiedeńscy policjanci staną się po prostu śmiesznymi w oczach dowcipnego ludu, który przez całe lata widział w nich kariatydy społeczeństwa.

Nikogo nie uratowali, choć każdy pokładał w nich nadzieję. Nic nie spostrzegli, choć powinni byli widzieć wszystko, i - zamiast ocalić - zabili setki!

Pokazuje się, że najlepszy regulamin nic zastąpi -- ludzi.

Słyszałem, że w pewnym prowincjonalnym teatrze wybuchł kiedyś ogień. Licznie zebrana publiczność zakotłowała się; czuć było zbliżenie się upiora panicznego strachu, który pożera tłum, gdy go raz ogarnie.

W tej strasznej chwili wpadł na płonąca scenę jakiś człowiek i krzyknął:

- Strzelę w łeb każdemu, kto się ruszy z miejsca!... Strzelić nie miał z czego, ale publiczność - siadła.

- A teraz - wychodzić po kolei!... Pierwsza ławka... We dwie minuty wszyscy wyszli i teatr uratowano.

Nie było w nim ani żelaznej kurtyny, ani wodnego rezerwuaru.

Skąd brać mamy naukę, że w podobnych wypadkach nie tyle znaczą narzędzia, co - człowiek.

Miał więc rację Wł. Sabowski kładąc nacisk nie na kurtyny, nie na zbiorniki wody, ale - na ludzi, chociaż kwestię traktował zbyt obszernie. Żąda on ani mniej, ani więcej, tylko gruntownej zmiany edukacji całego społeczeństwa, dlatego, ażeby raz na kilkanaście lat tysiąc osób mogło uniknąć klęski z Schottenringu. Na jego program, jako program społeczny, sto razy zgoda! Ale na dziś teatry potrzebują czego innego.

Tłumaczę się.

Dotychczas teatr traktowano jako miejsce wielkiej rozrywki; zdarzające się zaś katastrofy dowodzą, że może on być miejscem wielkiego niebezpieczeństwa, większego niż te, jakim ulegają pociągi dróg żelaznych.

Otóż, jeżeli na żelaznych drogach znajduje się cały korpus ludzi od zapobiegania klęskom, jeżeli są na nich: dróżnicy, zawiadowcy, konduktorzy i nadkonduktorzy, z których trzecia część wystarczyłaby dla administracyjnych celów, reszta zaś czuwa nad bezpieczeństwem, to pytam się, dlaczego tej taktyki nie mogłyby przyjąć teatry?

A dalej: jeżeli straż ogniowa odbywa musztry, dlaczegoby nie mieli jej odbywać - stróże teatru?

Wszyscy potępiają obsługę z Ringteatru, ba! domagają się śmierci zbiegłych z posterunku. Tymczasem czy nie byłoby lepiej - zamiast

powiększać liczbę ofiar - po prostu wyćwiczyć obsługę wszystkich teatrów w pełnieniu jej obowiązków?

Zgodnie z tym należałoby:

Codziennie rewidować zbiorniki wody.

Opatrywać gazowe rury i lampy bezpieczeństwa.

Stawiać służbę przy wszystkich kranach, żelaznych kurtynach i drzwiach wyjściowych.

Nareszcie, choćby raz na tydzień, w stosownej porze, na dany znak, zamykać gaz, otwierać drzwi, spuszczać kurtynę i manewrować kranami wodnymi, rozumie się, nie zalewając wodą sceny. Słowem, wykonywać próbę ratunku.

Wówczas, po upływie kilku miesięcy, służba wytresowałaby się tak w podobnych czynnościach, że każdą z nich wykonywałaby machinalnie.

Gdyby jeszcze na galeriach znajdowało się po kilku ludzi obowiązków do komenderowania publicznością, wówczas zapewne klęski nicejskie i wiedeńskie przeszłyby w dziedzinę legend.

Publiczność nie dlatego płoszy się, że widzi ogień, boć ona lubi mu się nawet przypatrywać, ale dlatego, że nie znajduje w teatrze ludzi, którzy by dawali jej rękojmię, iż uniesie życie z widowiska połączonego z ogniem.

Wśród tłumu, który zaczyna ogarniać popłoch, jeden sygnał dzwonka czy trąbki, oznaczającej czujność, jeden okrzyk: „Stać na miejscach!”, może przywrócić porządek. Co najwyżej - zemdleje kilka kobiet, a ktoś niespokojniejszy udepcze sąsiada w odcisk.

Może za wiele poświęciłem miejsca kwestii ognia w teatrze, od którego niech nas Bóg uchwowa! Chciałem jednak zwrócić uwagę wstrząśniętej do głębi publiczności, że na świecie nie ma

niebezpieczeństwa, którego doniosłość nie ograniczyłaby zimna krew i porządek. Jest jeszcze jeden czynnik, kto wie, czy nie ważniejszy od wszystkich. Gdyby uciekający z Ringteatru byli cokolwiek mniejszymi egoistami, gdyby myśleli nie tylko o ocaleniu swojej garderoby, ale i o nagniotkach swoich bliźnich, wówczas nie tworzyłyby się owe straszliwe zatory z ludzkich ciał, które w okamgnieniu przecinają komunikację.

Ale ażeby ten czynnik wszedł w grę, należałoby pierwiej zmienić ludzką naturę. Więc tymczasem.... wymusztrujmy służbę teatralną, stwórzmy korpus bezpieczeństwa w teatrze. Może się do tego celu znajdą nawet ochotnicy? Reszta zaś należeć będzie do dyrekcji.

Ale dość już o rzeczach smutnych.

Sekcja bezpłatnych czytelników Towarzystwa Dobroczynności urządziła, jak wiadomo, szereg odczytów. Parę z nich nie doszło do skutku, więc komitet postanowił uprosić p. Aleksandra Makowieckiego, ażeby zajął wakujące miejsce.

Gdy wniosek ten przedstawiono na sesji, jeden, z obecnych spytał:

- A o czym będzie mówił p. Makowiecki?

- O jednodniowym spisie ludności w Warszawie.

- To na nic! - zawołał interpelant.

- Dlaczego?

- Bo na taki odczyt nie przyjdzie żadna kobieta - i - sala będzie pusta!...

Z czego inni członkowie wywnioskowali, że p. Makowiecki chce powiedzieć coś takiego, o czym panie lubią słuchać, ale - naturalnie - zasłaniając się wachlarzami...

Jeżeli tak jest, to zapewne w dniu jutrzejszym sala nie pomieści słuchaczek!